Jewhen HUCAŁO

dziewczęta na wydaniu



Jewhen Hucało (ur. w 1937 r.) – ukraiński prozaik i dziennikarz, znany jest polskiemu czytelnikowi z powieści „Domowe ognisko" (1971).

Tom „Dziewczęta na wydaniu" zawiera dwie opowieści obyczajowe, których akcja rozgrywa się w środowisku młodzieży akademickiej i w środowisku prowincjonalnych urzędników.

Przestępstwo i kara, odwaga cywilna, przyjaźń, miłość – ot problemy poruszane przez pisarza.



Jewhen HUCAŁO
dziewczęta na wydaniu

HUCAŁO
dziewczęta na wydaniu

Jewhen HUCAŁO
dziewczęta na wydaniu

przekład
z języka ukraińskiego
Zofia Głowiakowa
i Stanisław Edward Bury

czytelnik
warszawa 1977

Tytuł oryginału ukraińskiego
ПЕРЕДЧУТТЯ РАДОСТІ
ДІВЧАТА НА ВИДАННІ

Obwolutę, okładkę
i kartę tytułową projektował
ZDZISŁAW MILACH

Przeczucie radości

Po wykładach nie chciało mi się iść ani do czytelni, by się przygotować do jutrzejszych zajęć praktycznych, ani do akademika. Nie dochodząc do drewnianego mostka na rzece skręciłem w prawo i poszedłem ścieżką przez zarośla. Ścieżka zbiegała aż do samej wody, to znów zawracała nieomal aż do czarnych topoli rosnących w pewnym oddaleniu od rzeki. Przyjemnie było patrzeć na żółty piasek pod nogami, na zielonkawą wodę, po której płynął wolniutko to jakiś listek, to źdźbło kukurydzy, to strzępek gazety. Ten widok napawał spokojem.

Po chwili siedziałem już pod starą topolą; oparty plecami o pień, czułem jej chropowatą korę. Nie opodal stała niska ławeczka — zwyczajna deska na dwóch wkopanych w ziemię pniakach. Na tej ławce, twarzą do mnie, siedział mężczyzna około sześćdziesiątki, w białym płóciennym ubraniu. Pod rozpiętą marynarką miał tylko podkoszulek, w jego szerokim wycięciu widać było tłustą pierś pokrytą gęstym, kędzierzawym zarostem. Ów zarost sprawiał dziwne wrażenie, zważywszy, że na głowie nieznajomego nie było ani jednego włoska; spocona, lśniła w słońcu niby żółta dynia. Nieruchome spojrzenie wodnistych oczu było utkwione wprost we mnie, ale nie wiem czemu, wydawało mi się, że człowiek ten nie widzi mnie wcale.

Odwróciłem wzrok — głupio jakoś przyglądać się tak komuś obcemu. A jednak jego obecność przeszkadzała mi — znikł gdzieś niedawny spokój. Podniosłem się i ruszyłem do parku naszej uczelni, znajdującego się tuż obok. Wieczorem i w nocy co krok spotyka się objęte wpół, całujące się pary, ale za dnia można znaleźć zaciszne miejsce, gdzie nie ma nikogo. Gałęzie na drzewach poruszały się pod lekkim tchnieniem wiatru, a ja zapatrzyłem się w trzepoczącą na oświetlonej słońcem trawie raz cieńszą, to znów grubszą koronkę cieni. Potem zacząłem wypatrywać na drze-

wach liści żółkniejących już po brzegach, odkrywając różne, nieśmiałe jeszcze barwy umierania.

Nie wiem, jak długo oddawałem się temu zajęciu, które znów przywróciło mi równowagę ducha. Gdy w pewnej chwili spojrzałem przed siebie, uzmysłowiłem sobie, że wyszedłem na ludną aleję, po której w różnych kierunkach snuli się studenci, i naraz znów zobaczyłem owego mężczyznę z żółtą głową, w płóciennym ubraniu. Jego widok wzbudził we mnie nieprzyjazne uczucie, wydało mi się, że ten człowiek umyślnie depce mi po piętach, i już uczyniłem gest, by dać nura w gęste zarośla pomiędzy drzewami, gdy w ostatnim momencie coś mnie powstrzymało. Chyba dziwny wyraz twarzy tego rencisty, jak go w myślach nazwałem. Był to wyraz skupionej uwagi, jakby nieznajomy kogoś śledził.

Przystanąłem i rozejrzałem się po alei — kogo mógł śledzić ten człowiek, za kim tak pospieszał? I ledwo tylko przesunąłem wzrokiem po kilku postaciach, gdy zauważyłem kącikiem oka, że człowiek w płóciennym ubraniu nagle puścił się biegiem; biegł ciężko i niezgrabnie, przeszkadzał mu niemały brzuch i zadyszka. Patrzyłem ze zdumieniem — czyżby stary pokłusował za tą króciutką spódniczką, beznadziejnie odurzony pięknym jesiennym dniem?

Przed nami szedł student z wydziału fizyki — wysoki, szczupły, znałem go, grał w uczelnianej drużynie siatkówki i koszykówki. Odniosłem wrażenie, że idzie ociągając się, jakby pod przymusem, jakby go ktoś ciągnął na sznurku... Nazywano go Bob, chociaż nazwisko miał Babenko. Nieraz myślałem, że nie ma chyba w całej naszej uczelni dziewczyny, której by się ten chłopiec nie podobał. Bob naturalnie wiedział o tym i pewnie dlatego nosił się z wielką godnością.

Obok niego szedł niemłody już, zgarbiony mężczyzna. Gdyby się wyprostował, wypiął pierś i gdyby mu jeszcze

ująć ze trzydzieści lat — byliby obaj podobni jak dwie krople wody. Pomyślałem, że to pewnie ojciec Boba, który przyjechał ze wsi odwiedzić syna-studenta.

Człowiek w płóciennym ubraniu, którego obserwowałem, ciężkim kłusem podbiegł do tych dwóch i zastąpił im drogę. Ojciec i syn ze zdziwieniem popatrzyli na dziwaka i chcieli go ominąć, ale tamten zamachał rękami, twarz mu się skrzywiła i doleciał mnie głos, w którym jednakże nie było jeszcze gniewu:

— Dalej nie pójdziesz! Poznałem cię!

„Kogo on poznał?" — przebiegło mi przez głowę. — Chyba Boba? I co Bob zbroił, że ten tak na niego napadł? Zaciekawiony podszedłem bliżej.

— Ty jesteś Babenko! — krzyczał łysy dziadek, a jego wilgotne wargi krzywiły się żałośnie.

Zauważyłem jednak, że zwraca się on jak gdyby nie do Boba, lecz do jego ojca.

— Odczepcie się, człowieku — niepewnym głosem powiedział Babenko senior, wodząc spłoszonym wzrokiem dokoła. — Co się mnie czepiacie? Upił się, a teraz ludzi napada!

— Ty jesteś Babenko! — krzyczał łysy dziadek i w jego głosie była już najprawdziwsza złość. — Teraz mi już nie umkniesz!

Bob tak był zaskoczony, że zupełnie stracił głowę. Gdy się nieco opanował, położył swą szeroką dłoń na ramieniu człowieka w płóciennym ubraniu i patrząc nań zimnym wzrokiem, powiedział tonem wyższości:

— Proszę zejść z drogi, chcemy przejść!

— Co? — wrzasnął łysy dziadek, z obrzydzeniem strącając obcą dłoń ze swego ramienia, a dojrzawszy wreszcie mnie, zawołał: — Niech pan pomoże, bo on ucieknie!

I obiema rękami uchwycił się nie Boba, jak się spodziewałem, ale jego ojca.

Nic z tego nie rozumiejąc i czując się dość głupio,

podszedłem bliżej. Bob spojrzał na mnie tak, jakby prosił o pomoc. Widzisz, zdawał się mówić jego wzrok, jak się zalał ten idiota w wieku emerytalnym.

A jednak ojciec Boba bynajmniej nie był spokojny, jego głęboko osadzone oczy lękliwie popatrywały to na mnie, to na człowieka w płóciennym ubraniu.

— Co się tu dzieje? — spytałem niezbyt pewnym tonem.

— Widzisz... — zaczął Bob, coraz bardziej odzyskując panowanie nad sobą.

Łysy dziadek nie pozwolił mu dokończyć.

— To jest Babenko! — krzyczał tak, jak gdybym ja stał o milę od niego.

— I co z tego? — odpowiedziałem.

— To jest Babenko! — nie przestawał powtarzać. — Poznałem go!

W tej chwili zbliżyła się do nas dziewczyna, studentka — raz czy dwa widziałem ją na korytarzu naszej uczelni. Wyglądało na to, że przejdzie obok, lecz jednak przystanęła, zaciekawiona. Prawie równocześnie podszedł Roman Storożuk; tego dobrze znałem, był z naszego, filologicznego wydziału, tylko o dwa lata wyżej ode mnie. Mieszkaliśmy w tym samym domu studenckim; co dzień, rano i wieczorem, Roman Storożuk ćwiczył z hantlami pod naszym oknem.

Teraz człowiek w płóciennym ubraniu zwracał się do nas wszystkich:

— Babenko był policjantem w naszej wsi! Wyłapywał ludzi, żeby ich potem gnali do Niemiec! On moje dwie córki wyprawił na niemiecką katorgę! Trzymajcie go, bo ucieknie! — wrzasnął, gdy Babenko senior zrobił ruch, jakby się chciał wyrwać z jego rąk. — Miejsce takich jest nie na wolności, ale w więzieniu!... Na całe życie zapamiętałem tego wyrodka, zawsze będzie mi stał przed oczyma jak żywy, żeby go ziemia pochłonęła...

Słuchając, z początku nie mogłem uwierzyć, że to wszystko prawda. Spoglądałem to na jasnowłosą studentkę, to na Romana Storożuka, ale w ich zwężonych oczach, które jakby nabrały głębi, widziałem tylko zaostrzoną ciekawość.

Tymczasem Bob całkiem stracił kontenans, jego smagłą twarz skrzywił żałosny grymas. Chciał położyć dłoń na ramieniu łysego mężczyzny, to znów spozierał na nas, jakby prosząc o zrozumienie i obronę.

A łysy dziadek, zachłystując się słowami, opowiadał, że w ich wsi, Chreszczatem, nie było gorszego bydlaka od Babenki. Raz po raz przerywał swoją opowieść i zwracał się do Babenki:

— Co, może nie tak? Co? No powiedz, Musiju.

Podeszło jeszcze kilku studentów, którzy nie mogli się zorientować, co się tu dzieje, a Musij Babenko opuszczał siwą głowę coraz niżej i niżej. Bob, otoczony znajomymi, nie odzywał się i chyba najchętniej zapadłby się pod ziemię.

Łysy dziadek perorował:

— A jak już nasi mieli przyjść, zabrał swoją rodzinę i uciekł z Niemcami. Znikł, jakby go nigdy nie było. Gdzieśmy go już nie szukali, żeby mu za wszystko odpłacić, ale nie mogliśmy go znaleźć... Aż tu cię dopadłem, ty zakało! — i wyciągnął rękę ku twarzy Musija, jakby chciał wydrapać mu oczy.

Ten wzdrygnął się, uchylił głowę.

— A gdzie się to wszystko działo? — spytałem.

— No przecie mówiłem, że pod Winnicą, we wsi Chreszczate — z rozdrażnieniem w głosie odpowiedział łysy dziadek.

— A skądże wzięliście się aż w tym mieście?

— Brat mój tu mieszka, to przyjechałem do niego w odwiedziny.

— A może to nie ten Babenko? — rzucił któryś ze

studentów i mrugnął na Boba. Widocznie jakiś jego znajomy.

— Nie ten? — z nagłym gniewem powtórzył Roman Storożuk, stojący dotąd w milczeniu. — A który? — I z surową miną zwrócił się do dziadka w płóciennym ubraniu: — Czy to na pewno ten Babenko?

Nie można było chyba boleśniej dotknąć tego człowieka.

— Toż ja bym go na drugim świecie poznał!... — zawołał płaczliwym głosem, w którym pobrzmiewały łzy. — Zapamiętałem każdą zmarszczkę na jego gębie! Miałem ją przed oczami przez całe moje życie! Przez dwadzieścia pięć lat, gdzie bym nie poszedł, czego bym nie robił! Nijak nie mogłem się od tego uwolnić... A dzisiaj idę tu sobie... Zobaczyłem go i myślę — to chyba jakaś ułuda, przywidzenie. Nie mogłem z początku uwierzyć, że to naprawdę on, bo przedtem wszędzie mi się jego morda zwidywała. Ale nie, widzę, że on... — I zwracając się do Babenki: — A może powiesz ludziom, że to nie ty?

— Mówcie — rzucił ostro Roman Storożuk, a ja w myśli odnotowałem ten jego władczy ton — skąd to u niego?

I wreszcie wszyscy usłyszeli głos Babenki seniora.

— Ja swoje odsiedziałem — rzekł chrapliwym głosem. — W pełni odpokutowałem swoją winę. I chociaż wobec ludzi jestem winien, wobec prawa już nie.

Wszyscy patrzyli na niego ze zdumieniem, jakby nie mogli uwierzyć, że on to naprawdę powiedział, że się nie przesłyszeli.

— Kłamiesz! — zacisnął pięści człowiek w płóciennym ubraniu.

— Nie kłamię, Piotrze, mówię prawdę — a oczy biegały mu jak spłoszone myszy.

— Jakąż ofiarą okupiłeś swoje grzechy, których niczym okupić nie można?

— Równo piętnaście lat odsiedziałem.

— Kłamiesz! — aż przysiadł jego ziomek.

— Chłopaki, co wy go słuchacie — odezwał się wreszcie Bob. — Ten człowiek swoje odsiedział, nie wsadzą go przecież drugi raz do więzienia.

„Takiś ty — pomyślało mi się mimo woli — o swoim ojcu mówisz »ten człowiek«, odżegnujesz się od niego".

— Ależ on nie siedział, jak Boga mego!... — zwrócił się do studentów, szukając u nich wsparcia, człowiek w płóciennym ubraniu. — I nie siedzieć on powinien, ale gnić w ziemi za to, co zrobił.

— Słyszeliście, że ten człowiek swoje odsiedział, i niech sobie idzie — nalegał Bob.

— A to jeszcze trzeba udowodnić — odezwała się jasnowłosa studentka, która podeszła jedna z pierwszych.

— Racja — przyznał Roman Storożuk. — Trzeba tę sprawę wyjaśnić.

Musij Babenko głęboko wciągnął powietrze.

— Swoje już odsiedziałem, ileż można...

Łysy Piotr wzdrygnął się, jakby go osa ukłuła, chwycił byłego policjanta za połę marynarki.

— Idziemy na milicję!

Zauważyłem, że Babenko senior zbladł. I Bob był blady, jak z krzyża zdjęty.

— To jest znęcanie się! — zawołał.

Roman Storożuk tknął go ostrym wskazującym palcem w pierś.

— A co ty się tak denerwujesz? — spytał. — Kim on jest dla ciebie — ojcem?

Bob zamilkł, jakby zapomniał języka w gębie.

— No mów — nie ustępował Storożuk — dlaczego tak go bronisz?

— Bo ja lubię sprawiedliwość — z wyzwaniem w głosie odpowiedział Bob.

— Czyż sprawiedliwość na tym polega, by kryć sprzedawczyków?

Bob nic na to nie odpowiedział.

Nie mogłem już tego dłużej znieść. Przecież ten Bob na twarzy ma wypisane, że jest synem Musija, więc dlaczego przy ludziach nazywa go „tym człowiekiem", dlaczego nie przyznaje się do ojca?

— Cóż się tak wykłamujesz — powiedziałem, czując, jak krew uderza mi do twarzy. — Przecież to twój ojciec?

Bob zamrugał powiekami, jakby mu coś wpadło do oka, i w pierwszej chwili zupełnie nie wiedział, co odpowiedzieć.

Wtedy poparła mnie jasnowłosa studentka.

— No, dlaczego się nie przyznajesz?

Ten w płóciennym ubraniu patrzył na nią, na mnie, ale widocznie nie mógł nam pomóc — prawdopodobnie nic o Bobie nie wiedział, przecież Babenkowie dawno wyjechali z ich wsi.

— Nie mieszkam razem z ojcem — wreszcie odezwał się Bob. — Jakiż to dla mnie ojciec?

— A więc ojciec? — skrzywił się pogardliwie Roman Storożuk. — To dlaczego się wykręcasz? Dlaczego się go wypierasz?

— My naprawdę nie mieszkamy razem — odezwał się Musij, pragnąc usprawiedliwić syna. — To w więzieniu siedziałem, to znowu na różnych tam leśnych robotach... Calutkie życie on beze mnie, a ja bez niego.

— To po coście tu przyjechali? — pytał Storożuk.

— No cóż, chciałem go odwiedzić... Zobaczyć, jak się uczy, jak mu się żyje.

— Od dziecka go nie widziałem — chmurnie dorzucił Bob.

— A dlaczego się wypierasz rodzonego ojca? — atakował go Storożuk. — Skoro uważasz, że uczciwie odsiedział swoje, to dlaczego się go wypierasz?

— Nie odsiedział! — gniewnie wtrącił łysy dziadek.

— A może tylko dla ludzkich oczu to robisz? — z naciskiem mówił dalej Storożuk. — Abyśmy myśleli, że nie chcesz znać takiego ojca? Ale jakże to tak, skoro on przyjechał do ciebie, razem wyszliście na spacer. I pewno coś ci przywiózł?

Bob mruknął coś pod nosem.

— Przywiózł? — dociekał Storożuk.

— Przywiózł kawałek słoniny... albo ja ją będę jadł? — zrobił pogardliwą minę Bob. — Zawsze to jednak ojciec. Nie chcę pokazywać się razem z nim, ale co mam robić... Wychował mnie inny człowiek, matka wyszła drugi raz za mąż.

Wyglądało na to, że nikt mu nie uwierzył.

— Co my tu będziemy tyle rozprawiać! — opamiętał się nagle łysy dziadek. — Zaprowadźmy ich obu na milicję!

— A mnie po co? — całkiem zmarkotniał Bob.

— Tam już dojdą prawdy! — wykrzykiwał dziadek. — Każdy wie, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

— Ale po co ja mam tam iść? — chmurnie rzucił Bob.

— Nie chcesz? — zdziwiła się jasnowłosa studentka, a jej oczy z fiołkowych nagle zrobiły się czarne.

— Po co mam iść...

— A kto będzie bronił twego ojca, jeśli on nie jest winien?

— No — Bob wolno wzruszył ramionami — skoro tak, trzeba będzie pójść... Chociaż, powtarzam, nie żyliśmy razem, mam ojczyma, bardzo porządny człowiek.

Na jego ojca aż żal było patrzeć: w ciągu jakichś dziesięciu minut zmarniał nie do poznania, skóra na jego obrzękłej twarzy obwisła jak stary gałgan. Stał zgarbiony, z nisko opuszczoną głową, z rękami zwisającymi bezwładnie wzdłuż ciała. Usiłowałem pochwy-

cić jego wzrok, ale on patrzył gdzieś w dół, na wystrzępione nogawki swoich spodni i sfatygowane buty.

— No, idziemy! — powiedział ten w płóciennym ubraniu. I zwracając się do nas: — Tylko niech idą wszyscy, tak będzie lepiej.

— Oczywiście! — rzekł Roman Storożuk. — Będziemy świadkami. — I wymownie spojrzał na mnie, jakbym ja był w jego mniemaniu najważniejszym świadkiem.

Całą gromadą wyszliśmy z parku, przeszli mostek na rzece i wolno ruszyli przez miasto. Po drodze gromada rosła — przyłączali się głównie studenci, widząc swoich kolegów i od nich dowiadywali się o całej tej historii. Nim doszliśmy do komendy milicji, mieszczącej się w śródmieściu, otaczał już nas niemały tłum. W pewnej chwili zostałem odepchnięty od obu Babenków i jasnowłosej studentki, która szła przede mną.

Nie wszyscy mogli wejść do komendy milicji. Ja też pozostałem na ulicy. Jeszcze jakiś czas kręciłem się w tłumie, oczekując, że zostanę wezwany, ale że nikt mnie nie wzywał, stopniowo traciłem zainteresowanie całą tą sprawą i nie czekając, jak się to wszystko skończy, wolnym krokiem poszedłem przed siebie.

A może by tak wstąpić do ciotki Mełanki? Już dawno należało to zrobić.

Moja ciotka Mełanka mieszka obok placu targowego. Ściślej mówiąc, obok placu i obok stadionu, gdyż sąsiadują one z sobą. Podwórko ciotki przylega do obejścia cerkiewnego. Cerkiew jest stara, duża. Podczas wojny, jak powiadają, mieścił się tu teatr miejski. Aktorzy nie chcieli grać dla Niemców, więc próbowano wysadzić cerkiew w powietrze. Uległa tylko częściowemu zniszczeniu, a po wojnie trzeba ją było

odbudować, bo nie dało się znaleźć innego pomieszczenia dla teatru, wypadło mu nadal gnieździć się w cerkwi.

Gdy przyjechałem do miasta na studia, z początku, nim przyznano mi miejsce w akademiku, mieszkałem u ciotki. Ciotka chciała, żebym został u niej, ale wolałem przenieść się do akademika, człowiek czuje się tam swobodniej. Ciotka wynajmuje jeden pokoik dziewczętom z naszej uczelni. Chłopcom, którzy zgłaszają się do niej na mieszkanie, zawsze odmawia. Żyje z tego, co jej płacą studentki i co zarobi na targu, gdzie sprzedaje kwiaty, truskawki czy rzodkiewkę. Poza tym nieźle robi na drutach — takie tam różne rzeczy z włóczki, na które zawsze jest popyt, wyrabia też sztuczne kwiaty z wiórów, niekiedy plecie wieńce na pogrzeb.

W tej chwili ciotka Mełanka siedzi na werandzie — drzwi otwarte są na oścież — i widać, że plecie wieniec. Właśnie takie wieńce robi się na pogrzeby: zieleń i kwiaty przymocowuje się cieniutkim drucikiem lub nicią do pałąków z prętów wierzbowych. Po te pręty ciotka sama chodzi nad rzekę, gdy się nieco ściemni, i sama je wycina.

Ciotka widzi, że wszedłem na podwórze, i z daleka się uśmiecha. Na jej szerokiej smagłej twarzy uśmiech pływa jak naleśnik na patelni obficie polanej olejem. Za każdym razem, gdy patrzę na ciotkę, myślę: „Czym ona przypomina moją matkę? Chyba głosem — jakbym słyszał zaaferowane i niespokojne brzęczenie pszczoły, która ugrzęzła w gęstym miodzie..."

— Umarł ktoś? — pytam skinąwszy głową na gotowy już wieniec, odstawiony pod ścianę.

— Taka jedna kobieta, stara i chora, nie znasz jej — łagodnie odpowiada ciotka.

Gdy ktoś umiera, rodzina zawsze zamawia u ciotki wieńce. Oczywiście można je kupić i w miejskim za-

kładzie pogrzebowym, ale tam są one wszystkie jednakowe, a rodzina chciałaby, żeby każdy był inny. Ale bo też w te swoje wieńce wkłada ciotka wiele serca i inwencji.

Gdy trafi się więcej roboty, wtedy pomagają ciotce mieszkające u niej dziewczęta. Nie płaci im za tę pomoc, zresztą robią to raczej dlatego, że ciekawi je ta praca, a nie dla pieniędzy.

— Jest popyt na wieńce? — pytam.

— A pewnie, i na wieńce, i na bukiety zawsze jest popyt — odpowiada ciotka i usłyszawszy skrzypnięcie furtki, wygląda na dwór.

Na podwórze wchodzi przystojna młoda kobieta w grubym, żółtym swetrze. Ma podwójny, rozkoszny podbródek, niby pudrem obsypany gęstym białym puszkiem. Ten podwójny podbródek jest chyba najbardziej interesujący w jej twarzy.

Młoda kobieta pozdrawia nas i z uwagą przygląda się wieńcowi stojącemu pod ścianą.

— Biorę — rzuca lekko chrapliwym, nieomal męskim głosem.

— To dobrze — mówi ciotka. — A nie mogłaby mi pani powiedzieć, ile wieńców jeszcze warto by zrobić?

— Widzi pani — odpowiada kobieta — babka nie miała zbyt wielu bliskich, którzy by przyszli oddać jej ostatnią posługę... Ja nie mogę pójść bez wieńca, staruszka wzięła mnie kiedyś do siebie, zameldowała, a potem w sąsiedztwie wyszłam za mąż. Doznałam od niej tyle dobrego. Radziłabym pani zrobić jeszcze dwa wieńce — jeden kupi krzywa Cukanowa, babczyna przyjaciółka, no i ta chytra Luśka ze spółdzielni, co to nosiła babce mleko i bułki, kiedy stara zachorowała. Pani chyba wie, że babka zapisała jej swój domek?

— Wiem — potwierdziła ciotka. — A Sońka nie przyjdzie po wieniec?

— Sońka? — powtórzyła kobieta i nachyliła się ku ciotce, tak że jej podbródek był teraz potrójny. — Nie, siostrzenica babki nie przyjdzie, bo to ona się spodziewała, że odziedziczy dom. Ale jak trzeba było doglądnąć staruszkę, to jej nie było. No i ma teraz zapłatę... Mówiła, że poda Luśkę do sądu...

— A niech podaje — rzekła ciotka. — Sąd stanie po stronie Luśki. No to dziękuję pani, zrobię jeszcze dwa wianki — i koniec.

Kobieta zapłaciła i odeszła kołysząc biodrami.

— Niczego sobie kobietka — powiedziała ciotka, z sympatią patrząc za nią. I zauważywszy, że odwracam wzrok, dodała z wyrzutem: — A ty, widzę, wciąż jesteś nieśmiały. Drugi już rok studiujesz, a jeszcześ nieobyty. Czas by już pomyśleć o żeniaczce... A może i myślisz, tylko się nie przyznajesz?

— Ciociu, czy mnie to w głowie? — mruknąłem nie chcąc podejmować dyskusji na ten temat i nie mając zarazem śmiałości wstać i odejść, żeby nie obrazić ciotki.

— W głowie, a gdzież by — łagodnie pouczała ciotka. — Ojciec, matka, ludzie prości, posłali cię do miasta na naukę, to się ucz, nabieraj rozumu...

Wstałem energicznie. Ciotka spojrzała na mnie ze zdziwieniem i przyjaźnie się uśmiechnęła:

— Nie, jak widzę, nie nabrałeś jeszcze rozumu, musisz więcej obracać się między ludźmi.

— Ciociu — powiedziałem z udanym spokojem — o wszystkich cioci dziewczętach, z którymi wypadałoby się zaznajomić, już nieraz słyszałem.

— Nie o wszystkich — skwapliwie wtrąciła ciotka.

— No cóż, o reszcie posłucham innym razem.

Ciotka skończyła właśnie drugi wieniec i przyglądała mu się z lubością, odwracając go na wszystkie strony. Była z niego zadowolona.

Minąłem plac targowy, prawie pusty o tej porze — jakieś dwie, trzy kobiety sprzedawały pestki słonecznika, przed jedną z nich leżała jeszcze i kupka cebuli — i wyszedłem na otoczony klonami skwer. Pośrodku skweru stał pomnik wybitnego pisarza rosyjskiego, który jeszcze na początku ubiegłego stulecia pobierał nauki w tym mieście. Na brązowym obliczu zastygł wieczny, spiżowy spokój.

Wokół pomnika stały cztery starodawne latarnie, połączone u dołu masywnymi łańcuchami.

Usiadłem nie opodal na ławce i przyglądałem się, jak trzech chłopczyków i jedna dziewczynka huśtają się na łańcuchach. Każde z nich miało tak skupioną minę, jakby wykonywało ciężką pracę, nie dającą żadnej radości.

Po chwili jeden z chłopczyków podbiegł do swej matki siedzącej w pobliżu, wziął od niej bułkę i zabrał się do jedzenia. Dzieci, które dalej huśtały się na łańcuchach, przez pewien czas spozierały na niego z zazdrością, po czym zeskoczyły na ziemię i rozbiegły się w różne strony — widocznie też po coś do jedzenia.

Chłopczyk, napchawszy pełną buzię, począł kruszyć bułkę i rzucać okruchy wróblom, które skakały przed nim po ziemi. Jedne od razu połykały okruchy, inne chwytały zdobycz i trzymając ją w dziobku, próbowały wzbić się w górę. Te, które miały lżejszy okruch, odlatywały na bok, ale te, którym dostał się cięższy kawałek, ledwo go ciągnęły, raz po raz opuszczając się na ziemię.

Widok był tak zabawny, że chłopczyk śmiał się wesoło. Zapominając, że sam jest głodny, drobił bułkę i hojnie rzucał już nie okruchy, ale duże kawałki, których wróble nie miały sił unieść w powietrze. Zebrało się ich sporo, gniewnie skakały wokół tych kawałków, wydzierały je sobie nawzajem, wreszcie któremuś z nich — najodważniejszemu i najsilniejszemu — jed-

nak udawało się coś porwać, a chłopczyk śmiał się tak radośnie, że i mnie udzielił się jego nastrój, i też się roześmiałem.

I od razu poczułem się jak odrodzony, było mi tak dobrze i lekko na duszy, że mógłbym przesiedzieć tu, koło pomnika, całą wieczność, byle ten chłopczyk wiecznie karmił wróble, a one tak niezgrabnie, lecz uparcie usiłowały uciec ze swą ciężką zdobyczą.

„Czyżby tak mało potrzeba było do szczęścia — pomyślałem — odczucia, że życie jest piękne, że jest ono radością? Czyżby do tego wystarczyło po prostu, by dziecko karmiło bułką wróble i śmiało się wesoło?"

Szła mi naprzeciw ta jasnowłosa dziewczyna, i przypomnienie historii, jaka rozegrała się w parku miejskim, odezwało się we mnie bolesnym ukłuciem. Patrzyłem na nią i myślałem: „Pozna mnie czy nie pozna?" Szła — wysoka, smukła, w jaskrawoczerwonej sukience, a w jej jasnych promiennych oczach był jakby cień znużenia.

Nie, nie zauważyła mnie, nie poznała.

Ledwo to pomyślałem, gdy ona, podniósłszy wzrok, nagle jakby się potknęła, jej twarz ożywiła się, wypogodniała. Wydała mi się w tej chwili całkiem młodziutka.

— Poczekaj no — powiedziała — gdzieś ty przepadł?

Zwróciła się do mnie przez „ty", jakbyśmy byli starymi znajomymi i już niejeden raz rozmawiali z sobą.

— Wcale nie przepadłem. — Czułem, że mogę z nią rozmawiać swobodnie i niewymuszenie. — Po prostu było tam tyle ludzi, więc pomyślałem, że obejdzie się beze mnie.

— Przecież ty byłeś najgłówniejszym świadkiem. Pierwszy do nich podszedłeś, a dopiero potem Storo-

żuk, a po nim ja. Na milicji pytali o ciebie. Ty się nazywasz Anton Ursoł?

Skinąłem tylko głową: moje imię nigdy mi się nie podobało, więc sądziłem, że nie może się podobać innym.

— A jak ty się nazywasz? — spytałem niezbyt grzecznie. Jak gdybym tym, że poznam jej imię, chciał jej odpłacić za to, że ona zna moje.

— Switlana Stachnicz — odpowiedziała od razu i tak jasno spojrzała na mnie swymi niebieskimi oczami, jakby darowała mi i imię swoje, i nazwisko, a ja byłem zobowiązany przyjąć ten dar z wdzięcznością.

— Więc co tam było? — spytałem, mając na myśli milicję. — Wszystko się wyjaśniło? Odsiedział ten niemiecki szpicel swoje czy nie?

Dziewczyna spochmurniała. Według tego, jak zmieniał się wyraz jej twarzy, można by czytać w jej myślach, odgadywać nastrój.

— Nie wiem — odpowiedziała.

— Jak to nie wiesz? — oburzyłem się mimo woli.

— Bo nic się nie wyjaśniło.

— Dlaczego?

— Na to potrzeba trochę czasu.

— A Bob? — spytałem.

— Co za Bob? — w zdziwieniu uniosła ciemne brwi.

— Jego syn...

— Nie wiem. Z nim też oczywiście rozmawiano, ale ja przy tym nie byłam. Zapisali nasze adresy i powiedzieli, że przyślą wezwanie, jeśli to będzie potrzebne... A co, żal ci Boba?

Sam jeszcze nie bardzo orientowałem się w swoich uczuciach i dlatego powiedziałem:

— Czy on jest winien, że ma takiego ojca? A matka jego wyszła za innego, inny człowiek wychował Boba.

— Może i masz rację, ale nie całkiem.

— Co teraz z nim będzie? — spytałem, jak gdyby o wszystkim miała zadecydować ona, Switlana.

— Cóż, do więzienia go na pewno nie wsadzą, ale z uczelni mogą usunąć.

To prawda. Chyba będzie musiał opuścić uczelnię. Ale w czym leży jego wina. W tym, że jest synem takiego ojca? A przecież nie możemy wybierać sobie ojców. Gdyby tak było, to, powiedzmy, taki aktor Smoktunowski miałby kilka tysięcy córek i synów, którzy wybraliby go sobie na tatusia, natomiast inni ludzie, niepopularni...

— Ja bym z takim nie pokazała się na ulicy.

Szliśmy wolno krętymi uliczkami wzdłuż wysokich parkanów, ogradzających nieduże podwórka. Przez szczeliny można było dojrzeć pyszne georginie w ogródkach, białe i liliowe astry, bujne kwitnące floksy. Ale w powietrzu był już ledwie uchwytny, melancholijny, lekko gorzkawy zapach jesieni — jej pierwszy zapach, niewyraźny jeszcze i nieśmiały.

— Ależ on jest już na ostatnim roku — wyrwało mi się. — Tak długo łożono na jego wykształcenie.

— Antonie — zwróciła się do mnie po imieniu, a ja odczułem to jako przykrość. — Jakiż z niego będzie nauczyciel, kiedy może to człowiek z robaczywą duszą? Sądzisz, że dzieci tego nie wyczują? Niech idzie do jakiegoś przedsiębiorstwa, nie zginie.

— Ty już postanowiłaś za niego?

— Tu nie ma co postanawiać. On sam powinien to zrobić, jeśli ma choć trochę rozumu... O, tu mieszkam — przystanęła koło takiego samego jak inne drewnianego parkanu, położyła rękę na klamce furtki. — Dziękuję, że mnie odprowadziłeś.

Z westchnieniem zamknęła się za nią furtka i dało się słyszeć podzwanianie metalowego kółka przesu-

wającego się po drucie — to biegł pies uwiązany na łańcuchu.

Wracam do naszego pokoiku w domu studenckim i zastaję Saszka Chrystołobenkę, mojego współlokatora. Saszko pożyczył gdzieś żelazko elektryczne i prasuje białe płócienne spodnie. A więc wybiera się na randkę.

Saszko Chrystołobenko jest wysoki, chudy; w sympatycznej okrągłej twarzy — szare, łagodne jak u dziewczyny oczy; ma wypukłe czoło z wysoko sięgającymi „kątami mądrości" i dlatego całkiem serio uważa się za bardzo mądrego — nie mówiąc już o tym, że w głębi duszy uważa się też za przystojnego. W porządku, może naprawdę jest przystojny, ale po co o tym myśleć.

— Cześć, Szyszkin! — wita mnie Saszko. Robi to dziesięć razy dziennie, i wcale nie ma znaczenia fakt, że mieszkamy w jednym pokoju.

— Cześć — odpowiadam i tak jak stoję, w ubraniu, kładę się na swoim łóżku, chciałbym wreszcie odpocząć. — Na randkę?

— Na randkę — ochoczo potwierdza Saszko, który nigdy się z tym nie kryje. Zawsze opowiada, z jaką dziewczyną spotkał się dziś czy wczoraj, co ona mu powiedziała, czy pozwoliła się pocałować pierwszego wieczora, czy dopiero drugiego, jakie ma w dotyku piersi, jaką talię.

— Z Tamarą? — pytam leżąc z zamkniętymi oczami.

— Nie, Tamara dziś pojechała do rodziców na wieś, wraca jutro rano... Poznałem instruktorkę organizacji pionierskiej ze szkoły numer siedem, idziemy do kina...

— A Tamara?

— Ona nie jest zazdrosna. Zawsze się jej przyznaję, gdy poznam jakąś nową dziewczynę i idę na randkę.

Tamara wie, że mogę się spotykać z innymi, ale zawsze wrócę do niej.

— Mądra dziewczyna. Tylko po co ty jesteś jej potrzebny?

— A gdzie ona coś lepszego znajdzie? — protestuje Saszko. — Mało jest u nas chłopaków do rzeczy, same wybiórki, odsiew z porządnych uczelni.

— A ty nie jesteś odsiew? — pytam czując, że ogarnia mnie złość.

— Ja — nie — odpowiada Saszko. — Ale, słuchaj, co to za historia wydarzyła się dziś z Bobem?

— Jaka znowu historia — mówię, jak gdybym o niczym nie wiedział. Po prostu nie chce mi się w tej chwili o tym mówić.

Wtedy Saszko opowiada mi całe to zdarzenie od początku do końca. Wszystko prawie tak samo, jak było w rzeczywistości, tylko z jego słów wynika, że stary Babenko był nieomal prawą ręką samego Hitlera.

— A wiesz, z kim chodzi Wołod'ka Babenko? Z Fatiejewą. Ciekaw jestem, czy ona go teraz rzuci, czy nie?

Fatiejewa to najładniejsza dziewczyna na wydziale filologicznym. Ma ogromne zielone oczy, zdolne oczarować, zda się, cały świat. Jest dumna i prawdopodobnie kapryśna — zapewne tego wymaga jej uroda.

— Ach, gdyby go rzuciła — wzdycha Saszko.

— A cóż ciebie to obchodzi?

— Próbowałbym ją poderwać, może by coś z tego wyszło.

— Posłuchaj — mówię możliwie najłagodniej — czy nie zechciałbyś się zamknąć? Chce mi się spać.

Saszko włożył już wyprasowane spodnie, białą koszulę, szary — pod kolor oczu — krawat i marynarkę w makowym odcieniu.

— Już się zamknąłem — odpowiada dobrodusznie. I jeszcze od progu: — Ty byś ją też poderwał, gdybyś

mógł, tylko że ona na ciebie nawet nie spojrzy... No, bywaj! Cześć, Szyszkin!

...Za oknem blade światło latarni. To żółtawe, anemiczne światło wsącza się w świadomość, pogłębiając jeszcze mój nie najlepszy nastrój...

— Już się obudziłeś?

To wrócił Saszko.

— Instruktorka nie przyszła — oświadcza smętnie. I po chwili dodaje: — Mała strata... Może się przewietrzymy?

Ubieramy się i wychodzimy. Każdy z nas pogrążony jest we własnych myślach. Nie wiem, dlaczego myślę o Chrystołobence. Lubi on niekiedy wygłaszać aforyzmy. Składa ręce na piersi, co ma świadczyć o głębokim skupieniu, i wlepiwszy w człowieka zielonkawe spojrzenie swych kocich oczu, powiada na przykład: „Człowiek — to automobil przestarzałej konstrukcji, który może się poruszać z szybkością czterdziestu, pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu lat w ciągu swego żywota. Podkreślam — w ciągu swego żywota". W tej chwili przyszło mi na myśl takie jego stwierdzenie: „Człowiek docenia smak życia wtedy, gdy spotka go nieszczęście. Szczęście czyni go ślepym. Wielkich ludzi rodziły ból, walka i niedostatki. Szczęście rodzi tylko zakochanych w sobie egoistów. Żołądkowi i duszy najlepiej służy głód".

— Żołądkowi i duszy najlepiej służy głód — przypominam na głos koledze jego własny aforyzm.

— Co mówisz? — patrzy na mnie ze zdziwieniem.

Z nim tak zawsze: improwizuje swoje aforyzmy, ale jest za leniwy, żeby je zapamiętać. Trud zapamiętywania swoich mądrych powiedzonek zwala na barki innych, sądząc widocznie, że w ich głowach pewniej się one zachowają.

— Wiesz — mówi Chrystołobenko — w tym, co powiedziałeś, jest jakaś prawda, ale to prawda sytego i zadowolonego człowieka. A może byśmy tak wstąpili do kawiarni i wrzucili coś do naszych żołądków, aby tym samym nakarmić również nasze dusze?

Jest jeszcze dość wcześnie i w kawiarni są wolne miejsca. Przez oszklone ściany widać park miejski, puste ławki w alejach, wolno snujące się postaci. Nie opodal — placyk do tańców, jasno oświetlony, ale jeszcze prawie pusty, widać zaledwie trzech chłopców u wejścia. Teraz wieczory są już chłodne i na tańce nie przychodzi tyle młodzieży co wiosną czy latem.

— Nie my wymyśliliśmy wino i nie my przestaniemy je pić — mówi Saszko, biorąc w bufecie tanie kwaśne wino, sałatkę z pomidorów i smażoną rybę. — Trzeba cieszyć się życiem — ciągnie dalej i, upiwszy łyk wina, odstawia szklankę. — Gdyby mi ktoś powiedział, że powinienem cierpieć i męczyć się, a radować się życiem będą moje dzieci, których jeszcze nie mam, nie uwierzyłbym takiemu człowiekowi. Ludzie, którzy tak mówią, to albo niedorozwinięci kłamcy, albo świadomi faryzeusze.

Słucham w milczeniu, chociaż nie we wszystkim się z nim zgadzam. Zresztą Saszko jest tak niekonsekwentny w swoich sądach, że stale sam sobie przeczy. Raz mówi, że dla człowieka walka to forma istnienia, która najbardziej sprzyja rozwojowi jego indywidualności, to znów, że nie chciałby ani cierpieć, ani walczyć z przeciwnościami losu.

Ja bardzo jakoś rzadko czuję potrzebę wywnętrzania się, powierzania komuś swych myśli czy wprowadzania go w świat moich uczuć. Lubię, gdy inny człowiek, opowiadając o sobie, niejako rozbraja się wobec mnie, ale czuję się okropnie, gdy sam muszę rozbrajać się wobec innych. Dlaczego tak bardzo droga jest mi suwerenność mojego „ja"?

Gdy Saszko Chrystołobenko mówi, uwaga słuchacza mimo woli skupia się na jego twarzy o regularnych rysach, na mądrych oczach, w których migocą wesołe, ironiczne błyski, na wyraźnie zarysowanych soczystych ustach, które zaczynają żyć własnym, niezależnym życiem.

— ...Słowa mają tylko wtedy wartość, gdy postępujesz zgodnie z tym, co mówisz. Można doskonale wykuć naukę jogów, by potem innym o niej opowiadać. Ale też można poznać ją po to, by żyć według niej.

— Co będzie z naszą gospodarką rolną, jeśli wszyscy kołchoźnicy staną się jogami? — zażartowałem. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Podniosłem wzrok i przez oszklone drzwi zobaczyłem Marię Fatiejewą. Drzwi się otworzyły i Fatiejewa — w bluzce koloru musztardy i króciutkiej zamszowej spódniczce — weszła do kawiarni. Jej wilgotne zielone oczy były dziś jakby jeszcze większe niż zazwyczaj. Na ciemnych włosach, splecionych z tyłu w dwa puszyste ogonki, leżał malutki klonowy listek. Leciutko żółtawy, świeży, chyba nawet z kropelką rosy...

Maria Fatiejewa weszła z taką miną, że wszyscy znajdujący się w kawiarni powinni by natychmiast oderwać się od jedzenia i picia i patrzeć tylko na nią; ale ona nikogo nie zauważy, będzie patrzeć na nich jak na powietrze.

Za nią wszedł Bob. W szarym eleganckim garniturze, w bucikach ze skórzanej plecionki. W ręce trzymał niedbale parasol. Powiódł uważnym spojrzeniem po sali i przeszedł obok Fatiejewej, która już usiadła przy wolnym stoliku, zmierzając do bufetu. Obserwowałem go, nie słuchając, co mówi Chrystołobenko. Bob wziął dwie filiżanki kawy, dwie tabliczki

czekolady, paczkę papierosów i przeszedłszy ostrożnie między stolikami, usiadł przy Fatiejewej.

— Negacja to też forma poznania — bębnił mi nad uchem Chrystołobenko, wypluwając ości z ryby na papierową serwetkę.

A jednak Bob, chociaż się maskował, miał minę niezbyt wyraźną. Jak on śmiał tu przyjść, w dodatku nie sam, ale z Fatiejewą? Czy przyznał się jej do tego, co zaszło dziś w parku, czy ukrył przed nią? I gdzie jest teraz jego ojciec — puszczono go wolno czy może siedzi za zamkniętymi drzwiami na posterunku milicji?

Tego wszystkiego nie wiedziałem. Ale obserwując Boba, jak zagląda w oczy swej dziewczynie, coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że ona jeszcze o niczym nie wie i że on jej nigdy całej prawdy nie powie. Na pewno lęka się chwili, w której dojdzie do niej choć okruch tej prawdy. A przyprowadził Marię tutaj, bo nic jej nie powiedział, bo chce wszystkim pokazać, że nie poczuwa się do żadnej winy, że chodzi nadal z Fatiejewą i nic się nie zmieniło.

— ...zaniedbaliśmy klasyczne wykształcenie. Wyrastają całe pokolenia, które prawie nic nie wiedzą o literaturze antycznej, greckiej i rzymskiej...

Bob powiedział coś dowcipnego, Fatiejewa roześmiała się. Ogarnęła mnie fala ciepła, jak gdyby ten uśmiech był przeznaczony dla mnie. Czułem się głupio obserwując ich bez przerwy, ale co mogłem na to poradzić, kiedy oczy patrzyły same?

— Cześć, Szyszkin! — rozległo się obok. — Oto gdzie się zaszyli złaknieni i spragnieni.

Roman Storożuk. Wyrósł nagle jak spod ziemi.

— No, jaka tam pogoda na dworze? — pytam ironicznie.

— W normie — unikając mego wzroku odpowiada Roman.

— Zmian atmosferycznych nie przewiduje się?

— Nie. — Z żalem spojrzał na pustą butelkę stojącą przed nami. Podszedł do bufetu i po chwili wrócił ze szklanką wytrawnego wina. — Wyście mnie nie poczęstowali, więc się nie gniewajcie... Poza tym to już moje ostatnie kopiejki. — Upił trochę i rozejrzał się po sali. — O, jest i Donat Ozerny — i pomachał ręką do bladego studenta z naszego wydziału, zapraszając go do nas.

Donat Ozerny — głową sięgający nieomal do sufitu, cienki, chudy, o płaskim podbródku i wąskich ramionach — siadł obok nas i położył przed sobą niewiarygodnie długie ręce.

— Jak widzę, przygotowujecie się do jutrzejszego seminarium? — skinął na pustą butelkę. — Jużeście gotowi?

— Gotowi — przyznał Saszko Chrystołobenko i kontynuował swoją tyradę, której początku nie słyszałem: — Nie wolno mierzyć człowieka podwójną miarą: jedna miara — człowiek jako cząstka społeczeństwa, druga — człowiek jako indywiduum. Nie wolno, bo dzikim kwiatem zakwitnie egoizm, chwasty obłudy wyrosną w duszach...

Storożuk i Donat Ozerny zamienili znaczące spojrzenia. Nie chcąc, by zaczęli naigrawać się z Saszka, rzuciłem:

— A wiecie, jest tu Bob. Z Fatiejewą. Niedawno przyszli.

Twarze chłopców spoważniały. Z chłodną uwagą popatrzyli na mnie, a potem zwrócili oczy w stronę tamtych dwojga. Storożukowi aż dolna warga obwisła ze zdziwienia: nie spodziewał się ich tu zobaczyć. Zachowanie Boba było swobodne, jak gdyby nic szczególnego w jego życiu się nie wydarzyło, a i Fatiejewa, z ustami lekko rozchylonymi w czułym uśmiechu, wyglądała na szczęśliwą.

Bob naturalnie musiał już nas zauważyć, ale zacho-

wywał się tak, jakby w kawiarni było tylko ich dwoje, on i jego Fatiejewa.

— Gdzie ten szpiclowski synek nabrał takich wyszukanych manier? — odezwał się Donat.

— I dlaczego właśnie on — dodał Chrystołobenko — chodzi z taką dziewczyną?

— A nie ty, co? — wtrąciłem.

— Oczywiście — potwierdził.

— A może by tak z nim pogadać? — zaproponował Donat. — Wyjaśnić, że tak powiem, sprawę jego ideowych przekonań.

Saszko mrugnął na niego — no, do dzieła!

— Bob! — przenikliwym głosem zawołał na całą salę Donat. — Chodź no tutaj!

Bob wolno odwrócił głowę. Widać było, że się waha — iść czy nie iść. A Fatiejewa nawet nie spojrzała w naszą stronę, jakby nic nie słyszała. I naraz zrobiło mi się jej żal. Już kto jak kto, ale ona na pewno nic nie zawiniła, a ma wziąć udział w tym, co się tu za chwilę rozegra.

— Chłopaki, dajcie spokój — powiedziałem nieśmiało, ale nikt mnie nie słuchał.

Bob widocznie doszedł do wniosku, że lepiej będzie dla niego, jeśli on podejdzie do nas, niż miałby czekać, aż my całą kupą otoczymy ich stolik. Podniósł się wolno, wolno ruszył ku nam. Przystanął, patrząc tylko na Donata Ozernego, nie zaszczyciwszy pozostałych nawet przelotnym spojrzeniem.

— Co słychać? — spytał Donat i wyjąwszy papierosa począł ugniatać ustnik.

— W porządku — powściągliwie odpowiedział Bob.

— A humor? — spytał Saszko.

— Wyśmienity — odparł nie patrząc na niego.

— Widzisz, zebraliśmy się tu — niby to przyjacielskim tonem mówił Donat — a wypić nie ma za co. Może ty byś postawił?

Mówił tak, jak gdyby żądał od Boba zapłaty za to, że nie popsuje mu humoru i jego dziewczynie nie powie nic niepotrzebnego.

— Ja nie piję — po chwili milczenia odpowiedział Bob. Odpowiedział grzecznie, bo musiał się hamować.

— A my pijemy — z wyzwaniem rzucił Chrystołobenko.

— Nie mam nic przeciwko temu — odparł Bob, znowu nie spojrzawszy nawet na niego.

— Szkoda — rzekł Donat Ozerny.

— Ja tak nie uważam — grzecznie oświadczył Bob. Chwilę jeszcze postał, jak gdyby czekał, co mu jeszcze powiemy, a nie doczekawszy się, zawrócił i wolno się oddalił. Szedł z podniesioną głową, pewnym krokiem, chcąc pokazać w ten sposób, że nikogo i niczego się nie boi. A przecież się bał!

Fatiejewa uśmiechnęła się do niego. W jej oczach rozbłysły snopy zielonych iskier. I Bob się do niej uśmiechnął, chociaż wyraźnie przyszło mu to z trudem.

— A to gagatek — odezwał się wreszcie Donat Ozerny. Widocznie był niemile zaskoczony, że nie udało mu się poniżyć Boba, zobaczyć strachu na jego twarzy.

— Nie taki znów zły z niego chłopak — wielkodusznie powiedział Storożuk. — Zresztą nie wiadomo jeszcze, czym się to wszystko skończy.

— Aha, nie wiadomo — oburzył się Saszko. — O, widzicie, już stąd rejterują.

Oszklone drzwi zamknęły się za Bobem i Fatiejewą. Patrzyliśmy za nimi, póki ich postaci nie znikły w nie oświetlonym zakątku parku, gdzieś za placykiem do tańców.

— A dziewczynę to ma pierwsza klasa! — wesoło rzucił Storożuk. — Szkoda byłoby taką stracić.

— Pewnie, że szkoda — smętnie pokiwał głową Saszko.

Wszyscy wybałuszyliśmy na niego oczy — może jeszcze się rozpłacze? Ale Saszko już się otrząsnął i dodał żartem:

— Tylko co my się mamy tym martwić?

Wykładowcę literatury XVII-XVIII w. Sawę Petrowicza nazywamy wszyscy Docentem, gdyż on sam — nierzadko wspominając w czasie wykładu o swej skromnej osobie — lubi napomykać, że jest docentem. Wiemy od samego Sawy Petrowicza, że całe swe świadome życie poświęcił nauce. I to nauce, której nie da się posunąć naprzód w czterech ścianach zacisznego gabinetu, tylko w terenie, tylko w rozmowach z żywymi ludźmi (Docent lubi podkreślać: z żywymi ludźmi!), tylko grzebiąc w archiwach i łykając zleżały kurz. Ta nauka — to toponomastyka. I jakkolwiek nie daje mu ona żadnych korzyści — Docent z sarkastycznym uśmiechem unosi w górę wskazujący palec lewej ręki — poświęcił jej całe życie i do końca już nieść będzie to szlachetne brzemię. I zamiast mówić o literaturze XVII-XVIII w., Sawa Petrowicz zaczyna mówić o etnonimii, oronimii (te i podobne słowa wymawia z widoczną satysfakcją), hydronimii i mikrotoponimii. Lubi sam się pośmiać i rozweselić studentów, więc nie bez poczucia humoru mówi o naiwnej prostocie naszych przodków, którzy nadawali swoim osiedlom nazwy nawiązujące do charakteru ich własnej pracy: Kowale, Rybaki, Woźnice, Świniary, Koniusza, Bednary. Mógłby chyba godzinami przytaczać nazwy miejscowe: Żabie, Żabokrzyki, Żabieniec, Żabin, Żabowo, Żabi Róg, Żabia Wola, Żabno, Żabka, Żabczyce, Żaby. Albo: Kobylagóra, Kobylanka, Kobylany, Kobylin, Kobylnica, Kobyłka lub też Chrza-

nów, Chrzanowicę, Chrzanówka, Konopki, Konopiska, Konopnica, Dąb, Dąbie, Dęba, Dębica, Dębieńsko, Dębina, Dębnica, Dębno, Dębowiec, Dębowa Wola, Dębowa Góra. Często któryś ze studentów umyślnie w czasie wykładu wtrąci, że niby to zna jakąś dziwaczną nazwę miejscowości czy ulicy — a Docent daje się na to nabrać i od razu się zaczyna: Krynica, Kryniczne, Biała Krynica, Głęboka Krynica, Dobra Krynica, Kamienna Krynica, Złota Krynica, Złoty Stok, Złoty Jar, Złota Dolina, Złoty Potok.

I chociaż studenci mają do niego stosunek nieco krytyczny, Docent jest ogólnie lubiany, bo można sobie z nim pogadać i pośmiać się.

Dziś jakoś Docent jest nie w humorze. Chrystołobenko próbował sprowokować go do dygresji toponomastycznej, z czego mógłby wyniknąć długi i interesujący wykład, ale Sawa Petrowicz wzniósł tylko oczy w górę, postał chwilę patrząc w sufit i dalej zaczął wałkować literaturę XVII-XVIII w. Chrystołobenko powiódł wzrokiem po audytorium i bezradnie rozłożył ręce.

Sawa Petrowicz lubi, żeby się zwracać do niego z pytaniami nie ustnie, tylko przy pomocy kartek. Wiemy o tej jego słabostce i nieraz pod koniec wykładu uzbiera się na wysokiej katedrze przed nim cały stos tych karteczek.

Dziś ukończywszy wykład na zasadniczy temat dziesięć minut przed dzwonkiem, Sawa Petrowicz bierze pierwszą z brzegu kartkę i odczytuje na głos:

— „Moja ciotka mieszka w Taganrogu. Proszę mi wytłumaczyć pochodzenie tej nazwy." — Pytanie to zainteresowało Docenta, chowa kartkę do swego notesu i mówi: — O Taganrogu pomówimy później... — I już czyta następną: — „W naszej wsi jest zakątek, który się nazywa Obryte. Proszę o objaśnienie." — Sawa Petrowicz marszczy wysokie czoło, zamyśla się,

a potem rzuca w kąt sali: — Czornomorczenko, proszę wstać!

Ada Czornomorczenko, nasz sekretarz Komsomołu, którą też nazywamy sumieniem naszego roku, podnosi się z ociąganiem.

— To pani napisała?

— Tak, ja — przyznaje się Ada i smętnym wzrokiem patrzy w okno.

— Nie tak dawno wyjaśniałem pani znaczenie tej nazwy. Czy pani nie potrafi już wymyślić innego pytania, że powtarza to samo?

— Zapomniałam już, co pan docent mówił — leniwie i ze smutkiem odpowiada Ada Czornomorczenko.

— Wobec tego nie warto drugi raz tłumaczyć, bo znów pani zapomni.

Czornomorczenko wolno siada z jeszcze bardziej zmartwioną miną. Ta dziewczyna nie ma szczęścia — chciałaby podrzucić Docentowi jakieś okropnie wymyślne pytanie, żeby tłumaczył je z pół godziny, ale jakoś się nie wiedzie naszemu „sumieniu", chociaż bardzo się stara.

— „Proszę powiedzieć — odczytuje Docent jeszcze jedną karteczkę — czy właściwie postąpił student z naszej grupy Szkuro chrzcząc swoje dziecko?"

Sens tej notatki dochodzi do świadomości Docenta dopiero po jej odczytaniu. Zaskoczony, obraca w rękach karteczkę, uważnie się jej przygląda, po czym unosi oczy i patrzy w sufit. Audytorium też milczy. Ten i ów patrzy na Szkurę, który ma amputowaną do łokcia rękę. Teraz niby to coś pisze w swoim zeszycie, a na jego czoło występują kropelki potu, coraz większe i większe, coraz gęściejsze...

— To pytanie — mówi wreszcie Docent, odrywając wzrok od sufitu — nie ma najmniejszego związku ani z literaturą, głównym tematem wykładu, ani z toponomastyką.

Audytorium milczy. Szkuro nadal coś tam pisze, nie odrywając oczu od zeszytu.

— Do rzeczy — zmęczonym głosem odzywa się Docent. — Kto jest autorem tej notatki? Zdaje się, że pisane to jest lewą ręką — z grymasem obrzydzenia przygląda się karteczce. — A więc kto to napisał?

Wszyscy milczą. Ja też milczę, ale czuję się tak, jakby to była nie czyjaś, ale moja podłość. I naraz widzę, jak oczy Docenta robią się żółte i zupełnie puste — widocznie i jemu jest w tej chwili ciężko.

— Czy nie ma tam podpisu? — pyta ktoś.

— Nie ma — odpowiada Docent. I biorąc z katedry swoją czarną skórzaną teczkę, wypchaną papierami, dodaje: — Od dziś proszę mi nie podawać żadnych kartek. I ograniczyć się do pytań odnoszących się wyłącznie do przedmiotu, który wykładam.

Zgarbiony, wychodzi z sali. Audytorium wciąż jeszcze trwa w milczeniu, jak gdyby Docent stał nadal za katedrą, spryskując nasze mózgi życiodajną wodą swego krasomówstwa. Niektórzy czytają. Szkuro wciąż pisze, pot spływa mu z czoła, płynie wzdłuż nosa, ust i zwisa kroplą na brodzie...

I naraz na całą salę:

— Kto to napisał?

To Chrystołobenko. Stoi w ławce z zaciśniętymi pięściami, jego okrągła chłopięca twarz jest czerwona z gniewu; wygląda w tej chwili jak rozgniewane dziecko.

Wszyscy nareszcie jakby się obudzili, ożyli. Jakby opadło z nas odrętwienie.

W naszym mieście jest kilka cerkwi. W jednej z nich mieści się archiwum, a obok archiwum — miejska biblioteka, zajmująca piętrowy budynek z czerwonej cegły.

Lubię bywać w bibliotece. Za dnia w czytelni prawie nikogo nie ma, chyba że zajrzy jakiś emeryt, by wymienić książkę czy przejrzeć gazetę, jeśli nie zdąży jej kupić w kiosku.

Bibliotekarka, inteligentna pani w nieokreślonym wieku — jasne oczy ukryte za szkłami okularów — wita mnie w milczeniu, tylko uśmiechem. I ja zawsze odpowiadam jej uśmiechem, obojętnie, w jakim jestem nastroju, i zmierzam w stronę ostatniego okna. Stoi tu szafa z książkami, a za szafą stolik — to jest moje miejsce, gdzie nikt mnie nie widzi. Siadam, otwieram dialektologię, ale nie chce mi się ani czytać, ani zastanawiać nad tym, co czytam. Myślami wciąż wracam do niedawnej historii. Ale dość, trzeba się przygotować do jutrzejszego seminarium.

Siedzę, przypominam sobie różne dziwne słowa zasłyszane tu w mieście, na targu, uświadamiam sobie charakterystyczne cechy tutejszej gwary... Czytam dialektologię, która staje się coraz bardziej interesująca, i naraz dowiaduję się, że np. takie nasze podolskie słowo, jak „patelnia", wcale nie jest ogólnoukraińskie. Coś podobnego, od dziecka zżyłem się z tym słowem i nawet nie podejrzewałem, jakie jest jego pochodzenie... Biorę zeszyt i zaczynam zapisywać sobie różne rzadkie słowa, i te słyszane wszędzie, i w ogóle wszystko, co mi przychodzi go głowy...

Naraz słyszę tuż obok mnie:

Marmur, pomniki książąt złotem kryte
Mocy tych rymów nigdy nie przeżyją; *

To Dymitr Czarnota, nasz wykładowca literatury powszechnej. Choć zaledwie o sześć lat ode mnie starszy, drugi już rok wykłada w naszym instytucie. Jesteśmy w bardzo dobrych stosunkach, powiedział-

* Tłumaczył Jerzy Pietrkiewicz.

bym — niemal koleżeńskich, nie wiem tylko, czy on by je też tak nazwał. Czarnota to zagorzały bibliofil, często zagląda do biblioteki miejskiej i wie o moim zakonspirowanym miejscu za szafą.

— No co, zabiera się pan do nauki języka polskiego? — pyta siadając koło mnie i kładzie na stół swe duże chłopskie ręce.

— Czemu nie — odpowiadam niepewnie; nie mam się jeszcze czym pochwalić, chociaż przyrzekłem mu, że wezmę się do polskiego.

Domyślam się, że Czarnota postanowił zrobić ze mnie naprawdę wykształconego człowieka. W zeszłym roku, gdyśmy się poznali, nakłonił mnie, bym odnowił swoją znajomość języka niemieckiego. Nie leniłem się i przesiedziałem nad niemieckim całą zimę. Teraz zachęcił mnie do nauki języka polskiego. Doradza mi, jakie książki mam czytać, a jakimi nie warto sobie głowy zaprzątać. On mi się podoba, bez tej nieśmiałości w oczach, w ruchach.

— Czemu nie wpadnie pan do mnie do domu? — pyta z wyrzutem. — Mam interesujące nagrania, mógłby pan posłuchać...

— Wpadnę — przyrzekam. Będąc na pierwszym roku, często odwiedzałem go w jego ciasnym kawalerskim pokoiku. Słuchaliśmy muzyki. Czarnota recytował wiersze. Nie ma chyba takiego, którego on by nie znał. Pytam: — A kto to napisał o tym „marmurze, pomnikach książąt złotem krytych"?

— Szekspir, sonet pięćdziesiąty piąty — odpowiada z tajoną radością. Widać, że jest w swoim żywiole. — Niech pan posłucha... — Przybliża ku mnie swą jasnowłosą głowę i ściszonym głosem, gestykulując, recytuje z wyraźną przyjemnością:

Kiedy mój miły będzie już zmiażdżony
Pięściami czasu, gdy dnie zeń wysączą
Krew i gdy będzie od nich napełniony

Bruzdami, które czoło jego splączą,
Kiedy się dźwignie na stok nocy stromy,
A wszytka piękność, jaką dzisiaj włada,
Będzie jak miraż w pustyni ruchomy,
Który wędrowcę z bogactwa okrada;
Na czas ów przyszły już teraz się zbroję
Przeciw nożowi, który cię powali,
Bowiem o pamięć urody twej stoję,
Skoro już samej nie zdołam ocalić.
W czarnych więc czcionkach będzie utrwalona
Twoja uroda, wieczyście zielona. *

Na jego twarzy błąka się jakiś naiwny i jakby roztargniony uśmiech. Po chwili pyta:

— A pan nie pisze wierszy? — I domyśliwszy się z mojej miny, że naprawdę nie piszę, mówi: — Niech pan spróbuje.

I odchodzi bez pożegnania.

Lubię go, to dobry człowiek. Wszyscy studenci go lubią, chociaż bywa, że egzamin zdaje się u niego i po kilka razy. A może za to go właśnie wszyscy szanują, że jest sprawiedliwy i wymagający? Muszę go odwiedzić.

Jeszcze czas jakiś siedzę w swoim zakamarku, pochłonięty lekturą. Aż sam się dziwię, że nie odczuwam odrazy do książek. Przeciwnie, od dzieciństwa tylko książki i książki! Kiedyś utonę w ich morzu i już nie wypłynę.

— Switlana!

Ten okrzyk sam wyrwał się z mych ust, gdy ją zobaczyłem na ulicy. Ściślej mówiąc, ujrzałem ją i zawołałem w jednej i tej samej chwili.

Odwróciła się od razu. Wydało mi się, że ucieszyła się na mój widok, bo jej oczy zabłysły jak fiołki omyte

* Tłumaczył Jerzy S. Sito.

wiosennym deszczem, twarz ożywiła się, rozjaśniona przyjaznym uśmiechem.

Ja też ucieszyłem się, że ją widzę. Snułem się dziś po korytarzach uczelni, nie chcąc nawet sam przed sobą się przyznać, że pragnę spotkać Switlanę. I lekki żal ściskał moje serce, że nigdzie jej nie ma.

— Dokąd idziesz? — pytam. — Mogę cię odprowadzić?

— Ależ nie jest jeszcze tak późno...

Rzeczywiście, wcale nie jest jeszcze późno. Słońce chyli się ku zachodowi nad krytymi rudą dachówką domkami, ulica, smutne klony skąpane są w jego spokojnym blasku. I ten blask drży niebieskimi płatkami kwiatu na dnie oczu Switlany, a ja wyraźnie czuję wokół zapach wczesnej wiosny.

— To chodźmy się przejść — mówię ośmielony tym nieoczekiwanym wiosennym zapachem. A może dlatego tylko to mówię, że inaczej ona zaraz odejdzie i zniknie moje odczucie wiosny?

— Widzisz... — zaczyna i urywa, jakby nie mogła wypowiedzieć tego, co ma na końcu języka.

— W porządku — mówię niby to beztrosko i wesoło, udając chłopca, który nie bierze zbytnio do serca swych niepowodzeń.

— Ależ nie... — protestuje Switlana. I wreszcie wyznaje: — Muszę wracać do domu, dziś są moje urodziny. — A pochwyciwszy w mym wzroku niedowierzanie, szybciutko mówi to, na co zdecydowała się w ostatniej chwili: — Wiesz, gdzie mieszkam, przyjdź, proszę cię.

Domyśla się z mojej miny, że mam zamiar odmówić, i nalega:

— Nie, nie, koniecznie przyjdź.

Naprawdę szczerze zaprasza mnie na te urodziny. Całą duszą czuję jakby rozpiętą pomiędzy mną i Swi-

tlaną niewidzialną słoneczną strunę, która jednoczy nas i zbliża.

— Dobrze — powiadam.

I boję się ruszyć z miejsca, by nie zerwać tej struny.

— Przyjdę — przyrzekam jeszcze raz.

Switlana odchodzi nie odwracając się, a ja patrzę za nią. I choć struna przecież się zerwała, to jednak pozostało we mnie jakieś słodkie i trochę smutne echo. A w powietrzu unosi się jak gdyby rześki zapach wczesnej wiosny i fiołków...

Z naszego roku była tam również Ada Czornomorczenko. Okazuje się, że przyjaźni się ze Switlaną jeszcze od tej pory, gdy razem zdawały na uczelnię. Ada to szczuplutkie dziewczę o pociągłej twarzy, z nieprawdopodobnie cienkimi brwiami i nieodstępną melancholią w bardzo jasnych oczach. Śpiewa w uczelnianym chórze, gra na gitarze, boi się żab i ma w pogardzie starych kawalerów.

Wśród gości zauważyłem też Donata Ozernego, co mnie jakoś wcale nie zdziwiło. Dziś wyraźnie był zadowolony ze swego wyglądu: staranna fryzura, nienagannie uszyty szary garnitur w jodełkę, na nogach jasne lakierowane buciki. Gdy mankiety białej koszuli z niebieskimi spinkami znikały w rękawach marynarki, Donat wyciągał je niepostrzeżenie. Uśmiechał się nieprawdopodobnie szeroko, spojrzenie jego podłużnych piwnych oczu było ponad wszelką miarę uważne; rozmawiał spokojnie, przekonująco i bardzo uprzejmie. Donat Ozerny był już na czwartym roku, mówiło się, że po ukończeniu studiów pewnie zostanie asystentem przy katedrze filozofii, w którym to przedmiocie wykazuje wielkie zdolności.

Skrzypnęły boczne drzwi i do pokoju weszły dwa okazałe koty z wysoko zadartymi ogonami. Za ko-

tami przetoczył się przez próg milutki, puszysty kłębek białej wełny. Tym puszystym kłębkiem wełny okazała się babcia, ubrana w długi sweter z angory. Babcia przywitała się z Donatem, pochylonym przed nią w niskim ukłonie, a potem z Adą, która podając jej swą smagłą, pokrytą brodawkami rękę pozostała wciąż tak samo elegijnie smętna. Babcia podeszła do mnie, za nią postępowała jej ruda eskorta z zadartymi ogonami.

— Switlana mówiła mi o panu — powiedziała babcia, chociaż nie wymieniłem swego nazwiska. I odwróciwszy się, cichutko potoczyła się ku kanapie, wzięła leżące tam druty i zabrała się do robótki. Koty usiadły przy niej na podłodze, dumnie zadarłszy zadowolone mordki.

Donat, wyraźnie znudzony, zwrócił się do staruszki:

— Pani, jak zwykle, nie uskarża się na swoje zdrowie.

Babcia uniosła głowę, uśmiechnęła się całą swą pomarszczoną twarzą i nic nie odpowiedziała.

Ada szepnęła mi na ucho:

— Donat zawsze, ile razy tu przychodzi, rozmawia z babcią wyłącznie o jej zdrowiu i o tym, jak zapobiegać chorobom.

— W Tałałajach — Donat wymienił nazwę jednej z podmiejskich wsi — żyje staruszek, który właśnie ukończył sto siedemnaście lat. Ma dziewięciu synów, dwie córki, czterdzieścioro pięcioro wnuków, dwadzieścia jeden prawnuków. I, proszę sobie wyobrazić, szesnaścioro praprawnuków.

Babcia znów spojrzała na Donata, znów się uśmiechnęła i znowu nic nie odpowiedziała.

— Te rozmowy o długowieczności bardzo ją uspokajają — szepnęła Ada. — Za to uważa Donata za najmądrzejszego, najgrzeczniejszego i najbardziej ży-

czliwego człowieka, a takich, jej zdaniem, jest teraz bardzo mało.

Weszła Switlana i poprosiła nas do jadalni. Była w wąskiej, czarnej sukience, która jeszcze podkreślała jej smukłość. Zobaczyłem zachwycony wzrok Donata wpatrzonego w Switlanę i zrozumiałem, dlaczego widzę go na tej rodzinnej uroczystości. Ada podeszła do solenizantki, swoim zwyczajem szepnęła jej coś na ucho i spojrzawszy wymownie na mnie i na Donata, pocałowała ją w policzek.

Matkę zastaliśmy obok nakrytego stołu. Była tak podobna do swej córki, że przez chwilę nie mogłem oderwać od niej oczu. Popatrzyła na mnie przyjaźnie, ciepło — jak na kogoś, kogo się już zna i traktuje z sympatią.

— Switlana mówiła mi o panu — powtórzyła słowo w słowo to samo, co powiedziała babcia. I zwróciła się do reszty gości, osób mi nie znanych, stanowiących dla mnie gromadę bez rysów indywidualnych. — Proszę, siadajcie.

Switlana jakoś dziwnie zerknęła na nią i wybiegła z pokoju. Nie wiedząc, co mam odpowiedzieć matce, w milczeniu patrzyłem na krągłą, rumianą jak brzoskwinia, pokrytą puszkiem twarz młodej jeszcze kobiety. Wydawało mi się, że lekko się zmieszała i usiłowała pokryć to wymuszonym uśmiechem.

— Nasz tato spóźnia się, jak zwykle. Ale mógłby się pospieszyć, mógłby...

Donat i Ada taktownie przyglądali się ścianom. Poszedłem za ich przykładem. Ściany były zawieszone obrazami: na czarno-białym kilimie wisiało kilka fotografii, a nad kilimem — kobza, bandura, najróżniejsze fujarki i dudki; w wysokiej szafie sięgającej prawie pod sufit rozstawione były na półkach wyroby garncarskie, ceramika: zwracał tu uwagę czarny dia-

beł na cieniutkich nóżkach ze spiczastymi raciczkami, o błyszczących oczach z dwóch wypukłych paciorków; w szafie stojącej na przeciwległej ścianie — stare książki z dziedziny malarstwa, archeologii i muzyki. W ogóle ten pokój przypominał antykwariat, w którym jednakże nie można nic kupić, można tylko oglądać. Na osobnym stoliku stały wyroby z drzewa — leśny stwór z dziwacznych splotów korzeni; borowiec — zły duch górskiego lasu; pasterz z tajstrą przewieszoną przez ramię. W kącie stała długa trombita, połyskująca po bokach starym, żółtym drzewem...

Nie słyszałem, kiedy do pokoju weszła Switlana z ojcem. Zobaczyłem ojca dopiero wtedy, gdy zbliżył się do stołu. Był to potężny mężczyzna, w jego ciężkich rękach czuło się siłę ciężarowca. Szare, przyprószone siwizną brwi stroszyły się nad niedużymi oczami o przenikliwym spojrzeniu. Powiódł wzrokiem po zebranych, na chwilę opuścił granitową bryłę głowy i zwracając się do Switlany powiedział:

— Jesteś dziś szczęśliwa i ja jestem szczęśliwy wraz z tobą.

Ujął jej jasną główkę w swe płaskie dłonie, pochylił się i ucałował ją w czoło. Twarz jego pozostała przy tym poważna i nieporuszona, jakby nie całował własnej córki, lecz robił coś ważnego — powiedzmy, występował na publicznym zebraniu.

Zauważywszy mnie, ściągnął brwi jakby w namyśle, a na jego czole ukazały się dwie pionowe zmarszczki. Ale zaraz wyciągnął do mnie rękę, przedstawił się: „Andron Hnatowicz", ja powiedziałem półgłosem: „Anton", i to wszystko. Pan domu usadowił się na pierwszym miejscu, obok niego usiadła żona, potem Switlana z babcią, po drugiej stronie stołu, naprzeciwko nich — Donat, Ada i ja, a dalej reszta gości, któ-

rych nie znałem. Zapadła martwa cisza, jakby wszyscy nagle oduczyli się mówić lub też zapomnieli, po co się zebrali. Andron Hnatowicz zatrzymał wzrok na mnie, a ja pomyślałem, że zaraz powie: „Switlana mówiła mi o panu". Jednakże pan domu powiedział:

— Switlana skończyła dziewiętnaście lat. Ja, jako ojciec, pragnąłbym, aby zawsze miała tyle.

— Życzymy jej tego, czego ona sama sobie życzy — szybko wtrąciła matka.

— Cóż, Walentyna Andrijiwna zaproponowała piękny toast — powiedział ojciec tak, jakby mówił o kimś obcym. — A czego życzą jej nasi goście?

— Wiecznej młodości — modulując głos powiedział Donat.

— Urody — rzekła Ada.

— A babcia? — zwrócił się ojciec do staruszki.

Ta jednak nic nie odpowiedziała. Patrzyła w okno przesłonięte firanką i uśmiechała się. Obok niej stały rude koty z zadartymi ogonami i ocierały się o jej nogi.

— A czy ja sama mogę sobie czegoś życzyć? — odezwała się naraz Switlana.

— Wprawdzie to nie jest przyjęte — wolno zaczął ojciec — ale...

— Właśnie — przerwała mu Switlana tonem człowieka, który ważył się na jakiś stanowczy krok i żadna siła już go nie powstrzyma. — Życzycie mi młodości, jakbym już była taka stara, życzycie urody, jakbym była taka strasznie brzydka. A ja życzyłabym sobie, żebym zawsze pozostała sobą, po prostu człowiekiem, i nic więcej.

Rumieniec oblał jej twarz. Taki sam rumieniec wystąpił na twarzy matki. Wyglądały teraz jak dwie siostry.

— Zebraliśmy się dzisiaj nie na takie rozmowy —

powiedziała matka, a ja znów wyczułem w jej głosie zmieszanie.

— Naturalnie — podchwyciła Switlana — zebraliśmy się, aby wypić szampana!

Rzuciła na mnie szybkie, jakby przepraszające spojrzenie. Za co chciała mnie przeprosić?

Szampan był zimny i szczypiący. Jeszcze go nie dopiliśmy, gdy ojciec nalał sobie, Donatowi i mnie po kieliszku koniaku, mrugnąwszy przy tym do nas po koleżeńsku, a nam nie pozostało nic innego, jak wychylić kieliszki.

W niezręcznym milczeniu wszyscy wzięli się do przekąsek. Donat próbował ratować sytuację.

— Tej trombity nie widziałem jeszcze u pana — powiedział z udanym zainteresowaniem.

— Strasznie dziwny instrument — dodała od siebie Ada. A mnie szepnęła na ucho: — Ojciec Switlany jest dyrektorem miejskiego muzeum etnograficznego.

— Oczywiście nie mógł jej pan widzieć — z dumą potwierdził ojciec Switlany. — Latem tego roku byliśmy całą rodziną w Kosowie i tę trombitę podarował mi pewien Hucuł, artysta ludowy.

— Nigdy jeszcze nie miałem w ręku takiego instrumentu — mówił dalej Donat. — Miałoby się ochotę w nią podmuchać.

— Potem spróbujemy — ojciec był nieomal uszczęśliwiony. — Na wszystko przyjdzie pora. A teraz wypadałoby wypić zdrowie Walentyny Andrijiwny, co? Zasłużyła sobie na to!

Matka i Switlana znów obie zaczerwieniły się. Ja wypiłem kieliszek i opuściłem wzrok na talerz ze smażoną rybą.

Pan domu począł mówić o grawiurze, którą przecina ukośnie czerwony szlak, znamię trwogi. Potem przeszedł do ceramiki. Stopniowo coraz bardziej się zapalał. Wyjął ze skrzyni nowiutki serdak huculski,

od którego zapachniało naftaliną, potem spódnicę i zapaskę... Po nich wyłoniły się na świat boży sukienne portki i skórzana torba.

— A to jest bandura... — i począł nam opowiadać, kiedy i w jaki sposób ją zdobył, kto z gości grał na niej.

Słuchając go czułem z każdą chwilą wyraźniej, że on pragnie ukryć się za tymi rzeczami, że potrzebne mu są po to, by odwrócić uwagę od siebie. Kierując na nie naszą uwagę, chciałby, abyśmy widzieli w nim nie tylko ich posiadacza, ale — przez swój związek z nimi — aby się nam wydawał równie wartościowy i interesujący jak one.

— Ten gliniany diabeł...

Wreszcie wziął do rąk trombitę.

— Andronie Hnatowiczu — zwróciła się pani domu do męża — już jest dosyć późno, sąsiedzi...

— Co tam sąsiedzi! — zaprotestował energicznie. — Zatrąbimy na cześć naszej córki! Co mnie obchodzą sąsiedzi!

I wszyscy, usiłując bodaj dotknąć trombity, wyszliśmy na podwórze. Niebo wczesnej jesieni, nieme i ślepe, bez jednej gwiazdy, wisiało nieprawdopodobnie nisko, tuż nad głowami. Wzdłuż parkanu przesunął się z szelestem odgłos czyichś obojętnych kroków, gdzieś z daleka niczym głos surmy dobiegł raźny gwizd parowozu. Koło budy zadzwonił łańcuchem pies i głośno ziewnął, kłapnąwszy zębami.

— Trombita wydaje głos niski i chłodny, nieomal mistyczny — mówił Andron Hnatowicz. — W górach tylko raz go słyszałem... Powiedziano mi wtedy, że na połoninie ktoś umarł...

Trzymając trombitę przed sobą odchylił się od niej całym ciałem, natężył się. Trombita milczała. Usłyszeliśmy tylko przygłuszone „tu-tu-tu", wymawiane przez niego, i cienki syk powietrza wyrywającego się z ust.

— Hm — gospodarz był zaskoczony. — Co prawda nie wiem, jak należy się obchodzić z tym instrumentem. Nigdy nawet nie próbowałem na nim grać, zdawało mi się, że to takie proste...

I to jego szczere rozczarowanie i zdumienie jakoś go nam przybliżyło.

Adzie też się nie udało. Dmuchała, dmuchała, śmiała się, nawet nie wiadomo po co pobiegła do sadu z tą trombitą. Donat miał jeszcze najwięcej szczęścia: z trombity wyrwało się dość mocne ni to prychanie, ni to skrzypienie. Gdy ja usiłowałem zadąć, poczułem, że moje płuca nie są zdolne napełnić jej potężnym strumieniem powietrza, nie potrafią wydobyć z niej harmonijnego dźwięku. Jeszcze raz się natężyłem, dmuchnąłem, ale trombita wzgardliwie odpowiedziała piskliwym szeptem.

— Do licha z takim instrumentem — powiedział ojciec Switlany, obrażony. I naraz, jakby coś sobie przypomniawszy, zwrócił się do niej: — Czekaj no!... Ale przecież chyba ty umiesz na niej grać!... No, nie grasz, ale słychać przynajmniej jakiś głos...

Wszyscy spojrzeli na Switlanę. Dotychczas nie brała udziału w naszej zabawie, stojąc na ganku i zagryzając wargi. Nawet się chyba nie uśmiechnęła ani razu, patrząc na nasze daremne usiłowania.

— O tak! — zawołała Ada. — Musisz sama zagrać na swoją cześć.

Trombita zakołysała się w rękach Switlany... Niezbyt donośny, ale równy i głęboki głos naruszył ciszę. Switlana dęła starannie, w skupieniu, i trombita odzywała się do niej ufnie i przyjaźnie. Tu, w mieście, jej głos wydawał się czymś obcym, widocznie brakowało jej kamiennych górskich olbrzymów.

— Moja ty Hucułko — powiedział ojciec, ale nie było w tym ani iskierki radości.

I wtedy jakby jęk wyrwał się z ust Switlany. Oparła trombitę o ścianę i szybko wbiegła do sieni.

Ojciec zakasłał, zmieszany. Donat i Ada udali, że nic nie zauważyli.

— Żeby grać na trombicie, trzeba stale ćwiczyć — z naciskiem powiedział ojciec.

Dopiero po dobrej chwili odpowiedział mu zawsze uprzejmy Donat:

— Jestem przekonany, że gdyby Hucuł siadł do fortepianu, też by się nie popisał.

Wszyscy powrócili do mieszkania, a ja zostałem jeszcze na dworze. I nagle uświadomiłem sobie, że okropnie nie chce mi się wracać tam do tego pokoju, gdzie czułem się nieswojo pośród ludzi, z którymi zetknąłem się przypadkowo, że nie chce mi się wysłuchiwać opowieści ojca Switlany o różnych cudacznych przedmiotach, które pościągał zewsząd do tego domu. Tu, na dworze, czułem się swobodniej, nic mnie tu nie krępowało, byłem sam, bezcenna dla mnie była ta moja niezależność.

Stałem w cieniu furtki, jakbym jeszcze wahał się zrobić ten ostateczny krok i odejść stąd, lecz naraz zdecydowanie położyłem rękę na klamce furtki, pociągnąłem ku sobie (stare deski zapachniały wilgocią i mchem), i już byłem na ulicy, w rozproszonym świetle latarni. Przystanąłem, obejrzałem się na dom, w którym dopiero co byłem, i wprost wierzyć mi się nie chciało, że niedawno siedziałem przy stole, słuchałem głosów ludzi, których nigdy przedtem nie widziałem... I wydawało mi się, że zaraz wybiegnie z domu Switlana i zawoła mnie. Odczekałem chwilę, ale nie skrzypnęły drzwi werandy, nikt nie wyszedł, nikt mnie nie zawołał.

I wtedy ogarnął mnie taki żal, jakiego nie potrafię

nawet wyrazić. Ból szarpnął moim sercem i zrobiło mi się tak smutno, że nic tylko siąść tu pośrodku ulicy, objąwszy głowę rękami, i tak siedzieć, i siedzieć...

W chłodnym powietrzu pachniało jesienią. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nocą odczuwa się jesień mocniej niż za dnia. Echo moich kroków rozlegało się samotnie na pustej ulicy i chwilami zdawało mi się, że to nie moje kroki, że ktoś idzie za mną. I wtedy szybko się oglądałem...

I naraz smutek mój prysł, jakby go nigdy nie było. A stało się to w momencie, kiedy — do najdrobniejszych szczegółów — wyobraziłem sobie Switlanę. Gdy ją tak wyraźnie ujrzałem przed oczami, nieoczekiwanie zapachniało mi wczesną wiosną, jej pierwszą gorzkawą wonią, całkiem tak samo, jak mi się to już dzisiaj raz zdarzyło. Aż się uśmiechnąłem z radości, że powróciły do mnie owe odczucia, kiedy było mi tak dobrze patrzeć na Switlanę, cieszyć się, że ją po prostu widzę.

A może jednak ona, zauważywszy, że mnie nie ma, wybiegła z domu i szuka mnie, woła?... Aż mnie zatknęło na tę myśl. Zawróciłem i im bliżej byłem jej domu, tym większe ogarniało mnie zdenerwowanie. Cały napięty w przeczuciu spotkania, już myślałem nad tym, jak by usprawiedliwić swoje nagłe zniknięcie, i znajdowałem w sobie jakieś dziwne, czułe słowa, które miałem jej powiedzieć, by zmniejszyć swoją winę.

Dom wydał mi się ciemny, ale gdy podszedłem bliżej, przez szpary w okiennicach zobaczyłem światło i do moich uszu dobiegły dźwięki muzyki. Chwilę nasłuchiwałem — na podwórzu nie było nikogo i nikt mnie nie wołał. I moja niedawna radość szybko zgasła, jak gdyby w jej płomień chlusnął ktoś wodą... Zgar-

biony odszedłem stamtąd, mając już tylko to jedno pragnienie: żeby nikt nie wyszedł z tego domu i nie spytał, czemu się tu kręcę. Idąc szybkim krokiem przypominałem sobie szczegóły dzisiejszego wieczoru, myślałem o tym, jak próbowaliśmy grać na trombicie, i jak wtedy z ust Switlany wyrwał się ów dziwny głos, niby krzyk bólu i rozpaczy, jak potem uciekła do mieszkania.

Z wolna znów powrócił do mnie gorzkawy zapach wczesnej wiosny, jej pierwsze tchnienie — i już go strzegłem, nie chciałem się z nim rozstać, towarzyszył mi do samego akademika.

Oloszka Szkuro już od kilku dni nie przychodził na wykłady, więc postanowiliśmy z Chrystołobenką pójść do niego. Z tej okazji Saszko ogolił się, odprasował spodnie, wyczyścił buty, a nawet wysmarował czuprynę jakimś paskudztwem, od którego aż wierciło w nosie.

Oloszkę zastaliśmy na podwórzu — siedział pod drewnianą szopą z książką na kolanach. Czytając, prawą ręką kołysał niebieski wózek, z którego dochodziło kwilenie dziecka.

Na uczelni widzi się go zawsze z protezą, która mu zastępuje lewą rękę, i na którą jakoś każdy z nas woli nie patrzeć. Teraz siedział bez protezy, z pustym rękawem zatkniętym za pas.

Oloszka spojrzał na nas tak, jak gdyby właśnie oczekiwał naszego przyjścia i dlatego ani trochę go ono nie dziwi.

— Po coście przyszli? — pyta bez nieprzyjaźni w głosie i skinieniem głowy wskazuje nam kłody drzewa pod szopą, abyśmy usiedli.

Siadam, a Chrystołobenko nachyla się nad wózkiem

i uważnie przygląda się niemowlęciu, całym sobą wyrażając pełen podziwu zachwyt.

— Nie gap się na dziecko, nie lubię tego — burczy Oloszka.

— Czego nie lubisz? — nie rozumie Saszko.

— Kiedy się ktoś gapi na dziecko. Bo ludzie mają różne oczy, różne dusze, a dziecko czuje to jak nikt na świecie.

— Czyżbym miał aż takie złe oczy — mruczy Saszko, odchodzi od wózka i siada obok mnie.

— Więc po coście przyszli? — powtarza pytanie Oloszka. — Organizacja komsomolska poleciła wam odwiedzić kolegę, co? Przeprowadzić z nim rozmowę wychowawczą?

— Słuchaj, Oloszka — powiadam — dlaczego cały czas na nas warczysz?

— Ja warczę? — książka, którą przytrzymuje na kolanie łokciem prawej ręki, spada na ziemię. — Dlaczego miałbym na was warczeć?

— No właśnie. A komu robisz na złość, że nie chodzisz na wykłady? Tylko samemu sobie.

— Daj spokój — przerywa mi Oloszka.

— Nie, nie, pogadajmy, skoro już przyszliśmy do ciebie. — I chociaż wybraliśmy się ot tak, po prostu, by odwiedzić kolegę, i żadne tam rozmowy wcale nie wchodziły w grę, sprowokowany zachowaniem Oloszki muszę już powiedzieć to, co mam na języku. — Słuchaj, gdyby wszyscy tak zrobili jak ty?

— A cóż ja takiego złego zrobiłem? — boczy się Oloszka.

— Bądź co bądź mamy być kiedyś nauczycielami — jakoś niechętnie rzuca Saszko, patrząc w ziemię.

— Czyż wszyscy muszą zaraz iść w moje ślady, żeby się utopić? — całkiem niezrozumiale odpowiada Oloszka.

— Co takiego? — w zdziwieniu unosi brwi Chrystołobenko.

— Jak ja zechcę się utopić, to wszyscy inni polecą zaraz za mną, żeby zrobić to samo? — z triumfem w głosie pyta Oloszka.

To mnie zirytowało.

— Przestań — mówię. — Czy ktoś ciebie zmuszał akurat do studiów pedagogicznych?

— Nikt mnie nie zmuszał.

— Otóż to! Warto by się więc zastanowić, co za nauczyciel będzie z ciebie.

— Nie rozumiem...

— Może ty i od swoich uczniów będziesz wymagał, aby byli ochrzczeni?

— No, to już przesada! — rozgniewał się Oloszka. — Każdy ma swój świat i nie należy weń włazić z brudnymi butami. A prawdę mówiąc, wcale nie miałem chęci iść do instytutu pedagogicznego.

— Nie miałeś chęci? — dziwi się Chrystołobenko. — A przecież mówiłeś, że nikt cię nie zmuszał.

— Owszem, nikt mnie nie zmuszał, ale też wcale się do tego nie paliłem. Czyż mogłem jednak wyjechać z domu? I dokąd? Co miałem robić z tym... — szarpnął pusty rękaw zatknięty za pasek. — Może marzyłem o szkole morskiej, ale kto by mnie przyjął? Więc musiałem zostać w domu, bo tu mam opiekę, a do instytutu pedagogicznego przyjmują i bez ręki, nie zwracają na to uwagi...

I mnie, i Chrystołobence zrobiło się żal Oloszki. Był w tej chwili z nami szczery, i wszyscy trzej czuliśmy, że ta szczerość nas zbliża.

— A jak to się stało? — spytałem.

— Stało się — mruknął Oloszka. — Łaziłem w parowozowni pomiędzy wagonami i jak głupi wsadziłem rękę między bufory. W tej chwili dołączono parowóz, wagon stuknął o wagon i gotowe... Ręka wisiała tylko

na skórce... Przytrzymuję ją prawą, a ta kręci się na wszystkie strony. Okropnie się przeraziłem, biegnę do ojca, on do dziś jeszcze pracuje w parowozowni, biegnę i krzyczę nieswoim głosem... Przystanę na chwilę, pomacam, bo w żaden sposób nie mieści mi się to w głowie, i dalej biegnę... Ojciec w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, co się stało, ale jak już do niego doszło, zbladł jak ściana i tylko łapał ustami powietrze.

Oloszka uśmiecha się wspominając tę całą historię. Ja też chciałbym odpowiedzieć uśmiechem, lecz nie mogę rozewrzeć warg.

— I nie można było jej uratować? — pyta Saszko.

— Jakże uratować? Tylko na skórce się trzymała... Od razu ucięli. Z początku nie mogłem uwierzyć, że nie mam już lewej ręki. Chcę coś zrobić — i zawsze zamierzam się obiema rękami, dopiero potem uświadamiam sobie, że mam tylko prawą.

— A teraz? — pyta Saszko.

— Teraz tak samo. Wciąż zapominam, że jej nie mam... — I dodaje: — To znaczy zapominam, kiedy jestem sam. Ale gdy idę między ludzi, dobrze o tym pamiętam, tylko o tym myślę.

— Ile wtedy miałeś? — pyta Saszko.

— Ile? Czternaście lat, do siódmej wtedy chodziłem. Tego dnia zawalił się dla mnie cały świat. I może nie byłoby tak źle, gdybym tyle o tym nie myślał. A tak wciąż myślę, nie może mi to wyjść z głowy.

— Spróbuj nie myśleć — radzę.

— Czyż ja bym nie chciał? — szczerze wyrywa się Oloszce. — Tylko taką już mam naturę, a natury nie zmienię... Myślicie, że ja bym się ożenił? Ale matka nie dawała mi spokoju — żeń się i żeń, póki jest dziewczyna, która ciebie chce. No i ożeniłem się!... Tylko wy nic takiego nie myślcie — moja Laryska to złoty człowiek, najdroższy dla mnie na świecie... A jednak wszystko byłoby inaczej, gdyby... A więc widzicie, nikt

mnie nie zmuszał, żebym szedł na nauczyciela, ale co innego mogłem zrobić?

W wózku odezwało się niemowlę. Oloszka wstał, prawą ręką poprawił mu kołderkę, poduszeczkę, mrugnął do niego, śmiesznie cmoknął ustami, i dziecko się uspokoiło.

— I tak jakoś żyjemy — powiedział Oloszka siadając i znowu wsadził nos w książkę, jakby z miejsca zapomniał o nas.

— Słuchaj — zacząłem — ani rusz nie mogę tego pojąć, że ochrzciłeś dziecko. Po co mu to było potrzebne? Albo tobie?

— Pewno, że mi to niepotrzebne! — burknął Oloszka.

— Więc jakże to?

— Idź, spytaj mojej matki, to jej pomysł. Dowiedziałem się, kiedy już było po wszystkim. Nawet ze mną nie mówiła o tym, bo wiedziała, że się nie zgodzę... Ale już się stało, co teraz mogę na to poradzić?

— A kto jeszcze wiedział o tym? — spytał Chrystołobenko. — Bo przecież ktoś podał Docentowi kartkę z tym pytaniem.

— Wiem, ale nie powiem — Oloszka patrzył w książkę.

— Dlaczego? — zawołaliśmy obaj z Saszkiem.

— Nie chcę, zresztą to moja sprawa.

Znowu zapłakało dziecko. Oloszka wstał, położył książkę na jego kołderce i popychając przed sobą wózek, ruszył w stronę ganku.

— Nie gniewajcie się, chłopaki — powiedział — ale muszę go nakarmić, obowiązuje bardzo surowy reżim... I coś wam jeszcze powiem — w jego oczach nie było poprzedniego rozdrażnienia, ale przyjazne ciepło. — Nie ma się czym przejmować, jakoś to będzie.

Siedziałem w czytelni przy otwartym oknie, ale zamiast przygotowywać się do zajęć praktycznych z dialektologii, błądziłem wzrokiem po wierzchołkach świerków rosnących na dziedzińcu. Patrząc na jasną i świeżą zieleń młodych pędów, chociaż nie dochodził do mnie ich zapach, próbowałem przywołać go siłą wyobraźni. Chyba mi się to udało, bo w pewnej chwili poczułem gorycz w ustach, jakbym rozgryzł świerkowe igiełki.

Ktoś usiadł przy moim stoliku, ale nawet nie uniosłem głowy, zapomniałem przez chwilę, że nie jestem już sam przy stoliku. A gdy podniosłem oczy — osłupiałem. Obok mnie siedziała Maria Fatiejewa. Momentalnie uleciał zapach i smak igieł świerkowych, uczucie goryczy w ustach znikło. Szybciutko otworzyłem podręcznik, usiłując sobie przypomnieć, z czego też miałem zrobić notatki. Ale w głowie miałem pustkę, więc tylko bezmyślnie przerzucałem kartki, udając, że robię coś ważnego.

Przybrawszy minę człowieka bardzo zajętego, ukradkiem obserwowałem Fatiejewą, która otworzyła gruby zeszyt i coś czytała. Rzuciłem okiem po sali — było dużo wolnych miejsc, nawet całe stoliki nie zajęte. Wtedy nabrałem pewności, że ona nie bez powodu usiadła koło mnie. Na tę myśl ogarnęła mnie dziwna słabość, nawet fala nudności podeszła do gardła.

Wreszcie znalazłem w dialektologii to, czego szukałem, i już zabrałem się do robienia notatek, a nawet zdawało się, całkowicie pochłonęły mnie charakterystyczne cechy gwary Poleszuków, gdy usłyszałem obok:

— Przepraszam...

Uniosłem głowę znad zeszytu szybciej, niżbym sam tego chciał — zielone oczy Fatiejewej patrzyły wprost na mnie. Zapalały się w nich zimne błyski i przygasały, by znów się zapalić.

— Przepraszam — powtórzyła Fatiejewa, zamkną-

wszy swój zeszyt — że usiadłam przy pańskim stoliku...

— Nie jest przecież mój... — tyle tylko powiedziałem, nie znajdując innych słów.

— Ale chciałam z panem pomówić — ciągnęła dalej Fatiejewa.

— Proszę — odpowiedziałem, nie mając pojęcia, jaki możemy mieć temat do rozmowy.

Teraz nie obawiałem się już patrzeć jej w oczy, nie bałem się przyjrzeć z bliska jej twarzy. Z daleka wydawała mi się ładniejsza. Z daleka — to znaczy, kiedy ją spotykałem przypadkiem na korytarzu czy na ulicy. A teraz odkryłem, że nad lewą brwią ma niewielkie znamię i że jej nos jest bardziej zadarty, niżby przypuszczalnie sama tego pragnęła.

Patrząc tak na nią czułem, jak gdybym robił coś, do czego wcześniej nie miałem prawa, ale prawo to — zwracając się do mnie, siadając przy moim stoliku — sama Fatiejewa mi teraz dała. Przyjemnie mi było na nią patrzeć i jakoś nie bałem się sam wobec siebie do tego przyznać.

— Pan chyba powinien coś wiedzieć... — po chwili milczenia mówiła dalej Fatiejewa — tylko czy mi pan powie, bo inni nabrali wody w usta... — Nie znajdowała właściwych słów, denerwowała się i z wyrazu jej twarzy, której rysy nagle jakby się zaostrzyły, co uczyniło ją bardziej obcą, domyśliłem się, że Fatiejewa zła jest na siebie za tę słabość.

— Ale o co chodzi? — spytałem, odzyskując wewnętrzny spokój. Może właśnie dlatego byłem tak spokojny, że ona się denerwowała.

Umilkła, jakby się zastanawiając — mówić czy nie. A ja, by jej nie peszyć i nie psuć jej jeszcze bardziej nastroju, spuściłem wzrok.

— Niech mi pan powie — odezwała się, a zabrzmia-

ło to jak krzyk hamowanego bólu — co tam było z Wołodią?

— Z którym? — znów patrzyłem na nią, patrzyłem ze zdziwieniem, bo w pierwszej chwili nie zorientowałem się, o kogo chodzi.

— Z Babenką!

— A-a, z Bobem! — zawołałem i nawet się uśmiechnąłem, ale zaraz uśmiech zgasł na mej twarzy. — A co takiego?

— Bo absolutnie nie mogę pojąć, co się z nim dzieje. — Widać było, że każde słowo sprawia jej ból, cały czas jej usta drgały nerwowo.

Domyśliłem się już, o czym chce mówić. I byłem zdziwiony — czyżby dotąd nic nie wiedziała? No dobrze, Babenko nie powiedział jej o tej całej historii i nie zamierza powiedzieć, ale żeby nikt ze studentów nie wygadał się przy niej?

— A co się z nim dzieje? — spytałem takim tonem, jakbym też nic nie słyszał.

Fatiejewa skrzywiła się — po co to udawać, po co kręcić... A ja znowu spytałem:

— Dlaczego pani zwraca się do mnie?

— Widzi pan, Wołodia powiedział mi kiedyś, że podobno utopiłby go pan w łyżce wody.

— Ja? — aż mnie poderwało.

Fatiejewa nie odpowiedziała, tylko zmrużyła swe duże oczy, patrząc na mnie uważnie i rażąc mnie zielonym blaskiem swego spojrzenia.

— Dlaczego on sam pani nie powie, co się stało?

— Nie mogę go o to pytać... Mam do niego pełne zaufanie, on do mnie też...

Ledwo dobywała z siebie słowa, a ja odniosłem wrażenie, że nienawidzi mnie w tej chwili za to, że zdecydowała się ze mną mówić, nienawidzi — za swoje upokorzenie...

— A więc? — przygryzła nerwowo wargi.

— Aha — powiedziałem — to Boba nie chce pani o nic pytać, a mnie pani pyta? A może byłoby lepiej, gdyby się pani od niego wszystkiego dowiedziała, a nie od osób trzecich? Czy tak się postępuje, gdy się ma do siebie zaufanie?

Wiedziałem, że teraz na pewno mnie znienawidzi, ale co mogłem zrobić. Nawet nie to, że nie chciałem w tej całej historii być gorszy od innych, chciałem po prostu być sobą.

— Pan wie... pan wie... ja to widzę... — szeptem prawie odezwała się Fatiejewa, a mnie tak bardzo żal się jej zrobiło, że zabrakło mi tchu. — Ale nikt nie chce mi powiedzieć, pan też...

— Niech pani spyta swego Babenkę — rzuciłem ostro. — A w ogóle nie wiem, czego pani ode mnie chce.

Fatiejewa wstała, nerwowo schowała zeszyt do jasnej teczki z dermy. Usta jej drgały, ale chyba nawet nie zdawała sobie z tego sprawy.

— Co za ludzie — powiedziała cicho, znużonym gestem dotykając czoła — co za ludzie...

I odeszła. Jej kroki rozbrzmiewały głośno i gniewnie. Studenci podnosili głowy znad książek i ze zdziwieniem patrzyli na nią. Odgłos tych kroków bolesnym echem odbijał się we mnie... Nie wiem, jak to się stało, ale nie mogłem się powstrzymać i opamiętałem się dopiero za drzwiami czytelni, szybko przebiegłszy pomiędzy stolikami i wzbudziwszy jeszcze jedną falę podniesionych wysoko studenckich głów.

— Mario!

Czy miałem prawo tak po prostu zawołać ją po imieniu?

Przystanęła. Na jej twarzy malowała się niepewność i zarazem złość.

— Mario — powiedziałem, podchodząc bliżej i czu-

jąc, że jednak nie zdobędę się na to, by powiedzieć jej to wszystko, co jeszcze przed chwilą chciałem jej powiedzieć. — Niech pani zrozumie, że wy sami między sobą musicie to wyjaśnić, a jeśli będę wtrącał się ja czy ktokolwiek inny, obcy, to tylko może zaszkodzić...

Jej brwi wolno uniosły się w górę. A jednak była naprawdę piękna, nawet teraz, w takiej chwili, nie przestawałem jej podziwiać.

— Głupiec — powiedziała.

Jak osłupiały stałem w miejscu i patrzyłem za nią, zbiegającą po schodach w dół.

A niech sobie tam w czytelni leżą moje książki i zeszyty, nie mogę teraz pójść po nie...

Po niedawnym przelotnym deszczu w parku uczelnianym wszystko błyszczało. Na drzewach przesłoniętych ni to leciutką mgiełką, ni to przejrzystym wodnym pyłem połyskiwało mokre listowie, ich pnie, świeże i czarne, mieniły mi się w oczach — podobnie jak wczesną wiosną, tylko ich zapach jest wtedy inny — leciutki i bardziej podniecający.

Mokrą piaszczystą ścieżką poszedłem w prawo, w stronę, gdzie park przybliżał się do ludzkich siedzib, gdzie niewielkie stare sady stały w zbrązowiałym listowiu i żółtych połyskach dojrzałych jabłek... Na skraju parku biegł wykopany w torfiastej ziemi długi kanał, a właściwie zwykły rów; woda w nim była nieruchoma, posępna, nie zmącona najmniejszą falą.

Usiadłem na wilgotnym topolowym pniu, zapatrzyłem się na sady, ciche i tchnące spokojem. A gdy opuściłem wzrok niżej, na ziemię — moje oczy rozbłysły radością. Bo na tej torfiastej ziemi, wyrzuconej z kanału, wyrosła gęsta, wysoka trawa i teraz zieleniła się tak świeżo jak w maju. Każde źdźbło tej trawy obsypane było rzęsiście kroplami deszczu, każde

było jak sznur paciorków, a każdy paciorek — jak najczystszy, najdelikatniejszy kryształ, żywy, płochliwy, gotów każdej chwili rozsypać się od podmuchu wiatru czy nieostrożnego ruchu.

Nachylony, długo przyglądałem się trawie, na której jak żywe srebro drżały leciutko krople deszczu; patrzyłem na nie, jak gdybym już-już miał poznać tajemnicę ich piękna. I czułem się w tej chwili szczęśliwy. I już wiedziałem, z góry wiedziałem, że z dzisiejszego dnia właśnie to najwyraźniej zapamiętam. Inne rzeczy, ważniejsze, pójdą w zapomnienie, zatrą się i zwietrzeją, a jednak te krople deszczu na trawie zawsze trwać będą w mojej pamięci, z czasem będą mi się wydawać jeszcze piękniejsze, niż były naprawdę, i owo wrażenie, jakie na mnie wywarły, też będzie się zdawać silniejsze.

Przypomniałem sobie jeszcze niedawny obrazek, jak to chłopczyk karmił bułką wróble, które podchwyciwszy ciężkie okruchy próbowały ulecieć z nimi, lecz nie mogły, i jak ten chłopczyk wesoło się śmiał... Wiem, że i tego chłopczyka będę pamiętał do końca życia, bo patrząc na niego też czułem się szczęśliwy. A sprawił to przypadek, drobnostka.

Pomyślałem, że nie ma widocznie drobnostek w życiu. Wszystko jest ważne dla człowieka, jeśli sprawia mu radość, czyni go szczęśliwym, ważne jest uczucie, jakie rodzi się w nim dla drugiego człowieka, ale ważne jest również piękno takiej deszczowej kropelki na źdźble trawy. Bo może taka kropla jest sama w sobie niczym, ale nie jest niczym ludzka dusza, która zdolna jest odczuć jej piękno...

Wieczorem wracając z wykładów znów chciałem popatrzeć na tę wysoką, gęstą trawę, którą widziałem za dnia po deszczu. Ale było już ciemno, więc schyliłem się, powiodłem po niej dłonią i z garścią pełną zimnej rosy poszedłem dalej...

Po kolacji wstąpiłem do naszej świetlicy, mieszczącej się na trzecim piętrze akademika, aby chwilę poczytać w spokoju. Ale nie udało mi się poczytać, i zatrzymałem się tu na dłużej. W świetlicy, której dwa okna wychodzą na ślepe podwórze, wisiała chmura żółtawosinego dymu, a nikomu nie przyszło do głowy otworzyć lufcik.

Trafiłem akurat na ożywioną dyskusję, toteż nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Pod szafą, z której wyglądały stare zszywki gazet, stał z założonymi na piersi rękami jakiś rudy chłopak ze spiczastym nosem i zajęczą wargą i ostentacyjnie, głośno się śmiał. Naprzeciwko niego stał Chrystołobenko, usta mu lekko drgały w grymasie pogardy. Widocznie czekał, aż rudy przestanie się śmiać, ale tamten, jak gdyby wszyscy tylko po to się zebrali, by wysłuchiwać jego śmiechu, nabierał w płuca coraz to nowe hausty powietrza i nie miał zamiaru przestać.

Doczekawszy się wreszcie ciszy, Chrystołobenko potrząsnął gazetą trzymaną w ręce:

— Jeszcze raz powtarzam... Autor twierdzi, jakoby nie każdy mógł zostać człowiekiem wybitnym, a więc i nie należy do tego dążyć... To jest antyhumanistyczna pisanina. Takie indywiduum, które poprzez prasę głosi tego rodzaju teorie, należałoby zamknąć w więzieniu. Uważam...

Znów przerwał mu śmiech rudego. Tym razem jednakże nie śmiał się długo.

— Negujesz to twierdzenie, czyli masz nadzieję, że w pierwszym rzędzie ty sam masz możność zostać wybitnym człowiekiem.

Ze wszystkich stron posypały się głosy:

— Rzeczywiście, nie wszyscy mogą być wybitni!

— I byłoby nudno, gdyby wokół były same znakomitości!

— Dlaczego to ma być antyhumanistyczna pisanina? Napisane tak, jak jest w życiu.

Saszko chciał coś powiedzieć, ale rudy nie dopuścił go do głosu. Strojąc błazeńskie miny, krzyknął do złego już Chrystołobenki:

— I naturalnie jesteś przekonany, że nie tylko ty możesz zostać wybitną osobistością, ale i ja, na przykład, też!

Teraz już śmiał się nie tylko rudy z zajęczą wargą, ale wszyscy zebrani w świetlicy. Widocznie było dla nich warte śmiechu, że rudy mógłby zostać kimś innym, niż jest. Nie śmiał się tylko Chrystołobenko — wciąż patrzył uważnym, niemal surowym wzrokiem na błaznującego rudego.

— Nie wszyscy, nie wszyscy — wreszcie udało mu się dorwać do głosu. — Nie wszyscy mogą i wcale to nie jest potrzebne. Ale negowanie szansy — dla każdego człowieka — najpełniejszej realizacji indywidualnych możliwości — to zbrodnia! I to świadoma, toteż nie ma dla niej usprawiedliwienia. I ty, Donat, dobrze to wiesz... A jeśli dotychczas tego nie zrozumiałeś, to powinieneś zrozumieć.

Donat Ozerny nawet do świetlicy, gdzie uczymy się do egzaminów czy przygotowujemy do zajęć i gdzie każdy przychodzi byle jak ubrany — wyelegantował się, jakby szedł na pierwszą w życiu randkę. Miał na sobie brązowe spodnie, białą koszulę i krótki jasny krawat związany w szeroki węzeł. Teraz skrzywił wargi i, nie podnosząc głosu, powiedział spokojnie i z godnością:

— Ja, jak wielu tu obecnych, nie wyobrażam sobie społeczeństwa składającego się wyłącznie z ludzi wybitnych, z samych znakomitości... To jest tak samo, jak gdyby ktoś mi kazał jeść co dzień tylko torty, tylko słodkie ciasteczka. A ja chcę kawałek czarnego chleba, czasem kwaśnego, czasem czerstwego.

— Ale negować samą możliwość... — zaczął Chrystołobenko, którego drażnił wyniosły ton Donata i jego mina.

— Geniusz = to odchylenie od normy. Jest niezbędny dla społeczeństwa jako stymulator. Ale jeśli całe społeczeństwo stanie się genialne...

Tu już Chrystołobenko nie wytrzymał. W zapale dyskusji uniósł w górę ręce wołając:

— Nigdy społeczeństwo nie będzie się składało z samych geniuszów. Ty przekręcasz i przesadzasz, odbiegasz od właściwego tematu dyskusji. Bronisz tego, czego ja wcale nie kwestionuję.

— A o co tobie właściwie chodzi? — spytał Donat tonem człowieka, który wszystko wie.

— O stworzenie warunków...

— Cieplarnianych? — zdążył wtrącić Donat w jego tyradę.

— ...jednakowych dla wszystkich, aby każdy człowiek miał jak najpełniejszą możliwość rozwinięcia swojej osobowości, swoich zdolności. A nie wyrośnie z niego geniusz — to już w dużej mierze jego własna sprawa...

— Aha, nieudolność nie jest bynajmniej społecznym osiągnięciem — uszczypliwie dorzucił Donat.

— Ja tylko nie mogę się zgodzić z takim postawieniem sprawy, że nie każdy może zostać człowiekiem wybitnym, więc i nie należy do tego dążyć, a zatem już od dziecka należy sobie stawiać skromniutki i prościutki cel. Trzeba mieć jakieś pragnienia.

— Choćby się nie wiem jak nadymała bańka mydlana, w końcu musi pęknąć — skrzywił się Donat.

— To wszystko, o czym mówię, demobilizuje człowieka, prowadzi do jego przedwczesnej kapitulacji wobec życia i wobec samego siebie.

Chrystołobenko był blady i podniecony.

— Same wykrzykniki — nieomal pojednawczo po-

wiedział Donat. — Ty, Chrystołobenko, zbyt jesteś egzaltowany... Wyjątkowych istot ci się zachciewa, geniuszów, bohaterów... Ludzie są zwyczajni, gdzie im tam do mitycznych herosów. Jak będzie trzeba...

W sali zaległa cisza. Wszyscy czekali, co powie Chrystołobenko. Wąskie wargi Donata skrzywił złośliwy uśmieszek.

I naraz odezwał się Iwan Illicz Mordiukow, też kolega z naszego roku. Do tej pory siedział w milczeniu i tylko wodził wzrokiem za dyskutantami. Był jak zawsze w bluzie wojskowej.

— To nieprawda! — zawołał Iwan Illicz, purpurowy z gniewu. — Ot, ja byłem w wojsku... Tak, to nie wojna... I dobrze, że nie wojna... Ale i teraz różnie bywa... Oho, ile może się zdarzyć!... Tak samo ze mną... W czasie pokoju, nie na wojnie... Czyż mnie... Czyż ja... — jąkał się nie znajdując słów dla wyrażenia swej myśli i aż mu wargi sczerniały ze zdenerwowania.

— Chcesz powiedzieć — spokojnie przerwał mu Donat — że ty świadomie naraziłeś się na kalectwo?

— A żebyś wiedział!

— I uważasz się za bohatera? — z podkreśloną uprzejmością spytał Donat.

W pierwszej chwili Iwan nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć. Po chwili jednak rzekł niezbyt pewnym tonem:

— Tak! A jeśli nie ja, to inni tak uważają.

— A więc ci inni i ty razem z nimi jesteście przekonani, że stracić w wojsku nogę, rękę czy głowę — to heroizm?

— Nie bluźnij! — ochrypłym głosem zawołał Chrystołobenko, a ja poczułem nagle, jak ścisnęło mnie w gardle.

— E-e, nie — nie zamierzał kapitulować Donat Ozerny. — Skoro już zaczęliśmy, to mówmy dalej otwarcie. Nauczmy się nazywać rzeczy po imieniu, tak

jak je widzimy, a nie, jak chcielibyśmy widzieć. Stracić nogę — to w końcu tylko stracić nogę. Ta strata zresztą to był przypadek. Psychika poczęła przywykać do tego faktu dopiero wtedy, kiedy to się stało. Gdyby człowiek świadomie poszedł na to, by stracić nogę, bo wymagał tego interes ogółu, można by to nazwać bohaterstwem.

— Takich... wypadków... były tysiące! — zawołał Iwan Illicz, z drżącą z oburzenia twarzą.

— Nie przeczę — rzekł Donat. — Co prawda, to prawda. Ale chcę zauważyć, że heroizm — to też odchylenie od normy. Do heroizmu zmuszają człowieka niezwykłe okoliczności.

— Ty... jesteś przeciw heroizmowi?! — znów krzyknął Iwan Illicz.

— Tylko za heroizmem — z umyślnym patosem odparł Donat.

— Co? — nie mógł się połapać prostoduszny Iwan. — Naprawdę? — Ale gdy się zorientował, że Donat kpi sobie z niego, zbladł, stuknął ostrzem okutej laski o podłogę, zerwał się z miejsca i mocno utykając na protezie, podszedł do Donata. — To ty naigrawasz się ze mnie, draniu?! — powiedział szeptem, ale wszyscy słyszeli, bo naraz cisza zapadła taka, że usłyszałbyś przelatującą muchę.

Twarz Donata pozostała spokojna, nieporuszona, jednak podniósł się i stał, bacznie patrząc na Iwana Illicza, zmierzającego ku niemu przez salę.

— Daj mu lagą po głowie! — ironicznie poradził student z zającą wargą.

Być może, Iwan Illicz byłby to zrobił, ale chyba powstrzymała go ta właśnie rada. Stanął przed Ozernym i patrząc na niego tak, jakby miał przed sobą najzacieklejszego wroga, powiedział dobitnie:

— Te odchylenia... od normy... gniją teraz w ziemi... miliony gniją takich... z przypadku... I nie po to, żebyś

ty... teraz... plótł... mełł ozorem... — I nagle krzyknął: — Na kolana... przed ich pamięcią!

Wargi Donata leciutko drgnęły — widocznie chciał się uśmiechnąć, lecz w porę powściągnął uśmiech.

— Na kolana! — syknął Iwan Illicz.

Donat bezradnie powiódł osowiałym wzrokiem po sali. Wszyscy patrzyli na niego tak, jakby żądali, żeby naprawdę ukląkł. I ja w tej chwili doznawałem uczucia, że chciałbym rzucić go na kolana przed pamięcią poległych, nie przed zebranymi tu, w tej sali.

— No wiesz, ja także szanuję... — głos mu zdradliwie drgnął i Donat umilkł, by ukryć swój strach.

— Szanujesz!... Ty szanujesz! — wykrzyknął Iwan Illicz z płonącą twarzą. — Takich jak ty... na froncie... rozstrzeliwano!

— No, tu przecież nie front! — odparł Donat.

— Front! — ostro rzucił Iwan.

Odwrócił się i ruszył ku wyjściu. Utykał na protezie, przechylając całe ciało na okutą żelazem laskę. Donat odprowadził go wzrokiem aż do drzwi.

— Laska to nie argument — mruknął.

— Oczywiście, laska to nie argument — powiedział Chrystołobenko. — To żelazny dowód!

Donat stał z dość niewyraźną miną. Najchętniej pewnie wyszedłby stąd, lecz wyglądałoby to na ucieczkę. Zostawać też nie miało sensu: czuł, że nikt z nas nie jest po jego stronie.

A jednak chciał mieć ostatnie słowo i dlatego powiedział do Chrystołobenki:

— Mówiłeś, że chodzi ci o stworzenie takich samych warunków dla wszystkich, aby każdy mógł w pełni się wykazać? Masz, dziś dla niego — machnął w kierunku, gdzie znikł Iwan Illicz — były stworzone takie warunki. I on pokazał, co potrafi...

I dopiero wtedy ruszył ku drzwiom. A wszyscy pa-

trzyli za nim tak, jak gdyby żałowali, że wypuszczają na wolność wroga.

— No i gdzie ty się podziewasz? — przywitał mnie Saszko Chrystołobenko, gdy po pewnym czasie, pokręciwszy się jeszcze z chłopcami po korytarzach, wróciłem do pokoju. — Włóczysz się nie wiadomo gdzie, a ja tu mam zabawiać twoje dziewczęta?

Przy stole siedziała Switlana. Serwetka na stole zwisała krzywo, poniewierały się na niej okruchy chleba, stała szklanka z resztkami herbaty na dnie, a także gliniana popielniczka z niedopalonym papierosem. To oczywiście Saszko zostawił tego papierosa, potem go dopali, o ile nie zrobi tego przed nim ktoś inny. Switlana podniosła się z krzesła na mój widok i uśmiechnęła się tak szeroko, że ja, osłupiały — absolutnie nie spodziewałem się jej tu zobaczyć — też się uśmiechnąłem. Było mi tak dobrze, jak gdybym na tę chwilę czekał całe moje życie.

— Mam bilety do kina — powiedziała Switlana. — Początek za pół godziny... Myślałam, że już cię nie zobaczę.

— A gdybyś nie chciał pójść — uśmiechnął się Saszko — to ja mogę cię zastąpić... Myśmy się już tu poznali i wiesz — Switlana podoba mi się.

— A ty jej? — mruknąłem.

— Ja wszystkim się podobam — bez fałszywej skromności odparł Chrystołobenko.

— A zatem to jest ten pierwszy raz, kiedy się nie podobałeś.

— Jesteś tego pewny?

— Oczywiście.

Switlana przysłuchiwała się naszej rozmowie, ale się nie wtrącała. Kiedy wychodziliśmy już z pokoju,

Saszko przywołał na twarz jeden ze swych najczarowniejszych uśmiechów i spytał:

— A więc nie zapomni pani, że tu mieszka nie tylko Anton?

— Jakże mogłabym zapomnieć — odparła Switlana. I już na ulicy spytała: — Co to za jeden?

— Chrystołobenko — odpowiedziałem z naciskiem.

— A-a — pokiwała głową, jakby rzeczywiście wiele zrozumiała z tonu mojej odpowiedzi.

Szara i chłodna mgła szczelnie zasnuła miasto. Gdyśmy się oddalili nieco od akademika, obejrzałem się: światła okien zdawały się być zamknięte w przedziwnych pęcherzach powietrza, z których usiłowały się wydostać przebijając je swymi promieniami... Zacząłem Switlanie opowiadać o niedawnej dyskusji w świetlicy, o zachowaniu i wypowiedzi Donata Ozernego. Mówiąc o tym, jak gdybym od nowa przeżywał tę dyskusję, i to — tym razem — znacznie mocniej. Zdawało mi się, że Switlana słucha uważnie, gdy ni stąd, ni zowąd spytała:

— A dlaczego wtedy uciekłeś od nas?

Rzeczywiście, przecież ja wtedy... Przerwałem swoje opowiadanie w pół słowa, myśli całkiem mi się poplątały, nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— No cóż... poszedłem — bąknąłem tylko, bo czyż mogłem jej opisać mój ówczesny stan. I czy mogłem się przyznać, że wróciłem pod okna jej domu, a potem chyłkiem uciekłem?

Switlana spojrzała na mnie tak, jakby moja odpowiedź ją zadowoliła, jakby zrozumiała to, co kryło się za moimi słowami. Po krótkiej chwili milczenia spytała:

— Nie dziwisz się, że przyszłam do ciebie?

— Nie — odpowiedziałem, chociaż dotąd nie przestawałem się dziwić.

Wyszliśmy na centralny plac miasta, wybrukowa-

ny kamieniem. Na prawo biblioteka, na wprost — kino, na lewo — wielka restauracja, obok której przebiega droga wiodąca nad rzekę. Nad placem zawisła mgła, w której szybko poruszały się postaci ludzkie.

— I nie nauczyłem się grać na trombicie — powiedziałem, by przerwać niezręczne milczenie.

— Co? — rzuciła z roztargnieniem. A potem, jak gdyby wracając skądś z daleka, gdzie błądziła myślą, uśmiechnęła się: — Jeszcze się nauczysz, ja ciebie nauczę.

Pomyślałem, że chyba nigdy nie potrafię nabrać w płuca tyle powietrza, by wypełnić nim wielkie i puste wnętrze trombity, nie potrafię tak zadąć, by powietrze zagrało, zaśpiewało w drzewie.

— Nie wiem, co się dziś ze mną dzieje — mówiła Switlana. — Szłam do ciebie z pewnym zamiarem, ale rozmyśliłam się... A teraz jeszcze raz to przemyślałam. Nie poznaję sama siebie, zawsze jestem zdecydowana, jeśli czegoś chcę, to robię to. A tu... No, nie patrz tak na mnie, już się odważyłam... Wiesz... — Umilkła, widać, znów się zawahała, ale przemogła w sobie wahanie: — Nie obawiaj się, nic strasznego nie chcę ci powiedzieć... Po prostu, bądź moim przyjacielem. Co?

Nie wiedziałem, czego mogę od niej oczekiwać, a tu...

— Widzisz — mówiła z coraz większym przejęciem — jakoś już tak się utarło, że zawsze chłopiec proponuje dziewczynie, a jej pozostaje tylko zgodzić się... albo się nie zgodzić, to już zależy, jak się tam układa. A dlaczego tak jest? Dlaczego chłopiec ma wybierać, co? — powiedziała podniesionym głosem, jak gdybym się z nią spierał, chociaż w ogóle nie otworzyłem ust. — A dlaczego dziewczyna nie ma prawa?

— Kto powiedział, że nie ma?

— Oczywiście, że nie ma, tylko tak się mówi, że ma — ucieszyła się, że się odezwałem. — Zawsze dziewczyna jest wybierana i musi się z tym pogodzić.

A powiedz mi, dlaczego dziewczyna nie mówi chłopcu, który się jej podoba, że jest jej miły, że chce się z nim spotykać, chodzić do kina, siedzieć razem na wykładach? Dlaczego uważa się, że to poniża jej godność? A godności chłopca to samo nie poniża? Nie poniża, gdy powie dziewczynie, że ją kocha?

— Tylko w jednym wypadku — oświadczyłem.

— W jakim?

— Kiedy dziewczyna mówi „nie".

Uśmiech przemknął po jej twarzy.

— A ciebie ktoś wybierał? — Uważałem, że mam prawo ją o to spytać, skoro sama zaczęła tę całą rozmowę.

— Wybierał! — odpowiedziała głośno i buńczucznie.

— No i co?

— Ale ja nie mogłam jego wybrać — w jej głosie zabrzmiało wyzwanie. — Chociaż byłam kochana... i dotąd może jestem. Tylko mnie o to więcej nie pytaj — nie ma o czym mówić. A z tobą chciałabym się przyjaźnić... rozmawiać o wszystkim... żeby nie było między nami żadnych zabronionych tematów. Wiesz, tak jak to jest między dziewczętami, przyjaciółki niczego przed sobą nie ukrywają. Tylko ja nie chcę przyjaźnić się z dziewczyną, bo wtedy czuję się niepełnowartościowa.

— Niepełnowartościowa? — zdumiałem się.

— Wydaje ci się to dziwne? Mnie też.

— Czyż jednak potrafimy nie pamiętać o tym, że ty jesteś dziewczyną, a ja chłopcem?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — przerwała mi ostro.

— To może nas... krępować...

— Jeśli naprawdę będziemy przyjaciółmi, nic nas nie będzie krępować. No co, zgadzasz się? Tylko cię uprzedzam — bardzo nie lubię, jak się ktoś zaraz bie-

rze do całowania, pcha się z łapami. No powiedz sam, po co to komu?

— Może ktoś ma ochotę i pocałować się — czułem, że się czerwienię.

— Najpiękniejsze w świecie uczucie — to uczucie przyjaźni. Przyjaźń uszlachetnia ludzi, bo w przyjaźni nikt nie podporządkowuje sobie drugiego. A w miłości jest tak, że jedno kocha mniej, drugie kocha więcej i ktoś zawsze musi się podporządkować.

— Słuchaj, skąd ty to wszystko wiesz?

— A dlaczego nie miałabym wiedzieć? Cóż to, nie mam oczu? Czy rozumu? Tyle już rzeczy przemyślałam, tyle rozważyłam. Gdy się kocha, zawsze ktoś męczy się i cierpi... Nie, miłość to poniżenie dla człowieka! A przyjaźń...

— Czyż w przyjaźni też tak nie bywa? Nie zawsze obie strony są na równych prawach.

— Wtedy to już nie jest przyjaźń, Antonie — powiedziała z uśmiechem, jak do dziecka.

— A czy to jest miłość, gdy ktoś kocha mniej, a ktoś więcej?

— Tak, to jest miłość — i popatrzyła na mnie jak gdyby troszkę z góry.

— Wiesz, nigdy się nad tym nie zastanawiałem... Ale wydaje mi się, że miłość idzie w parze z przyjaźnią.

— Nie zawsze — zaprzeczyła. — Można kochać i nie być przyjacielem. Ile ja takich znam! A przyjaźń — umilkła, przygryzła wargę, jakby wahała się, czy wypowiedzieć swą myśl do końca. — Powiedz, czy nie wydaje ci się, że prawdziwa przyjaźń może przerodzić się w prawdziwą miłość?

— Uhm — pokiwałem głową, daremnie wytężając mózgownicę, by sobie przypomnieć chociaż jeden taki wypadek.

— Tylko ty, Antonie, nic takiego nie myśl sobie o nas. Będziemy przyjaciółmi — i koniec. Nie ma co

nawet myśleć, że z tego zrodzi się miłość. Zresztą jakoś nie wierzę, że tak bywa... A w ogóle ja jestem bardzo zdecydowana dziewczyna, prawda? Widzisz, nie bałam się wcale przyjść do ciebie, nie bałam się powiedzieć ci o tym wszystkim.

— Czy nie spóźnimy się do kina? — spostrzegłem się nagle.

— Nie — roześmiała się beztrosko. — Nie spóźnimy się, bo ja wcale nie mam biletów. Powiedziałam tak tylko, żeby zamydlić oczy temu... jak mu tam... Chrystołobence.

— To nasz donżuan z filologii... Przystojny chłopak i mądry.

— Przystojny? Wcale bym tego nie powiedziała. Do takich nigdy nie mam przekonania. Przymilnych i słodkich jak syrop, co to starają się przypochlebić każdym słowem, a w gruncie rzeczy są fałszywi.

Błąkaliśmy się po ciemnych uliczkach i znów wyszliśmy na centralny plac, akurat koło pomnika Lenina. I od razu natknęliśmy się twarzą w twarz na Donata Ozernego. Chyba był bardzo zaskoczony, bo przez chwilę jego twarz przypominała bladą i nieżywą maskę, na której zastygł na zawsze wyraz osłupienia.

Ale Ozerny otrząsnął się z tego i nie wiem po co podał mi chłodną dłoń. Mimo woli ją uścisnąłem i wtedy zrobiło mi się nieprzyjemnie.

— Już widzieliśmy się dzisiaj — powiedziałem. — Tam, w świetlicy.

— A-a — mruknął Donat i począł wycierać dłoń o marynarkę, jakby i jemu zrobiło się niemiło. I, żeby przerwać przeciągające się milczenie, powiedział: — Prawda, że szkoda czasu na takie rozmowy? I tak nikt nic nie rozumie.

— Dlaczego nie? — zaoponowałem. — Wszyscy rozumieją, tylko nie podzielają pewnych poglądów, bo sami myślą inaczej.

— A ty... — zwrócił się do Switlany i urwał. Widocznie chciał ją o coś spytać, ale przeszkadzała mu moja obecność. Chciałem już taktownie odejść na bok, ale Switlana wzięła mnie za rękę i leciutko ścisnęła mi palce. Donat potrząsnął głową, jakby odpędzał od siebie jakąś myśl i spytał całkiem z innej beczki: — A jak tam ojciec?

— Dziękuję, wszystko w porządku.

— A jak zdrowie babci?

— Dziękuję.

— A jej kotów?

Donat ironizował — jakże szybko potrafił wziąć się w karby.

— Właśnie prosiły, żeby cię pozdrowić — nie pozostała mu dłużna Switlana.

Donat skłonił się, odwrócił i wolnym krokiem oddalił się. Nie wiedziałem, jakie stosunki łączyły ich kiedyś i jak jest obecnie między nimi, ale czułem, że ani słowem nie powinienem teraz wspomnieć o tym, co tu przed chwilą zaszło.

— No, bywaj — powiedziała Switlana, gdy stanęliśmy przed jej domem.

Wydała mi się smutna, całkiem nie taka, jaką ujrzałem w moim pokoju i jaką była, gdy chodziliśmy po ciemnych uliczkach, rozmawiali... Wydała mi się tak smutna, że teraz wracając nie potrafiłem przywołać tego wiosennego zapachu, pierwszego gorzkawego zapachu wiosny, który towarzyszył mi zawsze po spotkaniu z nią... Zaledwie nikłe wspomnienie tego zapachu przebiło się przez stężałe jesienne powietrze.

Rano, napiwszy się osłodzonego cukrem wrzątku z „tytana" w suterenie akademika, pobiegliśmy na wykłady. My, to znaczy Chrystołobenko i ja. Przed nami biegł wiatr, tocząc kłęby kurzu, śmieci, pierwsze opadłe liście. Niekiedy zatrzymywał się, a nawet zawracał i ciskał tym wszystkim w nas. Chrystołobenko osłaniał łokciem twarz i z zaciśniętymi zębami wygrażał pięścią wiatrowi. Wiatr widać zląkł się, bo znów pognał naprzód, a my za nim.

Mijaliśmy właśnie zgarbionego mężczyznę w białym płaszczu, oblepiającym niezgrabną postać. Rzuciłem okiem na jego twarz i mimo woli przystanąłem.

— Dzień dobry! — pozdrowiłem go.

Mężczyzna zmrużył oczy, usiłując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek ze mną się zetknął, ale widać nie przypomniał sobie, bo jego spojrzenie pozostało kłujące i puste.

— Jak to, nie pamięta pan? — zawołałem w przekonaniu, że powinien mnie pamiętać. — Wtedy w parku razem zatrzymaliśmy niemieckiego policjanta, a potem zaprowadziliśmy na milicję. No?... Pan był w płóciennym ubraniu, o, tym, które ma pan pod płaszczem — i nawet odpiąłem mu dwa guziki płaszcza, by pociągnąć za połę płóciennej marynarki.

— A-a — ucieszył się. — Tak, przypominam sobie — powiedział, chociaż widać było, że nie pamięta. Zresztą, czy mógł mnie zapamiętać, wtedy wcale nie miał do mnie głowy, zresztą tylu się wówczas zebrało studentów, trudno, żeby wszystkich zapamiętał.

Z oddali zawołał mnie Chrystołobenko, ale pomachałem mu ręką, żeby nie czekał na mnie.

— Więc jak? — spytałem człowieka w białym ubraniu czy raczej w białym płaszczu. — Wszystko się wyjaśniło?

— Wyjaśniło — odparł.

— No i co? Co? — nalegałem, bardzo ciekawy, bo

ostatnio nic o tamtej sprawie nie słyszałem. A tu masz — spotkałem najważniejszą chyba osobę w tej całej historii.

— Wyjaśniono, co trzeba — jawnie unikał odpowiedzi wprost.

— Przymknęli go?

— Nie, wypuścili — wyznał niechętnie.

— Ale dlaczego? — nie mogłem w to uwierzyć. — Przecież on tyle krzywd wyrządził waszym ludziom... Dlaczego wypuścili go?

— Bo on rzeczywiście odsiedział swoje.

— Ile? — spytałem głupio.

— Piętnaście lat.

— Więc jakże pan...

— A tak! — rzucił gniewnie. — On uciekł z naszej wsi, a kto go tam wie, czy siedział, czy nie siedział... Zresztą mało dostał. Za takie rzeczy trzeba rozstrzeliwać.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, wydłubał jednego żółtymi od tytoniu palcami. Chciał zapalić, ale wiatr gasił mu ogień, więc stanąłem tak, by go osłonić od wiatru.

— A to syn jego był wtedy? — spytał. — Aha, znaczy syn. Też będzie wrogiem.

— Jak to wrogiem? — zdziwiłem się.

— Bo tak! To już taki ród. A co, może ci ich żal?

— Starego mi nie żal ani trochę — powiedziałem twardo.

— Jak ci nie żal starego, to niech ci nie będzie żal i jego syna. Myślisz, że oni ulitowaliby się nad tobą, gdyby wtedy wzięli górę? Gdzie byś ty dzisiaj był... I zapamiętaj sobie! — powiedział z przyciskiem. — Nigdy nie wolno litować się nad wrogiem. Litość dla wroga — to tyle co samobójstwo. No, jesteś jeszcze młody, kiedyś to zrozumiesz. Idź, bo spóźnisz się na wykłady. A może już się spóźniłeś?

Gdy się obejrzałem, on wciąż jeszcze stał i patrzył za mną. Jak gdyby chciał mnie przed czymś ostrzec, jakby chciał jeszcze przekazać mi swą nienawiść do wszystkiego, co tak zaważyło na jego życiu. Warto byłoby z nim o tym wszystkim porozmawiać.

Tak, ten człowiek ma rację. Trzeba zawsze mieć świadomość, że wrogowie mojego narodu są moimi osobistymi wrogami, że różni zaprzedańcy to także moi krzywdziciele, i nie mam prawa o nich nie wiedzieć, nie interesować się nimi, pozostawać wobec nich obojętnym. Bo kimże się jest, jeśli się nie pamięta o tym wszystkim? Tylko postronnym obserwatorem, a nawet przez swą bierność jak gdyby współuczestnikiem ich zbrodni. I gdy się człowiek dobrze zastanowi, to chociaż to wszystko oddaliło się w czasie, bynajmniej nie minęło, jest wciąż żywe i aktualne.

W przerwach między wykładami chodziłem po korytarzach w nadziei, że spotkam Marię Fatiejewą. Zobaczyłem ją na ostatniej przerwie, gdy wchodziła do zakładu literatury. Wszedłem za nią. Fatiejewa wzięła u asystentki potrzebną jej książkę i już miała wyjść, gdy zastąpiłem jej drogę. Uniosła głowę, w jej zielonych oczach mignął ni to lęk, ni to odraza — i wyminęła mnie zręcznie. Dogoniłem ją dopiero na korytarzu.

— Niechże pani nie ucieka — powiedziałem — dlaczego pani ucieka...

Spojrzała na mnie z miną, która mówiła aż nadto wyraźnie, żebym jej nie zawracał głowy.

— Mario — powiedziałem — pani mnie wtedy pytała, a ja nie mogłem nic powiedzieć, ale dziś... widzi pani, spotkałem pewnego człowieka, który wie o wszystkim... i on... że Bob niczemu nie jest winien, a raczej, że winien jest jego ojciec... to znaczy... tylko...

Język mi się plątał, nie mogłem jej z sensem wytłumaczyć tego wszystkiego i już złość mnie brała na siebie samego, że wpakowałem się w tę całą historię i usiłuję wyjaśnić Fatiejewej to, do czego byłoby lepiej nie wtrącać nosa.

Patrzyła na mnie wrogo i nieprzystępnie.

— Niech pani nic złego nie myśli o Bobie — brnąłem dalej, gdyż nie miałem w sobie tyle siły, by odwrócić się i odejść — on jest taki sam jak inni, porządny chłopak i nie ma nic wspólnego...

— Z czym nie ma nic wspólnego? — lodowatym głosem spytała wreszcie Fatiejewa.

Teraz już całkiem straciłem wątek.

— No, to znaczy ma, ale nie bezpośrednio... on sam nie jest niczemu winien — plątałem się jeszcze bardziej.

Maria miała taki wyraz twarzy, jakby za chwilę znów miała nazwać mnie głupcem. I wtedy wypaliłem:

— A zresztą, czy on jest mężczyzną, czy nie? Niech sam pani wszystko powie. Ja mówię o tym, bo mnie pani pytała. Gdyby pani nie pytała, nie pchałbym się. I nie ja panią stawiam w głupiej sytuacji, ale pani mnie. Muszę się teraz zastanawiać, co mogę pani powiedzieć, a czego nie.

— Panie...

Ale ja odwróciłem się i odszedłem, nie chciałem już nic słyszeć. Byłem zły na siebie, na cały świat. I co ja się rozczulam nad Bobem czy nad Fatiejewą? Nie ma się co rozczulać, trzeba im wyłożyć kawę na ławę, bez dobierania pięknych i ostrożnych słówek. Bo może to prawda co powiedział mężczyzna w białym płaszczu: „Niedaleko pada jabłko od jabłoni". Tak, nie ma co się rozczulać.

Dziwne to wszystko. Czy moja wielkoduszność jest naprawdę wielkodusznością? I co ja się tak troszczę

o to, by Fatiejewa nie przestała kochać swego Boba? Może on nie jest wart jej uczucia?

Wydaliśmy już z Saszkiem wszystkie pieniądze, a do stypendium pozostało jeszcze kilka dni. A tak już jest, że kiedy nie ma pieniędzy, to właśnie są bardzo potrzebne i nawet bardziej wtedy chce się jeść. Umyśliliśmy więc odwiedzić moją ciotkę Mełankę — chyba nas poczęstuje obiadem?

Ciotka przyjęła nas z radością. Znów układała swoje bukiety. Odłożyła robotę i tu, na werandę, przyniosła dwa talerze barszczu i smażonej ryby, po czym znowu zabrała się do kwiatów.

— Przyszlibyście i jutro do mnie na obiad — powiedziała — i pojutrze wpadnijcie.

— Umiemy najadać się na kilka dni naprzód — zażartował Saszko.

— E-e, moje dziecko — rzekła na to ciotka — nie wolno tak robić, sami sobie szkodzicie. A to grzech.

— Co za grzech? — mruknąłem.

— Oczywiście. Człowiek powinien żyć tak, żeby nie zadawać cierpienia ani sobie, ani innym. Ileż jest takich, co niezadowoleni z siebie, sami się zżerają. A czyż można mieć do siebie pretensje, że się człowiek urodził takim, jakim jest, a nie innym? I choćby nie wiem jakie robił sobie wyrzuty, innym już nie będzie.

— Dlaczego ludzie pragną być innymi? — spytał Saszko.

— No, chcieliby być piękniejsi — odparła ciotka — mądrzejsi... bogatsi... Albo chcieliby zdobyć władzę, jeśli jej nie mają. Dlatego miotają się, nie dają jeden drugiemu spokoju. A ja tak sobie myślę, że wtedy człowiekowi najlepiej się żyje, kiedy jest ze wszystkiego zadowolony.

— Jakże to tak? — zdziwił się Saszko.

— A tak. Nie martwić się, kiedy się ma kawałek chleba, ale jeść ten chleb. I nie patrzeć, że sąsiad je chleb z masłem. Bo twój chleb też dobry, chociaż bez masła. Mam ja tę chałupkę — i jest mi dobrze. A gdybym chciała mieć ładniejszą, większą? Wtedy tylko o tym bym myślała, już by to mnie męczyło, nie dawało spokoju.

— Człowiek dąży do udoskonalenia swojej osobowości — powiedział Saszko.

— Może... Ale popatrzcie na mnie... Gdybym ja zaczęła dążyć... do udoskonalenia, to czy coś by z tego wyszło?

Obaj jednocześnie spojrzeliśmy na ciotkę — już niemłodą, z obwisłymi policzkami, ze znużonym spojrzeniem — i pomyśleliśmy, że chyba mówi prawdę: już nigdy się nie udoskonali. Trudno mi było nawet wyobrazić sobie, że moja ciotka Mełanka mogłaby myśleć inaczej, być inną. Najbardziej do niej pasuje, że jest właśnie taka, jaka jest.

— Aha, nic nie mówicie — mrugnęła do nas — bo nie macie nic do powiedzenia.

— Jak pani doszła do takiej filozofii? — zainteresował się Saszko.

— Cóż — odparła ciotka — układa człowiek te bukiety, plecie wieńce, a przy takiej robocie różne myśli chodzą po głowie... Powiem wam jeszcze, chłopcy, żebyście nigdy nie byli skąpi ani chciwi...

— A dlaczego? — znów spytał Saszko.

— Bo to też zżera człowieka, nie daje mu być sobą, przeinacza go. Wtedy czerwie lęgną się w duszy, drążą, aż ją całkiem stoczą.

— No, no — pokręcił głową Saszko.

— A cóżeś ty myślał — z żarem powiedziała ciotka. — Mnie na przykład w mojej chałupie niczego nie trzeba.

— Nawet samej chałupy?

— A co? Już wszystko umyśliłam, co komu zostawię po mojej śmierci. Chałupę zapiszę jemu — skinęła na mnie.

— Cóż ja z nią będę robił? — zdziwiłem się.

— Będziesz nosił na plecach, jeśli nie będziesz wiedział, jak się jej pozbyć — z wyrzutem powiedziała ciotka.

— Dziękuję cioci — wykrztusiłem, czując się niewdzięcznikiem.

— No widzisz — ucieszyła się z mego podziękowania. — Teraz ty jeszcze niewiele rozumiesz, ale jak będziesz starszy, nieraz wspomnisz ciotkę dobrym słowem.

— A może by ciocia i jemu coś zapisała? — zażartowałem skinąwszy na Saszka.

Ciotka serio potraktowała moje słowa i zamyśliła się.

— Dlaczego nie — powiedziała po chwili — mogę i jemu coś zapisać, bo to twój kolega. Muszę się tylko zastanowić, potem ci powiem.

Tego dnia, na który wyznaczone zostało zebranie komsomolskie, Oloszka przyszedł w swym najlepszym ubraniu, jak na jakąś uroczystość.

Starosta naszego roku, Ola Bonifatiewa, siedziała na wykładach poważna, skupiona, z nieporuszoną, nieomal martwą twarzą. Obserwując ją czułem jednak, że dziś Ola jest w swoim żywiole.

Na przerwie podszedł do Oloszki Iwan Illicz, klepnął go po ramieniu.

— Trzymaj się, chłopie — powiedział. — W wojsku nie takie rzeczy się zdarzają i jakoś wszystko rozchodzi się po kościach.

Oloszka musiał być porządnie zdenerwowany, bo gwałtownym ruchem strącił dłoń Iwana.

Z ramienia egzekutywy naszego wydziału przyszedł na zebranie Roman Storożuk. Podczas gdy z hałasem zajmowaliśmy miejsca, Roman stanął przy oknie i, otworzywszy jakiś tomik, czytał z marzącą miną. W pewnej chwili, jakby czując na sobie mój wzrok, podniósł oczy i od razu podszedł do mnie.

— Cześć, Szyszkin! A wiesz, paskudnie się wtedy wygłupiliśmy. Tak mi nieprzyjemnie...

— O czym mówisz? — nie zrozumiałem.

— No przecież o Babence. Okazało się, że jego ojciec uczciwie odsiedział swoje.

— Czyż można tu mówić o uczciwości? — uniosłem się nagle. Roman uważnie spojrzał na mnie.

— Prawo jest po to — rzekł mentorskim tonem — aby je respektować.

— Czy może być prawo o uczciwości — dla takich?

— Ten histeryk nieźle nas wtedy wystrychnął na dudka — mówił dalej Storożuk, jakby nie słyszał, co powiedziałem. — W ten sposób można się czepiać każdego i wlec go na milicję.

— Pierwszego lepszego nie będziesz się czepiał.

— Ale Bob, jego syn, co on jest winien?

Jeszcze niedawno biegałem za Fatiejewą, żeby jej powiedzieć to samo — że Bob niczemu nie jest winien, ale oto teraz, rozmawiając z Romanem Storożukiem, myślałem już inaczej.

— Jest winien — powiedziałem.

— Jak to? Tylko dlatego, że tamten jest jego ojcem?

— Nie, winien jest własnej podłości. — Przypomniałem sobie człowieka w białym płaszczu, którego niedawno spotkałem, i to, co mówił o Bobie. I przypomniałem sobie, jak wtedy w parku Bob mówił o swoim ojcu „ten człowiek". I to, że Bob ani słowa nie powiedział Marii Fatiejewej. Nie powiedział, bo ją kocha i boi się utracić?

Rozpoczęło się zebranie. Ada Czornomorczenko,

sekretarz organizacji komsomolskiej, wyraźnie zdenerwowana, powiedziała rwącym się głosem, że zebraliśmy się tu dziś, aby rozpatrzyć osobistą sprawę komsomolca Szkuro. Mówiąc to patrzyła w okno, jakby tam gdzieś za oknem znajdował się komsomolec Szkuro, do którego się zwracała.

— Powiedz — mówiła dalej do okna — jak to się stało...

Oloszka Szkuro odkaszlnął.

— Po co ma mówić — odezwał się Chrystołobenko. — I tak wszyscy wiedzą.

— Tak się tu rządzisz, że może ty będziesz prowadził zebranie? — podskoczyła Ola Bonifatiewa.

— Dlaczego nie — odparł Chrystołobenko — wybierzcie mnie, to poprowadzę.

— Ołekso — zwróciła się wreszcie Ada Czornomorczenko do Oloszki — czy nie powiedziałbyś nam...

— Przede wszystkim niech wstanie — ostro rzuciła Ola Bonifatiewa.

Jej ostry ton do reszty wyprowadził z równowagi Saszka Chrystołobenkę.

— Niech siedzi! — stanął w obronie Oloszki.

— Saszko — zirytowała się Ada Czornomorczenko — to zebranie zostało zwołane nie z twego powodu, więc bądź cicho.

Szkuro niechętnie podniósł się w ławce i wbił oczy w ziemię. Był cały spocony.

— Jeśli masz własne przekonania — odezwał się Roman Storożuk — to wyłóż je nam. Z jakich pobudek to zrobiłeś?

— Pytacie o moje przekonania — drewnianym głosem zaczął Oloszka. — Lepiej byście spytali, co mi się urodziło, chłopak czy dziewczynka... Skoro już tak bardzo bierzecie do serca tę sprawę.

W sali zapadło przykre milczenie.

— Szkuro, bez demagogii! — zawołała Ola Boni-

fatiewa. — Tu idzie o coś całkiem innego. Odpowiadaj.

Oloszka jakby w ogóle jej nie słyszał.

— Widzicie, byli u mnie Chrystołobenko i Ursoł... Rozmawialiśmy... Myślicie, że chociaż oni wiedzą? I oni nie wiedzą, czy ja mam syna, czy córkę...

Poczułem, że krew uderza mi do twarzy. I Saszko cały poczerwieniał.

— No więc mów, Szkuro — znów odezwała się Ada.

— A co tu jest do mówienia — burknął Oloszka. — Ochrzciło się dziecko i tyle.

— No, no, Ołekso — rzekł Roman Storożuk — nie udawaj prostaczka. To sprawa poważna i trzeba zachowywać się poważnie, jak na człowieka dorosłego przystało.

— Niech będzie, że jestem prostaczek, i co z tego?

Gdyby Oloszka wyłożył swoje przekonania, gdyby bronił swojego postępku, wtedy wszyscy z zapałem poczęliby mu tłumaczyć, że stoi na błędnych pozycjach, że jego postępek jest nieprzemyślany itp. A tymczasem Oloszka milczał, jakby liczył na to, że jakoś mu się upiecze.

— Posłuchaj — zaczął znowu Roman Storożuk — jesteś już żonaty, masz dziecko, studiujesz, chcesz zostać nauczycielem, a zachowujesz się jak smarkacz... Mów wszystko, co i jak.

— Przecież i tak wiecie — powtarzał swoje Oloszka.

— No nie, słyszał to kto! — nie wytrzymała Ola Bonifatiewa, jak gdyby ta cała sprawa ją najbardziej piekła. — Zebraliśmy się, żeby mu pomóc, a wygląda na to, że on ma nas wszystkich w nosie...

— Kto cię tam ma... — mruknął Oloszka i otarł ręką pot z czoła, potem z jednego i drugiego policzka.

— A więc — podjęła Ada Czornomorczenko — odmawiasz wyjaśnienia motywów...

W tej chwili otworzyły się drzwi i w progu stanęła starsza kobieta, niewysoka i siwiuteńka, jakby głowę

miała całą w topolowym puchu. Trzymała w ręce czarną torbę, z której wyglądała marchew i buraki.

— Tu odbywa się zebranie — powiedział Roman Storożuk.

Kobieta jakby tego nie słyszała; wodziła wzrokiem po sali, szukając kogoś.

— Widzę, że zebranie — powiedziała. — A gdzie to mój Ołeksa Szkuro, jest czy go nie ma?

— Jaki Szkuro? — spytała Ada, która nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować.

— A dużo ich tu macie? — rezolutnie odpowiedziała pytaniem kobieta.

— Mamo! — odezwał się wreszcie Oloszka, gotów zapaść się pod ziemię. — Po co mama tu przyszła, teraz mamy zebranie...

— Właśnie dlatego przyszłam, że zebranie — oświadczyła kobieta wchodząc do środka. Stanęła koło drzwi i postawiła torbę na podłodze, jakby miała zamiar tu dłużej postać. Wszyscy patrzyli na nią i kobieta zrozumiała, że musi coś powiedzieć. — Sam mi przecież o tym zebraniu mówił. Nie miałam zamiaru tu przychodzić, nawet poszłam na targ, ale potem widzę, że to po drodze do domu, więc myślę sobie, wstąpię i posłucham.

— Ale to jest zebranie organizacji komsomolskiej — powiedziała Ola Bonifatiewa — i nie ma tu miejsca dla osób postronnych.

— A czemuż to ja mam być postronna? — z godnością spytała matka Oloszki.

I naraz Chrystołobenko rozzłościł się na Bonifatiewą:

— Co się czepiasz kobiety?

W sali wszczął się gwar. Storożuk podniósł rękę, nakazując ciszę, a potem:

— Skoro już pani przyszła, to niech pani zostanie. To nawet bardzo dobrze, że pani tu jest, mamy poważną rozmowę z synem.

— Wiem, wiem — westchnęła kobieta.

— Proszę usiąść w ławce, porozmawiamy.

Iwan Illicz wstał ze swego miejsca, utykając podszedł do niej, wziął torbę i zaniósł do pierwszej ławki. Kobieta poszła za swoją torbą i usiadła obok niej. Widocznie przykro było Oloszce stać w obecności matki, bo usiadł i zakrył twarz dłonią.

— Towarzysze — oznajmiła Ada Czornomorczenko — przybyła do nas matka Ołeksija Szkury.

Jak gdyby nikt z nas tego nie zauważył.

— Towarzysze — ciągnęła dalej Ada — może ktoś chce zabrać głos.

Nikt nie chciał zabierać głosu. Nawet Ola Bonifatiewa straciła ochotę — ostentacyjnie wyjęła z teczki jakąś książkę i udawała, że czyta.

Wtedy Roman Storożuk przypomniał Adzie, że ma prowadzić zebranie, bo przecież po to wszyscy tu przyszli.

— Towarzysze — niepewnie zaczęła znów Ada, bo całkiem straciła głowę. Jakże tu mówić o Oloszce w obecności jego matki... I dokończyła: — Kto chce wystąpić i osądzić niegodny czyn naszego komsomolca Ołeksy Szkury?

Znowu nikt nie chciał występować ani osądzać. I wtedy odezwała się matka Oloszki:

— A cóż on takiego zrobił, że trzeba go sądzić?

Wszyscy zwrócili głowy w jej stronę, radzi chyba, że się odezwała.

— Czyżby pani nie wiedziała? — spytała Ada Czornomorczenko. — On ochrzcił swoje dziecko!

— No i co z tego?

Ola Bonifatiewa odłożyła książkę i patrzyła na matkę Oloszki jak na jakieś dziwo.

— Jak to co? — Ada była w najwyższym stopniu zdumiona takim brakiem uświadomienia.

— A co w tym złego? — dopytywała się kobieta. —

Ja też jestem ochrzczona. I jak chcecie wiedzieć, dawniej każdy był chrzczony.

— Dawniej — roześmiał się Roman Storożuk. — Przepraszam, jak mam do pani...

— Olga Michajłówna...

— Olgo Michajłówno, niech nam pani powie taką rzecz... Dlaczego pani tu przyszła — żeby bronić swego syna czy żeby posłuchać, co o jego postępku powiedzą koledzy?

— I żeby posłuchać, co powiedzą koledzy, i zobaczyć, jakie jest ich sumienie...

— Jeszcze pani nic nie słyszała, a już o sumieniu... — żachnął się Storożuk.

— Bo on nic nie zrobił — powiedziała kobieta i podniosła się w ławce.

— Jak to nie zrobił? — przymrużył lewe oko Storożuk.

— A tak, że nie on zaniósł swoje dziecko do popa, tylko ja. On nic o tym nie wiedział, dopiero później mu powiedziałam.

— Jak to nie wiedział? — znów podskoczyła Ola Bonifatiewa.

— Nie byłam taka głupia, żeby mu naprzód mówić. Gdybym powiedziała, to nie wiadomo, czy by się zgodził. Nasz Oloszka taki, że wszystkiego się można po nim spodziewać.

Oloszka wciąż siedział z zasłoniętą twarzą. Jakby wcale nie o niego chodziło, jakby go tu w ogóle nie było.

— Szkuro! — zwrócił się do niego Storożuk. — Czy to prawda?

— Prawda — niechętnie mruknął Oloszka.

— Oczywiście, że prawda — wtrącił się Chrystołobenko. — Kiedy byliśmy u niego z Ursołem, mówił nam to samo.

— To dlaczego nikt z was o tym nie powiedział? Co? Szkuro?

— Mam robić donosy na własną matkę? — mruknął Oloszka. — Czy chować się za jej spódnicę?

— No, dlaczego zaraz donosy? — oburzył się Storożuk. — Powiedzieć prawdę towarzyszom, to nie donos... Bo to, co mówi twoja matka, radykalnie zmienia istotę sprawy.

— Jak to zmienia? — Ola Bonifatiewa aż podniosła się w ławce i szeroko rozwartymi oczami patrzyła na Storożuka.

— A tak, zmienia — powtórzył. — Przecież nie Oloszka ochrzcił dziecko, ale jego matka. On nawet nic o tym nie wiedział. Tak więc...

— Nie, ja tu czegoś nie rozumiem — z udaną naiwnością powiedziała Ola Bonifatiewa. — Bo pomyślmy. Dziecko zostało ochrzczone? Ochrzczone. Czyje dziecko? Ołeksija Szkury. Czy on wiedział o tym? Wiedział. To prawda, że dowiedział się po fakcie. Ale czy uświadomił sobie Ołeksij Szkuro do końca, co się stało? Nie, nie uświadomił sobie, bo usiłował się bronić, i teraz zachowuje się tak, jak gdyby nic się nie stało. A więc jest o czym mówić. I trzeba pomówić właśnie o światopoglądzie Ołeksija Szkury, o tym, czy zgadza się on z światopoglądem naszego studenta.

— Kto tu prowadzi zebranie? — grzmotnął pięścią Chrystołobenko. — Ty, Bonifatiewa?

— Tylko spokojnie — wtrącił się Storożuk. — Każdy ma prawo się wypowiedzieć. A zatem, Olgo Michajłówno... nie, ty, Ołekso... powiedz nam, czy nie masz nic przeciwko temu, że... słowem... że twoje dziecko zostało ochrzczone? A propos, to chłopczyk czy dziewczynka?

— Chłopczyk, dzięki Bogu — powiedziała matka Oloszki.

— Powiem wam... — zaczął Oloszka. Widać było, że obecność matki go krępuje. — Mnie to wcale nie

było potrzebne... Jaką z tego dziecko będzie miało korzyść? Albo ja?

— Nie, Ołekso — łagodnie odezwał się Storożuk. — Ty nam powiedz krótko i szczerze: cieszysz się, że twoje dziecko jest ochrzczone czy nie?

— A z czego tu się cieszyć — odburknął Oloszka.

— No właśnie — od razu poweselał Storożuk. — Nie ma się z czego cieszyć. To znaczy jesteś przeciw temu, co zrobiła twoja matka?

— Jak to „przeciw"? — zdziwił się Oloszka. — Przecież to się już stało.

Storożuk trzepnął rękami o poły.

— A ty sam ochrzciłbyś?

— Nie, pewnie, że nie. Słyszeliście przecież, że matka ani słowem się nie wygadała, póki nie ochrzciła. Na pewno bym tego nie zrobił, po jakie licho!

Storożuka znów uradowała ta odpowiedź.

— To dobrze. No, Ado, prowadź dalej zebranie, bo ja już przejąłem na siebie twoje obowiązki... Może Olga Michajłówna powie nam, po co nosiła dziecko do popa?

— Niech pani powię, Olgo Michajłówno — posłusznie powtórzyła Ada Czornomorczenko.

— Po co nosiłam? — zdziwiła się kobieta. — Po to, żeby ochrzcić.

Przez salę przeszedł stłumiony śmiech. Oloszka znów zasłonił twarz. A jego matka wciąż stała, oparłszy obie ręce, kościste i białe, na pulpicie ławki.

— Ale dlaczego? — z naciskiem spytała Ola Bonifatiewa.

Matka Oloszki przyjrzała się jej uważnie.

— A powiedz no mi, córko — zaczęła podejrzanie słodkim głosem — co ty tak doskakujesz do mnie i do mego syna jak ten Burek?

Chrystołobenko triumfująco roześmiał się na całą salę. Śmiał się chyba głośniej, niżby sam tego chciał.

Oli Bonifatiewej nagle łzy trysnęły z oczu, gorączkowo poczęła zbierać swoje książki, które ani rusz nie chciały się zmieścić w teczce. Wreszcie zebrała wszystko i z płaczem wyszła.

Przez dobrą chwilę wszyscy milczeli. Ada z wyrzutem patrzyła na Chrystołobenkę, a Storożuk bawił się swoimi palcami, jakby coś na nich liczył.

— Patrzcie, jakie to zawzięte — przerwała milczenie Olga Michajłówna.

— No dobrze, nie będziemy o niej mówić — znów objął rolę prowadzącego zebranie Storożuk. — Lepiej niech pani powie, po co ochrzciła pani dziecko... chłopczyka.

— A po co się chrzci? Żeby było ochrzczone.

— Czy to coś daje? — spytała Ada.

— Czy ja wiem? Może i daje, kiedy ludzie chrzczą.

— A o czym pani myślała, kiedy niosła pani dziecko do chrztu?

— O czym myślałam? Żeby było szczęśliwe, jak już z jego ojcem tak się życie okrutnie obeszło. Sami widzicie. A wszystko dlatego, jak mówili ludzie, że go nie ochrzciłam... Ja bym i teraz jeszcze zaprowadziła go do popa, ale on nie chce. Nie chce, to nie, jego wola, a przecież mi go żal.

— Ta-a-ak — niepewnie przeciągnął Storożuk. I jeszcze raz powtórzył: — Ta-a-ak... — I do Ady Czornomorczenko: — No, prowadź zebranie, dlaczego milczysz?

— Może ktoś chciałby zabrać głos? — już po raz któryś tam zwróciła się Ada do zebranych.

— Wszystko jest jasne, nie ma o czym mówić — ostro powiedział Iwan Illicz. — Szkuro nic nie jest winien, nie pochwala też czynu swojej matki. Prawda, Ołekso?

Tamten ukrył twarz za rozcapierzoną dłonią i milczał.

— Więc co postanawiamy? — bezradnie spytała Ada Czornomorczenko.

— Kto ma jakieś propozycje? — uśmiechnął się Roman.

I wtedy ja się odezwałem:

— Uznać chrzciny za niebyłe.

Ada pytającym wzrokiem spojrzała na Romana. Ten nie dał jej najmniejszego znaku, więc już sama zwróciła się do zebranych:

— Głosujemy?

— Ależ nie — wtrącił się Storożuk. — Chyba nie warto głosować. Po prostu tak zapiszemy i koniec.

— Jakże to — uznać za niebyłe? — odezwała się matka Oloszki.

— Taka jest uchwała zebrania — rozłożyła ręce Ada.

— Jak sobie uważacie — cicho powiedziała matka — ale ja uważam po swojemu.

— A zatem, koledzy — wesoło zawołał Chrystołobenko — postanowienie popa o ochrzczeniu sługi bożego syna Ołeksijowego uchwałą zebrania naszej organizacji komsomolskiej zostało jednogłośnie anulowane.

— Coś takiego! — kręciła głową matka Oloszki. — Co za naród ci studenci!

— Oloszka! — zawołał Iwan Illicz. — Głowa do góry!

Szkuro podniósł głowę i uśmiechnął się z przymusem. Mimo to i on wyraźnie był rad, że wszystko dobrze się skończyło. Podszedł do niego Roman Storożuk.

— Masz tylko jeden sposób, ażeby dowieść, że słusznie okazaliśmy ci zaufanie.

— Jaki? — połknął haczyk Oloszka.

— Znaleźć w kapuście jeszcze jedno dziecko, dziewczynkę, i na urodziny zaprosić cały nasz rok.

— Dobra — rzekł Oloszka. — Zrobi się.

Prawie wszyscy się rozeszli. Matka Oloszki też wyszła, nie zapomniawszy o swej torbie z zakupami. Widocznie nie chciała wracać do domu razem z synem, który przy kolegach wyparł się chrztu. Został tylko Oloszka, Chrystołobenko i ja. Postanowiliśmy odprowadzić Oloszkę do domu.

Aż tu naraz wchodzi do sali Ola Bonifatiewa. Jej i tak pulchne policzki są całe zapuchnięte, nawet — o dziwo! — kwitnie na nich niezdrowy rumieniec. Myśleliśmy, że po prostu czegoś zapomniała, ale nie, ominęła swoją ławkę i zmierza wprost ku nam, pod okno, gdzie jeszcze wymienialiśmy uwagi na temat zebrania.

— Ty... — zwróciła się do Oloszki i umilkła. Widocznie miała zamiar coś powiedzieć, ale w tej chwili wszystko wyleciało jej z głowy.

A ten patrzy na nią i uśmiecha się, jakby rodzoną siostrę nagle zobaczył i ucieszył się na jej widok.

Ola chyba wszystkiego się spodziewała, tylko nie tego przyjaznego uśmiechu. Może dlatego odebrało jej mowę? Opanowała się jednak i powiada:

— Ty nie myśl, że jestem ci wrogiem...

Oloszka dobrodusznie wzruszył ramionami.

— Ja pragnę twego dobra — mówiła dalej. — Wszyscy tego pragną... Tylko ja lubię prawdę... bez dwulicowości. Czy wiesz, jak ja to sobie wzięłam do serca... To co ty... Trzeba było postawić sprawę uczciwie, stanowczo...

Naraz żal mi się jej zrobiło.

— Widzisz, jak się tym przejęłam? A gdyby mi ta cała sprawa była obojętna, czy bym się w ogóle odzywała, przejmowała? Usiadłabym sobie na zebraniu i czytała książkę.

Miała tak żałosną minę, że wbrew woli wierzyłem w to, co mówiła i przeżywała.

— A masz ciekawą książkę? — spytał Chrystołobenko.

— Co takiego? — nie zrozumiała Ola.

— Pytam, czy masz ciekawą książkę.

— Dajże jej spokój — wtrącił Oloszka. — Wcale nie gniewam się na ciebie, Olu. Ja cię rozumiem...

— Naprawdę rozumiesz? — czerwone plamy na jej twarzy zrobiły się purpurowe.

— A teraz już idź — rzekł Oloszka — my tu mamy swoje sekrety. — A kiedy Ola oddaliła się postukując ostrymi szpilkami, dodał: — Nie dziwcie się. Chociaż nie była to dla mnie przyjemna rozmowa, żal mi dziewczyny. Nie lubię nikomu sprawiać przykrości.

— Dlatego nie chcesz powiedzieć, kto napisał donos — przygadał mu Chrystołobenko.

Oloszka udał, że nie słyszy.

Któregoś dnia spotkałem Switlanę w grupie studentów wychodzących po wykładach z instytutu i poszliśmy do kawiarni. Wybrałem sam nie wiem dlaczego akurat ten stolik, przy którym siedzieli Bob i Fatiejewa, kiedy byłem tu ostatnim razem. Zamówiliśmy lody z konfiturą porzeczkową. Zjadłszy ze dwie łyżeczki, Switlana spojrzała na mnie tak jakoś dziwnie i spytała:

— Powiedz, czy jestem ładna?

— Jesteś bardzo ładna — odparłem, bo naprawdę mi się podobała.

— A czyś ty się kiedy zastanawiał nad tym — Switlana w ogóle nie zareagowała na to, że nazwałem ją bardzo ładną — dlaczego tę samą osobę jedni uważają za ładną, a inni za całkiem zwyczajną, nijaką.

— Widocznie bywają różne kryteria urody — powiedziałem niezbyt pewnie.

— Oczywiście. Ale przecież uroda, jeśli rzeczywiście nią jest, nie zmienia się, pozostaje urodą.

— Naturalnie — przyznałem. — A są tacy, którzy nie uważają cię za ładną?

— Nie o to chodzi — wzruszyła ramionami. — Zastanawiałeś się kiedykolwiek nad tym, czym jest uroda człowieka?

— Uroda jest urodą, nad czym tu się zastanawiać.

— O, tu się mylisz. To wcale nie jest takie proste, jak ci się wydaje... Pomyśl tylko — uroda kobieca to też forma przystosowania do życia, prawda?

— Jak to? — nie mogłem pochwycić wątku jej rozumowania.

— Kiedyś człowiek, żeby wyżyć, musiał być wytrzymały, silny fizycznie, niewybredny w jedzeniu... A dziś? Co jest ważne dziś?

— Też wytrzymałość, siła... rozum.

— Nie o tym mówię — niecierpliwie machnęła ręką. — Powiedz, która kobieta jest lepiej przystosowana do życia — piękna czy brzydka? Której łatwiej się żyje, która ma lepsze samopoczucie, która może liczyć na większe dobra materialne? Zauważyłeś, jaki sposób bycia, pewność siebie ma kobieta ładna, a jaki — brzydka. Wiesz teraz, jak powinien był przebiegać rozwój kobiety — fizyczny i duchowy — aby sama jej piękność świadczyła o jak najlepszym przystosowaniu do życia?

Zaczynałem już rozumieć, do czego zmierza Switlana.

— Bywa piękność i piękność — powiedziałem.

— Otóż to! — uradowana pokiwała głową. — Bywa piękność drapieżna, agresywna, która zniewala dając w zamian tylko spustoszenie i rozczarowanie.

— Wszelkie piękno zniewala — podtrzymywałem rozmowę, która zaczynała mnie coraz bardziej interesować. — Nawet szlachetne.

— Tak, ale to całkiem coś innego... Ja mówię o piękności amoralnej. Myślisz, że tak łatwo ją zdemaskować? Akurat! Zresztą nikt się do tego nie kwapi. Każdy chciałby tylko brać, nie zastanawiając się nad tym, jaką monetą przyjdzie mu za to płacić... Takiego piękna, takiej urody ja nie-na-wi-dzę! Nie-na-wi-dzę! Jest w niej coś przeciwnego naturze. Wyobraź sobie dziewczynę, która myśli tylko o tym, że jest ładna. Przecież to musi wykoślawić całą jej psychikę. Znam takie, dość się napatrzyłam... One już nawet na innych ludzi patrzą z góry, jakby ci inni byli gorszego gatunku. I tak przez całe życie. W końcu stają się ofiarami własnych wyobrażeń o swojej wyjątkowości, ich zarozumiałość przeradza się w psychiczne kalectwo.

— Ależ jesteś zawzięta, Switlano — zdziwiłem się. — Chyba jednak nie wszystkie są takie, prawda? Na przykład ty?

— Ja? — I już ciszej, nieco się uspokoiwszy, odpowiedziała: — Ja nie jestem taka. A w ogóle, kiedy ktoś mi mówi, że jestem ładna, nie wierzę. Jakoś nigdy nie przywiązywałam wagi do tego rodzaju rozmów... Bo dlaczego by inni ludzie mieli się lepiej do mnie odnosić — tylko dlatego, że mam ładną buzię i nic poza tym? W tym jest coś nienormalnego, tylko że ja jeszcze tego wszystkiego do końca nie przemyślałam.

— Może dlatego tak się dzieje — powiedziałem — że ludzi zawsze pociąga piękno, zarówno w sobie, jak i w innych.

— Szanuję takich, którzy nie myślą o swojej urodzie, nie wiedzą o niej. Cenię tych, którzy nie podporządkowują swojej powierzchowności całego swego istnienia... Ty chyba jesteś taki?

— Czyż z moją fizjonomią można mieć aż tak wygórowane pojęcie o sobie?

— Dlaczego nie, jesteś całkiem przystojny — spo-

kojnie oświadczyła Switlana. — Ale widzę, że ty wcale o tym nie myślisz. Dla ciebie najważniejsze jest twoje życie wewnętrzne, ono stało się twoim idolem.

— Co za różnica? I to idol, i to...

— Mówisz poważnie? Ależ to pierwsze poniża człowieka, a drugie wywyższa, czy można w ogóle porównywać?... A najbardziej mnie irytuje, że człowiek, któremu własna uroda zwichnęła psychikę, znajduje upodobanie w takim sposobie życia, nie jest zdolny spojrzeć krytycznie na siebie. Dlaczego tak jest? Są ludzie, którym podły uczynek sprawia tyle radości, ile tobie sprawiłoby zrobienie czegoś dobrego.

— Są różne kryteria — powtórzyłem.

— To się nazywa wyjaśnienie — w jej głosie pobrzmiewały ironiczne nutki.

— Bo, widzisz, to, co daje satysfakcję pojedynczej jednostce, nie zawsze pokrywa się z ogólnie przyjętymi ideałami...

— Wiesz, jestem zmęczona — powiedziała naraz Switlana. — Pogadałam sobie z tobą o tym wszystkim i ledwo żyję, tak mnie to zmęczyło... Ale jeszcze ci coś powiem... Podczas wojny Niemcy spalili połowę naszego miasta i pewno to im sprawiło przyjemność, nieco odmienną od przyjętych u nas ideałów...

— Ależ my nie o tym mówiliśmy.

— Tak, nie mówiliśmy... ale to też miałam na myśli. Wiesz, do czego doszłam? Trzeba nauczyć wszystkich wiary w dobro, nawet tych, którzy dalecy są od tego, rozwijać w nich człowieczeństwo. Powiesz pewnie, że to przemoc. A niechby i przemoc, ale cel jest szlachetny, i to ją w pełni uzasadnia.

— Rozumiem cię — powiedziałem, czując przypływ ciepła w sercu. — Ja też o tym myślałem... Nie można być obojętnym. Trzeba wyrobić w sobie poczucie, że czas, w którym się żyje — to nasz własny czas, że jesteśmy zań odpowiedzialni, gdyż wszystko w tym

czasie zależy od nas. I nie trzeba uważać, że to coś trudnego. Bo wtedy człowiek stanie się ofiarą własnych obaw.

Nie spuszczała ze mnie bacznego wzroku, ale odniosłem wrażenie, że wcale mnie nie widzi, że myśli w tej chwili o czymś innym. Speszony, urwałem swą tyradę i powiedziałem:

— A ty naprawdę jesteś bardzo ładna.

— Tylko że ja o tym nie myślę. I ty też nie myśl, bo się pogniewamy...

Czarnota stawia przede mną filiżankę kawy, roztaczającą wokół przyjemny gorzkawy zapach. W swym ciasnym pokoiku czuje się jeszcze mniej pewnie niż na ulicy czy w sali wykładowej. Jakbym to nie ja przyszedł do niego w odwiedziny, ale on do mnie. Pamiętam, jak na pierwszym roku, gdy dowiedział się, co czytałem z literatury francuskiej i jakie mam o niej pojęcie, nazwał mnie „młodym barbarzyńcą". Dziś już chyba tego by nie powtórzył.

Wypytuje mnie, gdzie i jak spędziłem wakacje. Opowiadam mu i jednocześnie — po raz nie wiem już który — rozglądam się po jego pokoju. Pełno książek, płyt, całe ściany oblepione reprodukcjami. Zeszłej wiosny przyszliśmy tu z Chrystołobenką na konsultację, na którą Saszko sam się wprosił, i mnie wyciągnął. Czarnota przez cały wieczór recytował nam wtedy z pamięci wiersze François Villona. Chrystołobenko, podobnie zresztą jak i ja, był oszołomiony. Gdyśmy już wyszli na ulicę, długo nie mógł ochłonąć. A nazajutrz zdobył tomik wierszy Villona i po jakimś tygodniu znał na pamięć prawie wszystkie, i na każdym kroku usiłował cytować je naszym dziewczętom, choć one, co prawda nie wszystkie, zatykały sobie uszy.

— A ja tego lata byłem w Rydze. Dwa razy byłem

w tamtejszej katedrze na koncercie muzyki organowej. Słyszał pan kiedyś organy?

Wzruszam tylko ramionami. Czarnota uśmiecha się pobłażliwie i wskazując głową na filiżankę z kawą, żebym pił, bo ostygnie, włącza adapter i nastawia płytę. Dźwięki niezwykłej muzyki wypełniają pokój. Słucham, zdumiony i oczarowany. Gdy człowiek jest w nastroju do odbioru muzyki, może całkowicie się w niej zatopić, zespolić się z nią.

— W rzeczywistości jest to o wiele jeszcze piękniejsze — mówi Czarnota, gdy cichnie ostatni dźwięk. — Ten pokój to nie miejsce dla muzyki organowej, nawet z płyty. Nie, organy wymagają wysokiego sklepienia kościoła... Gdy człowiek ich słucha, ma wrażenie, że tą muzyką rozbrzmiewa każda kolumna, i wysokie, strzeliste okna. Powietrze jest nią przesycone, wypełnia całą twą istotę, oddajesz się cały tej muzyce i w tobie też jakby coś zaczyna grać. Każda twa myśl jest jej pełna i uczucia twoje też współbrzmią z nią unisono. Niezwykłe, stereofoniczne brzmienie. Może jeszcze raz posłuchamy?

Istotnie muzyka organowa to jakby emanacja duchowości, jej najdoskonalszy wyraz. Wystarczy przymknąć oczy — i już nie ma ciebie, ani tego pokoju, w ogóle nie ma świata, jest tylko ona, muzyka, wszystko wokół ciebie stało się nią, i twoje myśli również.

— Trzeba podróżować — mówi po chwili Czarnota. — Nie siedzieć w miejscu i obrastać mchem. Trzeba burzyć swoje pojęcia o otaczającym świecie i wyrabiać sobie nowe — te nowe będą pełniejsze i bardziej obiektywne. Samozadowolenie — to jak modlitwa za umarłych odmawiana po samym sobie.

W niektórych rzeczach zgadzam się z nim, co do innych mógłbym się spierać, ale jakoś zawsze z tru-

dem mi to przychodzi w rozmowie z Czarnotą. Może dlatego, że go lubię?

— A jaki jest pański stosunek do ludzi? — pyta Czarnota. — Nie boi się ich pan?

— Chyba nie — odpowiadam.

— A chętnie zawiera pan nowe znajomości?

Po chwili namysłu leciutko pokręciłem głową.

— Szkoda — szczerze powiedział Czarnota. — Trzeba wyrabiać w sobie smak... Do czego? Chociażby do znajomości z nowymi ludźmi. Lub do tego, by nowymi oczami spojrzeć na swoje stosunki z kolegami, dojrzeć w nich to, czego dotąd się nie widziało... Wie pan, czasem to daje człowiekowi zadowolenie... gdy już zaczyna tracić zainteresowanie dla otaczającego świata, co wynika z doświadczenia i fizjologii.

— Ale ja jeszcze tego zainteresowania nie tracę — powiedziałem.

— To zupełnie zrozumiałe. I dobrze, że tak jest — znów pobłażliwy uśmiech pojawia się na wyrazistych ustach Czarnoty. — Ot, myśmy już dwukrotnie wysłuchali płyty z muzyką organową, niby zapamiętaliśmy ją, dała nam wiele przyjemności. A spróbujmy posłuchać po raz trzeci — i odbierzemy ją jeszcze inaczej, pochwycimy w niej to, co dotąd było dla nas niedostępne czy uszło naszej uwagi.

I rzeczywiście, znów słyszę niby znajomą, a zarazem nową dla mnie muzykę.

„Widocznie — pomyślałem — w każdej rzeczy trzeba mieć zdolność wciąż nowego odbierania świata".

— Uczę się, stale się uczę — mówi Czarnota. — Niech pan nie myśli, że wszystko wiem, wszystko rozumiem. Przeciwnie, nic nie wiem. Uczę się, żeby odkrywać samego siebie. Bo przecież nie znam siebie, chociaż, zdawałoby się, kogóż mógłbym lepiej znać.

Widać odczuwa silną, przemożną potrzebę szczerej

rozmowy. Tak. Czarnota jest ze mną szczery. Tylko czy tak zupełnie?

— Pan jest w lepszej sytuacji — mówi — zdąży pan więcej zrozumieć i więcej zrobić niż ja. — I widząc moje pytające spojrzenie dodaje: — Bo jest pan młodszy.

On wierzy we mnie i ja, nagle stropiony, myślę, że ta wiara mnie zobowiązuje.

Czarnota pogrąża się w zamyśleniu, a ja czekam, że zaraz zaproponuje, abyśmy po raz czwarty posłuchali muzyki organowej, i czekam na tę chwilę... .

Nazajutrz byliśmy ze Switlaną w kinie. Odprowadziłem ją i ledwo tylko oddaliłem się nieco od jej domu, gdy zza topoli wyszedł Donat Ozerny i zastąpił mi drogę. W lewej ręce trzymał czarny parasol, w prawej — dużą, sportową torbę.

— Może się przejdziemy — zaproponował i ruszył przed siebie. Nie pozostało mi nic innego jak pójść za nim. Nie patrząc na mnie spytał: — No co, odprowadzałeś Switlanę?

— Odprowadzałem — rzuciłem nieprzyjaźnie.

— Ona ci się podoba?

— Podoba — odparłem, mimo że buntowało się we mnie wszystko przeciwko mówieniu z nim o swoich uczuciach.

— Ładna dziewczyna — powiedział Donat.

— Ładna — powtórzyłem jakby pod przymusem.

Donat szedł spokojnym, pewnym krokiem, ale powiało od niego taką wrogością, że przystanąłem. On też się zatrzymał i zimnym, badawczym spojrzeniem wpatrywał się we mnie. Nie odwróciłem wzroku, twardo patrzyłem mu prosto w oczy; zaczynałem już rozumieć, co wróży mi to spotkanie.

— Kochasz ją czy po prostu tak tylko z nią chodzisz? — spytał Donat.

— Cóż ciebie to obchodzi?

— Niech cię to nie dziwi — rzekł przyjaznym tonem — pytam, bo sam ją kocham.

— Dlaczego mi to mówisz? — bąknąłem.

— Chodzisz z nią przecież, odprowadzasz.

— Przyjaźnimy się — powiedziałem.

— Tylko... nie mów jej nic o naszej rozmowie. Dobrze? Niech nie wie.

Przyrzekłem, że nic nie powiem.

— Wiem o każdym waszym spotkaniu — ciągnął dalej Donat. — Nie myśl tylko, że ona mi cokolwiek powiedziała. Nie, po prostu mam własny wywiad... Nie stójmy w miejscu, chodźmy... Jednego tylko nie wiem — gdzieście się poznali. Chyba na uczelni, no bo gdzieżby...

— Tak — powiedziałem.

— Spotkaliście się w kawiarni, jedliście lody... Dziś byliście w kinie...

— Tak — przerwałem mu. — I co z tego?

— Jak to co? — ton jego był spokojny, ale widziałem, że ten spokój jest udany. — Nie życzę sobie, żebyś się z nią spotykał.

— Dlaczego? — spytałem z jakimś złym uporem.

— Dlaczego? Jeśli jesteś człowiekiem uczciwym, to powiedz — kochasz ją?

— Nie jestem zobowiązany mówić z byle kim o swoich uczuciach — powiedziałem czując, że muszę walczyć o Switlanę i że będę o nią walczył.

— Nie jestem byle kto — zaprotestował Donat. — Kocham ją. Znamy się od dzieciństwa, chodziliśmy z sobą, a potem ona odeszła ode mnie.

— Dlaczego mówisz o tym ze mną? Pomów z nią, ona sama jest panią swoich uczuć.

— Oczywista. Tylko ja nie chcę, żebyś z nią przebywał, żeby ona przywykła do ciebie.

— Nie — odparłem czując lodowaty chłód w sercu. — Takich spraw nie załatwia się gdzieś po kątach. I ty mnie nie zastraszysz.

— Wcale nie chcę cię zastraszyć — odparł Donat. — Nawet gdybyś mi powiedział, że ją kochasz, nie uwierzyłbym ci, bo nie mogłeś jej pokochać w tak krótkim czasie. W ciągu tygodnia czy dwóch nie można się zakochać na śmierć i życie. Łatwo ci będzie z niej zrezygnować, usunąć się.

— Ależ ja wcale nie mam zamiaru rezygnować! I w ogóle nie chcę więcej o tym mówić.

— Będziemy mówić! — podszedł do mnie całkiem blisko. — Zrozum — zaczął, a w jego głosie nie było nawet cienia pogróżki — ja ją kocham. Nikt i nigdy nie będzie jej tak kochał jak ja. Nawet ty nie potrafisz! I dlatego nie dopuszczę, by ktokolwiek miał jej sprawić ból czy przykrość. Teraz rozumiesz?

Zaczynałem rozumieć, chociaż bardzo a bardzo opornie. To, co mówił Donat o swojej miłości, było chyba prawdą. Czy kochałem Switlanę równie mocno jak on? Czy była to miłość, która swą siłą i oddaniem przewyższałaby jego miłość? Nie, ja i Switlana jesteśmy po prostu parą przyjaciół... Tak się umówiliśmy. Ona mi się podoba, jest mi z nią dobrze i chciałbym, żeby nasza przyjaźń trwała nadal...

Naraz wstyd mi się zrobiło, że nie ma we mnie tak mocnego uczucia dla niej, lecz już nie mogłem się cofnąć. Dlaczego? Sam nie wiedziałem, ale nie mogłem.

— Nie — oświadczyłem. — Pomów z nią. Niech to nie będzie jak na targu, kto da więcej... Kto więcej uczuć zaoferuje, temu się ona dostanie. Nie my mamy decydować o jej losie, ale ona sama.

— Dobrze. Niech sama decyduje — zgodził się. — Ale bez ciebie.

— Nic z tego... — odparłem. — Nie wiem, co was łączy... Jeśli ona będzie uważała za wskazane, niech powie. Sama niech powie. Ale ja jej nie opuszczę. Bo jestem jej przyjacielem — rozumiesz? I będę z nią chodził, ona tego chce i ja chcę. A do twojej miłości ja się nie wtrącam. Kochaj, jeśli możesz i jeśli chcesz. Masz prawo kochać, kogo ci się podoba, nikt ci nie może tego zabronić... Ale ja nie zdradzę swojej przyjaźni.

— Nie, ty mnie nie zrozumiałeś, nie chcesz zrozumieć — Donat zwiesił ponuro głowę. Lecz tylko na chwilę, bo zaraz znów ją uniósł, w wieczornym mroku dojrzałem zimny błysk jego oczu. — Tak trudno zrozumieć drugiego człowieka? Można szanować tylko siebie? Swoją przyjaźń? Tylko swoje uczucia? Cudzych — nie można? Cudze — jakby nie istniały? Żadnego zrozumienia, żadnego współczucia?

Chciałem mu powiedzieć, że tak, że trzeba rozumieć, współczuć... Ale jednocześnie całe moje jestestwo buntowało się przeciwko zrozumieniu Donata.

— Antonie! — usłyszałem za sobą znajomy głos. Odwróciłem się, to był Chrystołobenko. — Chodźmy do akademika, dziś będą tańce. — Popatrzył na Donata: — A może i ty byś poszedł, co?

— Nie — odparł Donat — ja nie tańczę. — I rzucił mi na odchodnym: — Jeszcze się spotkamy...

Saszko z ożywieniem zaczął mówić, z kim chciałby dziś potańczyć. Nic z tego nie słyszałem, jego słowa brzęczały mi na uchem — puste, bez treści — jak pęknięte pingpongowe piłeczki.

A jednak Saszko zaciągnął mnie na tańce. Chciał, żebym się rozerwał, bo strasznie kwaśną, jak mówił,

miałem minę. Włożył odświętne ubranie, nowiuteńki, z ukraińską wyszywanką krawat. A ja poszedłem w tym, w czym byłem — nie chciało mi się przebierać.

Pary — przeważnie same dziewczyny — kręciły się niemrawo, ze znudzonymi twarzami. Przychodziły znajome dziewczęta, popatrywały na mnie, jakby zapraszając do tańca, a ja nie mogłem ruszyć się z miejsca; wszystko jakby nagle utraciło dla mnie znaczenie, stało się puste i bez sensu. Bezsensowne wydawały mi się wyuczone ruchy ciał w takt melodii, bezsensowne uśmiechy — po prostu mimowolne skurcze mięśni — słowa dochodzące moich uszu były pustym dźwiękiem, za którym nic a nic się nie kryło.

Czyżby to spowodowała moja niedawna rozmowa z Donatem? Ale i to spotkanie, i ta rozmowa wydawały mi się tak odległe i nierealne, jakby ich wcale nie było, a jeśli nawet były, to bez mego udziału i w jakimś innym świecie.

Długo chyba tak stałem, patrząc przed siebie szeroko rozwartymi oczyma. Przyszedł student z zającą wargą, przyniósł z sobą gitarę i począł na niej przygrywać, jakby mało mu było adapteru. Potem przyszedł jeszcze jeden, też z gitarą. Dziewczęta poweselały. Wtedy Chrystołobenko przyniósł swój akordeon i wszyscy gruchnęli śmiechem.

Ci trzej grali na swych instrumentach zagłuszając adapter. Zapanowała ogólna wesołość, tylko że mnie ta wesołość wydawała się nieprawdziwa, i te ich tańce były nieprawdziwe, i wszystko, wszystko. Miałem takie wrażenie, że gdybym teraz powiedział na głos jakieś słowo — ono też wydałoby mi się nieprawdziwe, niepotrzebne, zbędne.

Zjawił się też Iwan Illicz z laską, utykając na protezie. Przyszedł z Adą Czornomorczenko. Uśmiechnęli się do siebie jak zakochani i zaczęli tańczyć. Ale jak tańczyli! Iwan, wsparty na lasce, po prostu stał w miej-

scu, przesuwając od czasu do czasu to zdrową nogę, to protezę, a Ada dreptała koło niego. I co najciekawsze — oboje mieli takie twarze, jakby ten taniec sprawiał im ogromną przyjemność, jakby się radowali, że mogą być razem...

Nie, jednak coś się we mnie rozregulowało. Bo przecież nie mógł się tak zmienić cały otaczający świat, nie może być takim, jakim ja go odbieram. Wszystko w tej sali, mówiłem sobie, musi być prawdziwe, takie jak zawsze. I te tańce, i uśmiechy, i słowa. Nawet prawdziwe jest to, że dwaj gitarzyści i Chrystołobenko ze swoim akordeonem wspomagają adapter, który, gdyby go włączyć na cały regulator, zagłuszyłby ich granie. Wszystko to jest prawdziwe, realne i kiedy indziej właśnie tak bym to odbierał. A dziś nie mogę. A więc przyczyna tkwi we mnie.

Uparcie powtarzałem to sobie w myśli, ale mój umysł wzbraniał się przed tą prawdą... Odepchnąłem się rękami od parapetu i poszedłem przez ten nierealny świat i tę nierealną wesołość. Nie, nie, to ja sam byłem nieprawdziwy ze swoimi chorobliwymi urojeniami pośród tej realnej rzeczywistości — i muzyki, i śmiechu.

Wysunąłem spod swego łóżka walizkę i pomiędzy bielizną wymacałem butelkę. Tę butelkę wódki dostałem w domu, gdy wyjeżdżałem po wakacjach, i tak przeleżała u mnie cały miesiąc. Zupełnie o niej zapomniałem. A teraz mi się przypomniała.

Wódka pociekła do gardła, potem do żołądka i od razu mnie rozgrzała. Zrobiło mi się ciepło, coraz cieplej, umysł jakby się rozjaśnił, i poczułem się znacznie lepiej. To dobrze, pomyślałem, oby mi było zawsze tak lekko na duszy, chcę patrzeć na świat jasnym wzro-

kiem, niech wszystko w moich oczach ma swoją wagę i sens.

Chrystołobenko wrócił do pokoju, gdy w butelce została tylko połowa. Ostrożnie złożył akordeon i schował do szafy.

„Mój Boże — pomyślałem patrząc na niego — cóż to za wspaniały kolega!" I słowa, na których wypowiedzenie nigdy bym się nie zdobył, teraz same padały z mych ust, swobodnie i niewymuszenie.

— Zdrowie mego najlepszego przyjaciela! Zdrowie tego, z którym dzielę radości i smutki, któremu ufam jak samemu sobie, z którym...

— Oho — przerwał mi Saszko. — A to z jakiej okazji?

— Wiesz — powiedziałem — takie ciekawe myśli chodzą mi po głowie.

— Po głowie? — zaśmiał się Saszko. Nalał sobie wódki do szklanki, wypił.

— Oczywiście — roześmiałem się i ja, czując, jak łatwo mi się rozmawia. — Powiedz, czy można żyć w kolektywie... no, wśród naszych kolegów z roku... i mieć to poczucie, że nikt nie ma wpływu na twą wolę, że jest ona niezależna?

— Ty mi raczej powiedz — Saszko wziął ze stołu skórkę chleba i począł ją żuć — czy można żyć pośród kolegów tak, by twoja indywidualna wola nie miała wpływu na wolę kolektywu lub czyjąkolwiek inną?

— A toś mi klina zabił — odparłem. — Aż mi się w głowie zakręciło.

— Od czego innego ci się zakręciło — rzekł Saszko. — Przyznaj się, od czego?

— Wiesz, to dosyć dziwna historia.

I opowiedziałem mu o naszych spotkaniach ze Switłaną, o Donacie. Saszko wysłuchał uważnie, po czym poszukał w nocnej szafce, znalazł cebulę, obrał i umoczywszy w soli, począł chrupać.

— A jaki jest twój stosunek do Switlany? — spytał. — I jej do ciebie?

— Po prostu przyjaźnimy się.

— A Donat naprawdę ją kocha?

— Bardzo — powiedziałem, rozkładając w podziwie ręce, jak gdybym sam był niepomiernie zdziwiony, że on tak mocno i wiernie ją kocha. — Nie słyszałem jeszcze o takiej miłości i nie widziałem, żeby ktoś aż tak kochał. Gotów jestem paść na kolana przed takim uczuciem.

— Coś podobnego! — nie mógł uwierzyć Saszko. — No, ale skoro tak, to ty jako człowiek uczciwy powinieneś zejść mu z drogi. Bo ty nie jesteś zdolny ofiarować Switlanie uczucia, które dorównałoby uczuciom Donata... Jaki on jest, taki jest, ale patrz, jak potrafi kochać!

— A czy nie będzie to wyglądało, że stchórzyłem, że to moja porażka?

— Co za porażka? Mógłbyś go zwyciężyć siłą swej miłości, ale przecież tej miłości w tobie nie ma. Jesteś jej przyjacielem i pozostań przyjacielem.

Nareszcie otworzyły mi się oczy, zrozumiałem, co powinienem zrobić. Tak, jestem uczciwym człowiekiem. Jeśli naprawdę żywię przyjaźń dla Switlany, to nie wolno mi przeszkadzać, by kochano ją tak, jak kocha Donat. Bo ja rzeczywiście nie jestem zdolny do takiej miłości.

Opróżniliśmy butelkę do dna.

— Słuchaj — powiedziałem do Saszki — ja chyba naprawdę nie jestem zdolny do takiej miłości. Wiesz, on co dzień przychodzi pod jej okna. Krok w krok za nią chodzi. Cały czas nas śledzi, gdziekolwiek jesteśmy.

— Naprawdę? — zdziwił się Saszko. Znalazł drugą cebulę, obrał i podzielił się ze mną.

— Mam dla niego wiele szacunku — oświadczyłem. Pomyślałem, że Donat nie jest znowu takim złym

chłopcem, skoro tak szczerze i wiernie kocha. Ale też, powiedziałem sobie, Switlana jest tego warta. Ona jest warta najwyższej miłości.

— Cóż, powinieneś z nim porozmawiać — poradził Chrystołobenko. — Żeby wszystko było fair.

— Tak — zrozumiałem, że mam natychmiast odszukać Donata i porozmawiać z nim. To wcale nie znaczy, że ulegam jego woli... Chodzi o coś całkiem innego... W miłości wszystko musi być czyste, tak samo w przyjaźni — żadnego fałszu. Wyższy stopień woli — to poczucie własnej czystości moralnej.

— Gdzie go teraz będziesz szukał? — spytał Saszko, który miał widać trochę trzeźwiejszą głowę.

— Jak to gdzie? Na pewno stoi teraz pod jej oknami.

— Wobec tego idę z tobą.

Nigdy chyba nie byłem tak szczęśliwy, jak wówczas, gdy biegłem szukać Donata. Aby mu powiedzieć, że chylę czoło przed jego miłością... Przeszliśmy przez mostek na rzece, minęliśmy nasz instytut i znaleźliśmy się w ciemnej uliczce, gdzie mieszkała Switlana.

Oto i jej dom. Gdzieś daleko przed nami mignęła ciemna sylwetka, wydało mi się, że to Donat. Krzyknąłem coś, pobiegłem. Gdy już byłem blisko, zobaczyłem przed sobą starszego mężczyznę w długim brezentowym płaszczu. Jego spojrzenie, gdy popatrzył na mnie, było ciężkie jak kamień.

— Przepraszam, pomyłka — roześmiałem się, sam nie wiem czemu, i odwróciłem się. Usłyszałem jeszcze, jak tamten zaklął przez zaciśnięte zęby.

Chodziliśmy tam i z powrotem po uliczce. Wkrótce w domu Switlany pogasły wszystkie światła. Przed domem kołysała się na wietrze stara skrzypiąca latarnia, wlokąc po chodniku, tam i z powrotem, wielkie, ociężałe cienie.

I naraz poczułem się tak paskudnie, jak wtedy na tańcach, gdy wszystko wydawało mi się puste i nie-

realne. Prawie już wytrzeźwiałem, tylko głowa mi ciążyła. Zostawiwszy Saszka, wolno oddalałem się od domu Switlany.

— Dokąd idziesz? — zawołał za mną Saszko.

Postał chwilę, czekając na moją odpowiedź, a potem usłyszałem za sobą szybkie, zbliżające się kroki...

.

Nazajutrz nie poszedłem na wykłady. Raniutko pożyczyłem od kolegów z czwartego roku, mieszkających w sąsiednim pokoju, rower (kupili go za wspólne pieniądze jeszcze na pierwszym roku) i pojechałem sobie za miasto. Od dawna już nosiłem się z tą myślą, żeby pożyczyć rower i objechać najbliższe podmiejskie wsie.

Zza gęstych sztachet wyzierały białe niskie domki z otwartymi okiennicami, na parapetach w każdym domku stały słoje z nalewkami — wiśniową, śliwkową, porzeczkową, tu i tam na spadzistych dachach suszyły się na płachtach pokrojone w plasterki jabłka. Jadąc tuż pod parkanami, zaglądałem na podwórka, widziałem różnokolorowe astry z główkami pochylonymi po nocnym chłodzie. Żółciły się mocne, uparte kwiaty aksamitek, moich starych znajomych jeszcze z dzieciństwa.

Wyjechałem w pole i od razu owionął mnie zapach ziemi, lekki, chłodny wietrzyk pachniał czarnoziemem; moje nozdrza pełne były woni jesiennego pola, gęstych, krzepiących, i poczułem w całym sobie taką radosną rześkość, aż ciarki przebiegły mi po plecach. Ogromne różowe słońce podniosło się nad polem, hen, hen, pomiędzy słupami wysokiego napięcia jaśniała przejrzysta mgiełka, na burzanach bieliła się pajęczyna obwieszona kroplami rosy, i w tej chwili miałem pewność, znajomą mi już pewność, że zapamiętam to wszystko na całe życie. Chociaż, zdawałoby się, nie ma w tym nic szczególnego, zapamiętam na zawsze, jak wol-

niutko wyjeżdżałem z miasta, zapamiętam i ten szelest szarego, zakurzonego piasku pod kołami, i gorejący na parapetach okien zawiesisty rubin wiśniowej nalewki, i to, co myślałem o astrach, i tę podświetloną słońcem, lekką i wesołą mgiełkę wiszącą nad polem, pomiędzy słupami elektrycznymi...

Zjeżdżałem teraz po stoku pagórka w dół — przede mną leżała wieś, duża, jasna. Po obu stronach drogi towarzyszyły mi wierzby, inne wierzby przywitały mnie we wsi — i aż serce mi drgnęło, jak gdybym spotkał starego druha, z którym dawno się nie widziałem i którego nigdy nie przestałem kochać dziecięcą miłością...

W takim nastroju przejechałem przez wieś, a gdy znalazłem się na jej skraju, zobaczyłem studnię i zachciało mi się napić wody. Oparłem rower o płot i chwyciłem za korbę. Wesoło zadzwonił łańcuch. Z chaty wyszedł młody gospodarz w ciemnym zaplamionym kombinezonie, z pakułami w rękach. Wycierał ręce pakułami i patrzył na mnie. Kiwnąłem mu głową. Jakby tylko na to czekał, bo wrzucił pakuły do sieni i podszedł do studni.

— Zmęczonyś, co? Daleko jedziesz? — zainteresował się.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Bo czy ja wiem, dokąd jadę? I czy daleko?

— Może ci przynieść kubek? Poczekaj, zaraz.

Postawiłem na cembrowinie pełne wiadro... I tu w podwórku kwitły aksamitki, a obok nich — duże, ciemne kępy mrozu, rozjaśnione u góry bladoniebieskim kwiatem. Młody gospodarz wyszedł po chwili niosąc w jednej ręce kubek, a w drugiej, przyciskając go łokciem do siebie, wielkiego ptaka.

— Zgadnij, co to za drapieżnik? — powiedział podając mi kubek.

— Nie mam pojęcia — odpowiedziałem.

— No właśnie — rzucił wesoło gospodarz. — Orzeł!

Zaglądał mi w oczy, by sprawdzić, jakie wrażenie to na mnie wywarło. I ucieszył się, wyczytawszy w nich zdumienie.

— Orzeł! — powtórzył głośno, jakbym stał nie tuż obok, ale po drugiej stronie ulicy. — Jestem traktorzystą, orałem pole, o tam — machnął rękę wskazując gdzieś poza siebie — a one, widzę, biją się hen, pod niebem. Bo był jeszcze jeden, większy i silniejszy. Tamten, silniejszy, pobił tego, poranił, aż, biedaczysko, spadł na ziemię. Podniosłem go, zabrałem do domu i wyleczyłem.

— Czym go karmicie? — spytałem.

— A jak myślisz, czym? — patrzył na mnie z uśmiechem.

Wzruszyłem tylko ramionami.

— No właśnie! — zaśmiał się młody traktorzysta. — Mięsem i świeżą rybą, nic innego nie chce jeść. A trzymam go o tam, w stajni... — I naraz zaproponował: — Jak chcesz, możesz go pogłaskać.

Ostrożnie pogłaskałem orła.

— Kiedyś wchodzę do stajni, a jego tam nie ma — wesoło opowiadał gospodarz. — Cóż, pomyślałem sobie, odleciał, bo zbrzydła mu niewola. Ale jeszcze dobrze się nie obejrzałem, a ten przylatuje z powrotem.

I traktorzysta śmiał się, uszczęśliwiony.

— Jak to? — zdumiałem się. — Wrócił do niewoli?

— Bo widzisz — z satysfakcją tłumaczył mi traktorzysta — on tak się przyzwyczaił do mnie, do tego, że go doglądam, że takie życie ceni sobie bardziej niż wolność.

— Orzeł — i wrócił? — wciąż nie mogłem uwierzyć.

— Przecież sam widzisz — wziął orła w obie ręce i wyciągnął je przed siebie, abym mógł lepiej się przyjrzeć.

— Puśćcie go — powiedziałem.

— Niech sobie leci — i posadził ptaka na wyciągniętej ręce, chronionej rękawicą, nawet pociągnął za ogon. Lecz orzeł stanął tylko na mocnych nogach, pokiwał się niepewnie i znów przysiadł na dłoni. Młody traktorzysta rzekł ze szczerą radością: — Nie chce.

Orzeł rzeczywiście nie chciał nigdzie lecieć. Stałbym tak jeszcze i patrzył na niego, lecz gospodarz wziął z moich rąk pusty kubek i odszedł w stronę domu.

— Dziękuję! — zawołałem za nim.

Już w progu odwrócił się i powiedział:

— Na zdrowie! I szczęśliwej drogi! Dokąd jedziesz?

Stał na progu i czekał na moją odpowiedź.

— Przed siebie! — krzyknąłem wskakując na rower i kręcąc pedałami.

Rower — ptak mój dwukołowy, dwuskrzydły, ptak mój posłuszny, który i mnie daje poczucie lotu! Wystarczy zamknąć oczy — i to poczucie lotu jest tak realne, lotu w ciemności, lotu — szybowania. Lecz ciągły lęk, że stracę równowagę i upadnę, każe otworzyć oczy — i znów cały świat ukazuje mi się, jakby zrodzony z niczego, jak gdyby był moim własnym tworem, tworem mego radosnego nastroju; i wystarczy zamknąć oczy, by znów go utracić.

„Lipowy Róg" — taki był napis na drewnianym słupie przy wjeździe do wsi. Opadłe liście topoli zachrzęściły pod kołami. Przede mną, pod lekkim tchnieniem wiatru, liście przebiegały drogę, jakby uciekając co tchu spod moich kół.

I naraz ciężko wzdrygnęło się powietrze. (Chyba tak właśnie musiało się wzdrygać — pomyślałem podświadomie — gdy Czarnota słuchał w katedrze muzyki organów.) Popłynęły, nie, potoczyły się z trudem w powietrzu powolne dźwięki orkiestry dętej i w tej

chwili z bocznej uliczki wyszedł na drogę kondukt pogrzebowy. Nie było tam dużo ludzi, ale zajęli całą szerokość drogi; dwie ciężarówki, które mnie wyminęły, już hamowały; szoferzy wyszli z kabin, zdejmując czapki z głów.

Podjechawszy bliżej, zeskoczyłem z roweru. Mój dobry nastrój wciąż mnie nie opuszczał, chociaż zdawałem sobie sprawę, jak bardzo jest nie na miejscu w tej chwili. Ale to było silniejsze ode mnie.

— Kogo chowają? — zapytałem długonogiego wyrostka, który szedł obok mojego roweru.

— Niby nie wiesz! — rzucił nie patrząc na mnie. Po chwili zerknął spod oka i widząc nieznajomego, dodał grzeczniej: — Wołodię, a kogóż by.

Poboczem, gdzie szło mniej ludzi, powolutku przedostałem się do przodu. Na wozie zobaczyłem wśród kwiatów młodą twarz, która być może jeszcze niedawno była urodziwa. Jeszcze raz spojrzałem ukradkiem i opuściłem wzrok — miałem takie uczucie, jak gdybym podglądał coś niedozwolonego, coś, na co nie wolno patrzeć, co w ogóle wymyka się zrozumieniu.

Z wolna ogarniał mnie smutek; z opuszczoną głową szedłem noga za nogą i znowu znalazłem się na końcu konduktu. I znów zobaczyłem obok siebie tego samego długonogiego chłopaka z twarzą nie tyle zasmuconą, co gniewną.

— A co mu się stało... taki młody... — zwróciłem się do chłopca.

— A co, może go szkoda? — odpowiedział ostro.

— Każdego szkoda — odpowiedziałem.

Idąca obok staruszka odwróciła ku nam pożółkłą twarz.

— O tak to ze wszystkimi, jak z tobą. Póki żył, przeklinali go, śmierci życzyli, a jak umarł — to żałują, patrz, ile ludzi przyszło na pogrzeb.

— A dlaczego wszyscy go... przeklinali? — zdziwiłem się.

— Bo to był hultaj — ochoczo tłumaczyła mi staruszka. — Chuligan, jakiego świat nie widział. Ile się przez niego ludzie nacierpieli! A ile razy zamykała go milicja! Strasznie był wredny, niech Bóg zachowa!

— Dlaczego był taki?...

— W ich rodzie, u Babułów, wszyscy tacy, od kiedy ludzie pamiętają. Ale ten to już był Babuła nad Babułami. Tylko siebie uznawał, nikogo więcej. — Podeszła do mnie bliżej i powiedziała cichutko. — To musiało się tak skończyć, niech mu ziemia lekką będzie.

— Taki młody i umarł — powiedziałem, aby coś powiedzieć.

— Przecież nie swoją śmiercią — szepnęła stara. — Ktoś go zarąbał w nocy. Leżał na ulicy, cały we krwi... Gdyby znaleźli siekierę, to wiedzieliby, kto zabił, a tak — kamień w wodę.

— Jeszcze znajdą — powiedziałem.

— A jakże, znajdą — szeptała dalej stara. — Myślisz, że ktoś się przyzna? Nikt się nie przyzna. I nawet nie bardzo będą szukać. Należało mu się, Panie świeć nad jego duszą.

— A przecież przyszło tyle ludzi...

— A przyszli, dlaczego nie mieliby przyjść, kiedy szkoda człowieka. Zawsze szkoda. To tak jakbyś cząstkę samego siebie grzebał... Jakbyś samego siebie chował w tej cudzej trumnie.

— Czy to możliwe? — spytałem.

— A możliwe — pokiwała głową. — Możliwe. Ty jeszcze tego nie wiesz, ani on — skinęła głową na długonogiego chłopaka idącego obok mnie — ale ja już dobrze wiem, bo dosyć przeżyłam na tym świecie, na różne rzeczy się napatrzyłam i niejednego zaznałam... Myślisz, że ja dziś nie płakałam? O, ile się napłakałam,

sąme łzy lecą. Inni ludzie to samo. Chociaż każdy mu takiego końca życzył, to przecież żal...

I mnie było żal, więc pomyślałem, że staruszka ma chyba słuszność mówiąc, że każdego szkoda. Ale czyżby i w takim nieboszczyku ludzie opłakiwali samych siebie?

Kondukt skręcił z drogi w stronę cmentarza. Znowu ciężkie, niskie dźwięki zakołysały powietrzem, wzbudzone fale chlusnęły na ciche purpurowe sady.

Z trudem ruszyłem z miejsca, prowadząc rower za kierownicę.

I myślałem o tym, że świat rodzi się dla każdego człowieka w chwili jego narodzin i umiera wraz z jego śmiercią. Ale w rzeczywistości nie znika, czeka tylko chwili, by narodzić się dla kogoś innego.

To dobrze, że istnieje dla każdego człowieka, trwa, trwa, jeśli nie wiecznie, to długo, i nikt nie ma prawa odbierać człowiekowi tego świata, bo dany mu jest on jeden jedyny raz. I tak samo człowiek nie ma prawa odbierać go sobie, bo to zbrodnia wobec samego siebie żyć tak, żeby pozbawić siebie prawa do tego świata. A jeśli człowiek przez swoje uczynki, swoje postępowanie pozbawia siebie tego prawa, inni nie mogą pozostawać obojętni, bo to też jest zbrodnia, równoznaczna z tamtą.

Przez parę dni unikałem spotkań ze Switlaną, a potem powiedziałem sobie: nie, dość tej małoduszności, trzeba pójść do niej i o wszystkim porozmawiać. Opowiedzieć o spotkaniu z Donatem i naszej rozmowie, nic a nic nie ukrywając. Trzeba szczerością odpłacać za szczerość.

— Gdzieś ty się podziewał?

To było jej pierwsze pytanie, gdy otworzyła mi drzwi. W wąskiej, czarnej sukience była tak szczuplut-

ka, że można by ją chyba dwiema dłońmi objąć w talii.

— O, różne były przyczyny — wybąkałem.

Wprowadziła mnie do pokoju — te same, znajome już mi od jej urodzin obrazy, te same fotografie, kobza, bandura, dudki i fujarki. Zatrzymałem spojrzenie na wyrobach garncarskich, wziąłem diabła za cienkie nóżki. Robiłem to wszystko z męczącą powolnością, bojąc się spojrzeć na Switlanę, napotkać jej wzrok. Jak mogłem, odwlekałem tę chwilę, kiedy będę musiał powiedzieć to, czego już nie da się uniknąć.

A gdy podszedłem i dotknąłem chłodnej, żółtej trombity, usłyszałem za sobą:

— Antonie!

Z trudem się odwróciłem. Niebieskie oczy Switlany były takie dobre i mądre, jak u matki, która wie o tobie wszystko, a nawet więcej. Przejęty nagłym wzruszeniem poczułem skurcz w gardle, tak że przez chwilę nie mogłem otworzyć ust.

Stojąc twarzą do niej pogładziłem trombitę.

— Wprost wierzyć się nie chce, że można na niej grać — powiedziałem.

— Antonie! — powtórzyła.

— Dobrze, powiem ci. Zresztą nie mam prawa milczeć, nawet gdybym chciał.

A ona, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy, przecząco pokręciła głową.

— Nie mów nic — powiedziała. — Nie trzeba nic mówić.

— Ależ to mój obowiązek...

— Zostaw — przerwała mi. — Jest mi tak ciężko, że... nie trzeba... słyszysz?

— Posłuchaj — zacząłem, bo naraz jakby mi się oczy otworzyły na to, czego dotychczas nie dostrzegałem. — Co się z tobą dzieje? Dlaczego ubrałaś się na czarno? Jesteś blada, jak z krzyża zdjęta.

— Ciszej — rzekła błagalnie i grymas bólu skrzywił jej wargi. Podeszła do mnie i powiedziała półgłosem: — Mama jest w sąsiednim pokoju...

— Co się stało?

— Ojciec odszedł od nas.

— Ojciec?

— Widzisz — wzięła mnie za rękę, podprowadziła do okna i teraz, patrząc w szybę, mówiła samymi wargami — on już od dawna nie mieszka z nami, dawno nas porzucił...

— A wtedy, w twoje urodziny? — szepnąłem.

— Wtedy? Tak, przyszedł... dla ludzkiego oka. On wszystko robi dla ludzkiego oka... Żeby ludzie myśleli, że nasza rodzina nie rozpadła się, że u nas wszystko w porządku. W rzeczywistości już od dawna nie mieszka z nami, rzucił nas.

— Ależ... Wtedy tak się zachowywał... tak mówił... — bąkałem szeptem, bo w żaden sposób nie mogłem w to uwierzyć. Nie mogłem uwierzyć, że i ja wtedy zostałem oszukany. — Zachowywał się, jak przystoi ojcu, mężowi...

Grymas goryczy pojawił się w kącikach jej ust.

— On zawsze dbał o pozory... ażeby mamie nie było wstyd przed ludźmi... i sam bał się rozgłosu... wszystko po kryjomu. — Głos uwiązł jej w gardle, wyprostowała się, przełknęła dławiącą kulę.

— A gdzież on mieszka? — wyszeptałem.

Nie odpowiedziała na moje pytanie.

— No i kiedy dziś w południe przyszedł do domu, wszystko mu wygarnęłam. Wszystko! Żeby sobie poszedł do tej, która jest mu droższa, a nam z mamą nie potrzeba tej całej obłudy. Mama słuchała... i prosiła, żebym zamilkła, a ja... dygotałam, trzęsłam się cała... Doszłam do tego, że mama nie może już tak dłużej się męczyć, nie jest jej potrzebna ta cała komedia, jej potrzebny jest spokój, bo i tak już ledwo żyje.

— I on odszedł?

Pokiwała głową.

— Powiedziałam mu, że jeśli nie żal mu nas, to niech się użali nad tą... z którą żyje. Bo czyż można tak — kryć się i tu, i tam?... Powiedziałam mu, że jestem już dorosła, obejdę się bez jego pomocy... Mam stypendium... Niech zrobi to chociaż dla tej, którą kocha, niech otwarcie... Nie jestem taka jak mama, nie będę całe życie milczała... Zawsze powiem wprost, co myślę, nie znoszę obłudy... Gdyby można wszystek fałsz... wszystką podłość... pozbierać z całego świata, to wyzbierałabym własnymi rękami i spaliła w wielkim ogniu, żeby już nigdy i nigdzie więcej... Żeby nikt więcej nie cierpiał tak jak moja mama.

— Ale to jednak... ojciec — powiedziałem szeptem.

Switlana nie odpowiedziała. Staliśmy tak i patrzyliśmy w okno, a ja nie byłem zdolny się poruszyć, oderwać oczu od uliczki, po której z rzadka ktoś przechodził; nieruchomym wzrokiem patrzyłem na słup, na którym u góry była umocowana staroświecka latarnia. Wszystko wydawało mi się takie szare i smutne, a zarazem dalekie, nieprawdopodobnie dalekie od tego, co oboje przeżywaliśmy.

Nie wspomniałem już nawet o tym, co właściwie przywiodło mnie do tego domku, wszystko to bez śladu zniknęło z moich myśli, zajętych teraz wyłącznie cierpieniem Switlany, od którego zrobiło mi się jeszcze ciężej na sercu, jakby to był mój własny ból. Czułem, że cokolwiek bym teraz powiedział, będą to puste, niepotrzebne słowa, że w tej chwili mogę tylko milczeć, tylko milczeć.

Gdy sam zamknąłem za sobą drzwi werandy i spojrzałem w lewo, w stronę sadu, zobaczyłem pod drewnianą szopą babcię z jej kotami; staruszka siedziała na stołeczku zasłanym kilimkiem, a z obu stron stały puszyste koty i ocierały się o jej nogi...

Jeszcze w nocy zaległa gęsta jak wata mgła, a gdy rano szliśmy na wykłady, aż korciło, by wyciągnąć przed siebie ramiona i rozgarnąć ją. Ta wata zatykała płuca, ciężko było oddychać.

Na wykładach wszyscy spoglądali w okna, do których szczelnie przylgnęła mgła. A potem, podczas przerwy, ktoś wymyślił zabawę — chodzić po dziedzińcu, gdzie na dwa kroki nic nie widać, i starać się odnaleźć we mgle kogoś znajomego.

Ja też wyszedłem na poszukiwania w tej mgle. I od razu wpadłem na Chrystołobenkę, który bez wątpienia wolałby się spotkać z jakąś dziewczyną, może nawet objąć ją, bo te wędrówki we mgle na pewno raczej do tego usposabiały mego przyjaciela. Toteż Saszko poszedł dalej z taką miną, jakby w tej mgle natknął się wyłącznie na mgłę.

Potem gdzieś tam, gdzie rosły świerki, usłyszałem głos Iwana Illicza i ruszyłem wprost na ten niski głos z przydechem, lecz gdy podszedłem bliżej — zobaczyłem i Adę Czornomorczenko. Poznali mnie i uśmiechnęli się tak, jak gdyby właśnie tylko mnie pragnęli zobaczyć w tym swoim odosobnieniu, a ja zrobiłem dwa kroki wstecz i od razu zgubiłem ich z pola widzenia.

Gdzieś niedaleko rozległ się śmiech Chrystołobenki, w którym była udana beztroska i wesołość, odpowiedział mu trochę niepewny śmiech dziewczęcy — a więc Saszko jednak spotkał tę, która wzbudziła w nim zdrowe emocje.

Postałem chwilę w miejscu czekając, że może ktoś natknie się na mnie, po czym ruszyłem przed siebie; na lewo ledwo, ledwo majaczył gmach uczelni, jakby zatopiony w tym nagle zrodzonym jesiennym oceanie. Ktoś położył mi rękę na ramieniu — szybko obejrzałem się: przede mną stał Roman Storożuk, patrząc na

mnie bacznie swymi wąskimi oczami, w których, zdawało się, na zawsze zastygła mgła.

— O, dobrze, żeśmy się spotkali — powiedział i w jego głosie naprawdę zabrzmiała radość, chociaż nie widać jej było na jego nieporuszonej twarzy.

Obok, choć to bardzo dziwne, stał Babenko, Bob. Ten chyba absolutnie nie spodziewał się, że trafi akurat na mnie w tej mrocznej mgle, i może dlatego jego twarz przypominała z grubsza ulepioną, martwą maskę. Pomyślałem, że to mgła tak zniekształca rysy — ciekawe, jak wyglądam ja sam w tej chwili?

— Posłuchaj — ciągnął dalej Storożuk — spotkałem go we mgle...

„Aha — przyszło mi do głowy — na uczelni czy gdziekolwiek w mieście starannie omijaliście się nawzajem, a tu, w tej mgle, spotkaliście się i już musieliście o czymś rozmawiać. Prawdopodobnie w chwili, gdyście zobaczyli jeden drugiego, twarz Boba zamieniła się w martwą maskę, a twoje oczy, Romanie, w dwie tafelki lodu."

— ...spotkałem go w tej mgle — powtórzył Storożuk — i wiesz, co mu powiedziałem?

— Co takiego? — wykrztusiłem.

— Cieszę się, że ta cała historia tak się skończyła.

Bob nie odzywał się. Milczenie zamurowało mu usta. Roman spojrzał na niego, jakby żądając, by chociaż jakimś słowem podtrzymał rozmowę, ale dalej musiał mówić sam — Bob nie chciał się odezwać.

— Bo wiesz, nie taki z niego zły chłopak, on jest nasz — prawda?

W tym miejscu Bob powinien był chociaż skinąć głową lub mruknąć jakieś słowo, ale stał jak skamieniały.

— Prawo jest prawem — twardo oświadczył Roman Storożuk. — Prawo gwarantuje sprawiedliwość.

Prawda? — i ujął Boba pod łokieć, jakby koniecznie domagał się odpowiedzi.

— Tak — ochrypłym głosem powiedział Bob.

— Co by się to działo, gdyby nie było prawa! — i Storożuk, nachyliwszy się ku mnie, powiedział poufnym tonem: — Ty, Antonie, powinieneś to zrozumieć... On kocha swego ojca, któż zresztą nie kocha...

Twarz Boba pozostawała nadal chłodna i nieruchoma.

— A ja z nim porozmawiałem i widzę — to swój chłopak! — z naciskiem powtórzył Storożuk, jakby akcentując, iż nadal nie zmieni swego zdania o Bobie. — Czy wiesz, jaki kawał on nam szykuje? Żeni się! — powiedział z zachwytem. — A wiesz z kim? Z Mańką Fatiejewą z czwartego roku. Zaprośże nas, Bob, na wesele! Zapraszasz?

— Przyjdźcie, chłopcy — powiedział Bob.

Wciąż milczałem, zgnębiony tym, że oto Bob zaprasza mnie na swoje wesele. Wtedy w parku publicznie wyparł się rodzonego ojca, mówiąc o nim „ten człowiek". Nikt może na to nie zwrócił uwagi, ale ja to słyszałem i dobrze zapamiętałem. No zgoda, wychował go inny, obcy człowiek, ale przecież...

— No co, pójdziemy? — z udanym ożywieniem spytał Storożuk.

— Ja nie — powiedziałem, bo wreszcie musiałem się odezwać.

— Coś ty! — zawołał Storożuk, jakby osobiście poczuł się dotknięty.

— Nie chce, to nie, nikt go nie będzie zmuszał — niedbale rzucił Bob i zrobił ruch, jakby chciał odejść.

— Nie, poczekaj — przytrzymał go za łokieć Storożuk. — Chłopcy, musicie się pogodzić.

— My się wcale nie gniewamy — powiedział Bob, ale po jego minie poznałem, że nie miałby nic przeciw-

ko zgodzie i że w żaden sposób nie może pojąć, dlaczego tak się zawziąłem.

— To dobrze, że się nie gniewacie — ucieszył się Roman. Sam się wplątał w głupią sytuację i teraz próbował jakoś z niej wybrnąć. — Podajcie sobie ręce.

Wziął nasze ręce i usiłował je zbliżyć. Ręka Boba wyciągnęła się ku mnie.

— Nie gniewamy się, więc po co mamy sobie podawać ręce — powiedziałem.

— A rzeczywiście, rzeczywiście — podchwycił Storożuk — przecież się nie gniewacie, więc po co...

I puścił nasze ręce. Ale chyba raczej dlatego, iż wyczuł, że ja swojej nie podam Bobowi.

W tej chwili rozległ się donośny głos dzwonka wzywający na wykład.

— Jeszcze się spotkamy — rzucił Storożuk i szybko pociągnął Boba w mgłę. Pewno był rad, że ten dzwonek w porę zadzwonił, obaj chyba byli temu radzi...

Wykładowca literatury XVII-XVIII w., Sawa Petrowicz, wszedł na podium, a ja powiedziałem sobie, że będę słuchał jego wykładu, nie myśląc o niczym innym, ale... po głowie chodziły mi różne myśli...

„Znów nie potrafiłem się pohamować, znów usiłowałem narzucić innym swoją postawę, swoją wolę, znów zapragnąłem zobaczyć ludzi nie takimi, jakimi są. A czy ja naprawdę mam do tego prawo? Ileż to już razy postanawiałem sobie, że nie będę się wtrącał w cudze życie, w cudzy świat, lecz wszystkie moje postanowienia diabli biorą. Bo nie myśleć o innych ludziach, pozostawać obojętnym wobec ich postępowania — to w pewnym sensie ograniczenie własnej niezależności, podporządkowanie siebie innym osobowościom, którym bynajmniej nie mam zamiaru ulegać ani się podporządkowywać, skoro uznaję nie tylko cudzą niezależność, ale i swoją własną.

Nie, ja jednak nie potrafię zgłębić tego wszystkiego do dna, stale się w tym plączę, miotam się od jednego postanowienia do drugiego, postępuję tak, to znów inaczej, sprawiając tym samym wiele przykrości i sobie, i innym. A w ogóle, czy istnieje jakaś prosta, wyraźnie wytyczona droga, gdzie wszystko jest jasne i zrozumiałe, opatrzone czytelnymi i nie budzącymi wątpliwości znakami?"

Za oknem zaczął padać deszcz. Najpierw drobniutki, ledwo widoczny we mgle, potem coraz gęstszy, bardziej rzęsisty. Mgła przerzedziła się, w sali zrobiło się widniej, w coraz jaśniejszym świetle widać już było znajome twarze, znajome rysy i rumieńce — a już po chwili ukazały się wierzchołki topoli i świerków rosnących przed gmachem uczelni, potem wierzchołki dalej rosnących topoli i poczęła się otwierać perspektywa, choć wciąż jeszcze za zasłoną deszczu i mgły.

...Jacyś ludzie, którzy przedstawili się jako sąsiedzi mojej ciotki, zatrzymali mnie na ulicy i poprosili, żebym odwiedził ciotkę, bo jest chora, z trudem podnosi się z łóżka i mówi tylko o śmierci...

Ciężkie, kwaśne powietrze zatamowało mi oddech, gdy przestąpiłem próg ciotczynego mieszkania. Ciotka Mełanka, w okularach, siedziała przy kuchennym stole i pochylona nisko nad papierem coś pisała. Ujrzawszy mnie, zdjęła okulary, przetarła oczy, a potem zgarnęła swoje pisanie i schowała pod gazetę. Od czasu, kiedy ją ostatni raz widziałem, ciotka schudła, postarzała się. Patrząc na jej głęboko wpadnięte oczy poczułem bolesny skurcz serca — zdjął mnie żal nad ciotką, nad jej całym życiem.

— Tak się źle czułam, cały tydzień przeleżałam — zaczęła opowiadać ciotka. — Teraz trochę puściło. —

Powolnym i jakby nie swoim ruchem poprawiła włosy opadające na czoło. — Jakoś się podniosłam, nie muszę już się oglądać, kto mi poda szklankę wody, bo dotąd pomagały mi moje studentki. Wstałam i teraz piszę do wszystkich naszych krewnych, że już chyba niedługo będę chodzić po tym świecie...

— Ależ, ciociu, co też ciocia opowiada — przerwałem jej z wyrzutem, a serce ścisnęło mi się jeszcze mocniej.

— Nie pocieszaj mnie, synku, nie trzeba — tak jakoś obojętnie powiedziała ciotka. — Już mi się nie polepszy. Dobrze wiem, co się ze mną dzieje, nie myśl sobie...

— Skąd ciocia może wiedzieć? — spytałem. — Jest ciocia wróżką czy jasnowidzem?

— A któż lepiej ode mnie może wiedzieć? — ze zdziwieniem spojrzała na mnie, jak gdybym plótł Bóg wie jakie głupstwa. — Wiem i już zaczęłam się szykować... Piszę listy do wszystkich krewnych... Do twojej matki już wysłałam... Czekaj, zaraz ci coś pokażę... — wolniutko uniosła wieko skrzyni, jakby jego ciężar był ponad jej siły, wyjęła ciemnobrązową suknię, nie rozkładając przyłożyła do piersi. Ciemny materiał jeszcze bardziej podkreślał jej mizerny wygląd. — Prawda, że mi w niej do twarzy? Pamiętaj, macie mnie w tym pochować... niech wam nie będzie szkoda...

— Ależ ciociu — błagalnie złożyłem ręce.

— I dacie mi tę chustkę — wyjęła ze skrzyni kremową chustkę w czerwone wspaniałe kwiaty. — Na to wszystko zapracowałam własnymi rękami, tak że już mi nie pożałujcie, ubierzcie mnie porządnie.

— Ciociu!

— Popatrz, uplotłam go dziś z samego rana — zdjęła gazę z opartego o ścianę wieńca. — Mieli przyjść po niego, ale nie przyszli. Plotłam go jakby dla siebie, dalibóg, aż żal oddawać. — W zamyśleniu

gładziła z czułością zieloną młodą choinę i białe astry. — Tak mi się udał ten wieniec jak rzadko... Ale też ci powiem, że jakbym własną duszę wplotła tu, pomiędzy te kwiaty...

— I po co ciocia...

— Popa nie proście — mówiła dalej. — Napatrzyłam się dosyć, jak to oni się modlą, i nic im nie wierzę. Muzyki też nie trzeba, po co muzyka, choćby nawet smutna, kiedy człowiek nie ot tak, z domu sobie wychodzi, ale z tego świata odchodzi. Zresztą i smutna muzyka bierze się z próżności i pychy... Kiedy się poschodzą czy pozjeżdżają, to niech w milczeniu mnie odprowadzą, w milczeniu zasypią ziemią, bo po co słowa? W słowach też nie ma całej prawdy...

— Jak to ciocia powiedziała? — zdziwiłem się temu, co usłyszałem. — W słowach też nie ma całej prawdy? Jak to?

— A pewnie, że nie ma. Skąd by się zresztą ona wzięła w słowach, kiedy słowo to tylko słowo. Ludzie przywykli chwytać się słów, kiedy już nie mają czego się uchwycić, a słowo — to pusty dźwięk, nic więcej.

Widocznie od dawna wszystko to przemyślała, rozważyła. Poczułem szacunek dla niej i już nie z taką protekcjonalną pobłażliwością myślałem o tym wszystkim, co mówiła, jak gdybym wniknął w jej duszę. I zrobiło mi się ciężko na sercu, jakbym przejął na siebie jakiś ogromny ciotczyn ciężar, ciężar całego jej życia.

— Tylko nie myśl, że jak ja tak mówię, to mi nie żal... — ciągnęła dalej ciotka. — Kiedy sobie pomyślę, że trzeba to wszystko porzucić, że to wszystko pozostanie, ale już beze mnie, to całowałabym każdą ścieżynkę, każdą trawkę bym całowała.

I chociaż mówiła spokojnie, jak mogłaby wypowiadać jakieś inne, codzienne słowa, wierzyłem jej, wierzyłem aż do przejmującego chłodu w sercu, aż do

bólu w skroniach. I już nie próbowałem jej pocieszać — niech mówi, gdy wypowie wszystko, będzie jej lżej, też różne myśli przestaną dla niej istnieć, a zatem i przestaną ją dręczyć.

— W razie czego od razu przenoś się tutaj, dosyć już tego poniewierania się po bursach — podjęła znowu ciotka. — Byłoby dobrze, gdybyś się ożenił, bo sam nie dasz sobie rady w tym domu.

— Mam się ożenić dla domu? — uśmiechnąłem się leciutko.

— Dlaczego dla domu? Dla siebie. Sam sobie nie poradzisz, zapuścisz tu wszystko, już ja wiem. A kobieta, choćby nawet młodziutka, to całkiem co innego...

Rozpacz mnie brała — przecież to moja rodzona ciotka, siostra mamy, przecież to moja krew! I to wszystko, co wypowiedziały jej usta, wypowiedziane było jakby moimi ustami, było jak gdyby cząstką i mojego doświadczenia życiowego, i moich myśli — o sobie samym, o ludziach, o świecie. Czułem, że tak powinno być, a jednak był we mnie wewnętrzny opór, sprzeciw, coś mi mówiło, że to tylko jej myśli i uczucia, tylko jej.

— Dobrze — powiedziałem — niech będzie tak, jak ciocia sobie życzy.

A ona, położywszy się na żelaznym łóżku i wyżej podsunąwszy poduszkę pod głowę, mówiła:

— Tak, przeżyłam już swoje życie, a że dzieci nie miałam, zawsze ciebie uważałam za swoje dziecko. Kiedyś nawet prosiłam twoją matkę, żeby mi ciebie oddała, ale się nie zgodziła. Nie wiedziałeś o tym? — twarz jej rozjaśniła się. — Byłeś wtedy jeszcze całkiem malutki... No, no, nie chmurz się... Wyrósłbyś i nic nie wiedział o tym, ja byłabym twoją matką i kochałbyś mnie jak rodzoną...

— A dlaczego... mama mnie nie oddała? — spytałem, z trudem poruszając nieposłusznymi wargami.

— Widać żal jej było... no cóż, jej wola... A co, chciałbyś chować się u mnie?

Zawahałem się z odpowiedzią; nie chciałem dotknąć ciotki, która często przyjeżdżała do nas na wieś, przywoziła wszystkim prezenty.

— No, no, nie chcesz mówić, to nie mów! Pewnie, któż by się sprzeniewierzał rodzonej matce, która wychowała, chroniła od złego. Ale taka już jestem, że uważałam cię całutkie życie za swego syna, więc się zą to na mnie nie gniewaj, dobrze?

Boże, jak mi było jej żal! Jakim żalem przejęło mnie całe jej samotne życie, nad którym nigdy się nie zastanawiałem, nie miałem na to głowy. Podszedłem bliżej i chciałem pogładzić jej żółte czoło, jak nieraz gładziłem czoło mojej matki w przystępie dziwnej tkliwości. W takich chwilach nie mogłem się wprost powstrzymać, by jej nie pogładzić... Ale w zamglonych oczach ciotki był taki bolesny smutek, że moja ręka mimo woli opadła, i tamto pragnienie nagle we mnie umarło.

— No idź już — powiedziała ciotka, patrząc na mnie długim, głębokim spojrzeniem. — Idź, bo jeszcze zacznę płakać, a ja już nie mam sił nawet na to, żeby po prostu leżeć na tym łóżku... Byłoby dobrze, gdybyś mi przyniósł łoziny znad rzeki, bo mi już wszystka wyszła. Ale gdzie ty tam przyniesiesz...

I znowu drgnęła mi ręka, pragnąc pogładzić żółte, zmęczone czoło, poorane zmarszczkami...

Pośród nocy rozbudził mnie Chrystołobenko.

— Antonie — szeptał mi do ucha — wstań, słyszysz...

Pomyślałem przez sen: „Pewnie coś się stało". I szybko usiadłem na łóżku.

— Nie denerwuj się, nic się nie stało — przyja-

znym, łagodnym głosem uspokajał mnie Saszko. — Nie śpię już chyba od godziny, siedzę przy oknie i patrzę w niebo.

Ziewnąwszy przeszedłem ze swego łóżka na jego i wychyliłem się przez otwarte okno. Ciemna, głucha noc. Powietrze pachnie chłodnym listowiem i wilgotną ziemią. Cisza. Gdzieś blisko szeleści w ciemnościach drzewo, jakby opowiadając swój sen.

— Nie gniewaj się, że nie daję ci spać — szeptał mi do samego ucha Saszko — ale nie mogę już dłużej... Nie wiem, dlaczego się obudziłem, a potem nie mogłem usnąć, choć zamknąłem oczy... Otworzyłem okno, patrzyłem tak sobie w noc, a potem spojrzałem w niebo, na gwiazdy, i już nie potrafiłem oderwać oczu. I im dłużej patrzę, tym straszniej mi się robi — ogrzewał ciepłym oddechem mój policzek — a potem nagle mi się wydało, że jestem sam, samiuteńki na całym świecie. I jeszcze te gwiazdy... Nie mogłem się powstrzymać, musiałem cię obudzić, tak że się nie gniewaj...

— Mnie w dzieciństwie często takie rzeczy się przydarzały — odpowiedziałem, ani trochę nie gniewając się na Saszka. W górze lśniły gwiazdy, malutkie, kłujące, i trudno było uwierzyć, że są to ogromne światy. Zapatrzony w gwiazdy doznawałem uczucia, że i ja od dawna nie śpię, i od dawna już trwam w tym dziwnym stanie absolutnej samotności, w jaki zdolne są one wprawić człowieka.

— Wiesz o czym myślę? — powiedział Saszko i oczy jego błysnęły. — Myślę o kosmonautach, którzy oglądali naszą Ziemię stamtąd, z góry. Możesz sobie wyobrazić, co odczuwał pierwszy kosmonauta, gdy ją zobaczył w międzyplanetarnej przestrzeni? — szeptał jakby urzeczony wizją, którą miał w tej chwili przed oczami. — Przecież to cała rewolucja w percepcji, w świadomości człowieka. Spojrzeć na Ziemię

z boku, zobaczyć ją z dala i przekonać się naocznie, że nasza planeta to istotnie maleńki, zagubiony w kosmosie świat, taki sam jak miliony innych!

— Tak — nastrój Saszka i mnie się udzielił. — Ujrzeć Ziemię z daleka i uświadomić sobie, że właśnie w tej chwili nie ma cię tam, pośród ludzi, na tej kuleczce, że w tej przestrzeni kosmicznej oderwany jesteś od ludzkości...

— Od takich myśli można oszaleć — szepnął Saszko. — Ale chciałbym przeżyć coś takiego... Aby się przekonać, jakim wydałby mi się stamtąd, z przestworzy, ten nasz ludzki świat. Jakimi wydałyby mi się wszystkie nasze ziemskie sprawy, nasze uczucia, nasze waśnie i nasze wojny. Nasze wysiłki, by mieć co dzień ten kawałek chleba powszedniego, nasze obawy o własne życie... Czy ma to jakiekolwiek znaczenie, gdy się spojrzy stamtąd, z tamtej perspektywy spróbuje to wszystko ocenić?...

— A może wszystko, co ziemskie, co ludzkie, nabierze wtedy jeszcze większego znaczenia?

Saszko zaśmiał się nerwowo.

— Jesteś tego pewien? — spytał ściszając głos. — Wtedy nabierze znaczenia również wszystko, co podłe i nikczemne, co od zarania ludzkości przynosiło ujmę człowiekowi, czyniło z niego bydlę, bestię?

— Dlaczego? — zaoponowałem i sam dosłyszałem uroczyste nutki w swoim głosie. — Przeciwnie, być może właśnie to wszystko straci wszelkie znaczenie dla człowieka, poczuje się wolny od pęt, które wiązały go z pieczarą, z epoką kamienną.

— Posłuchaj — przerwał mi Saszko, bo znów przyszło mu do głowy coś, czym natychmiast musiał się podzielić. — Czy nie uważasz, że te odczucia, jakie przeżywają kosmonauci, powinny stać się udziałem każdego człowieka? Dopiero wtedy osiągnie on w pełni zrozumienie samego siebie, które da mu kosmos

i które uczyni człowieka wolnym! Pomyśleć tylko — przecież to absolutnie nowe odczucia, nie znane dotąd człowiekowi! Myślę, że jeszcze wiele ich mamy przed sobą.

Saszko aż dzwonił zębami z przejęcia.

— Wiesz — szeptał w uniesieniu — jestem w tej chwili szczęśliwy, rozumiesz, szczęśliwy!...

Rozumiałem go, mnie też, podobnie jak jego, ogarnął nastrój uroczysty i podniosły. Zagubiony w bezmiarze wszechświata, nie czułem się niczym, albowiem odczuwałem ów bezmiar i starałem się go pojąć...

I obaj jednocześnie zamilkliśmy, czując, że dość już słów, że teraz tylko milczenie może powiedzieć coś więcej. Przypomniało mi się, co mówiła moja ciotka o słowach: że mogą one wyrazić tylko cząstkę prawdy. Tak, słowa to znaki, symbole, niezdolne wyrazić całej istoty rzeczy.

— Dzień dobry! — powiedział do mnie na ulicy jakiś człowiek.

Odpowiedziałem machinalnie, nie podnosząc głowy, i już chciałem iść dalej, lecz coś mnie powstrzymało. Może te dwa wiklinowe kosze, które ów człowiek miał w rękach? Z koszy przeniosłem wzrok wyżej — młoda smagła twarz uśmiechała się do mnie. Zdziwiony wzruszyłem ramionami, ale tamten, wciąż uśmiechnięty, spytał:

— Nie poznajesz mnie?

Ten głos wydał mi się znajomy.

— Przecież piłeś u mnie wodę!

— Wodę? Jaką wodę?

— I pokazywałem ci swego orła! — dodał wesoło.

— A-a! Już wiem! Że też od razu was nie poznałem. Przepraszam... Jak mogłem zapomnieć waszą twarz, przecież tak często was wspominałem.

— Wspominałeś? — z niedowierzaniem powiedział młody traktorzysta.

— Oczywiście — przekonywałem go — i orła waszego wspominałem, naturalnie...

— A ja właśnie wracam z targu — powiedział traktorzysta. — Żona mnie posłała, żebym sprzedał trochę gruszek i śliwek, bo jest ich w tym roku jak gnoju, nie ma co z tym zrobić... Mam na imię Borys — dodał. — A ty co, uczysz się tutaj?

— Tak — odpowiedziałem, wciąż nie mogąc się nadziwić, jak się to stało, że jego twarz wyleciała mi z pamięci, przecież stale go wspominałem. Chyba jednak wspominałem raczej orła...

— Powiedz, gdzie tu można napić się piwa — poprosił — okropną mam ochotę na piwko. Do nas, do wsi, nieczęsto przywożą, a jak już przywiozą, to zaraz poschodzą się chłopy i, ani się obejrzysz, za jeden wieczór wszystko wysuszą.

Po chwili byliśmy w piwiarni. Borys postawił na ziemi swoje kosze, wyjął z kieszeni dwa wędzone leszcze i mrugnął do mnie.

— Królewskie jedzenie — cmoknął językiem. Zamówił dwa piwa, dla siebie i dla mnie, zdmuchnął pianę ze swego kufla, upił. Jednego leszcza dał mnie, a drugiego sam zaczął czyścić. Wyrwawszy płetwę z brzucha ryby, wpierw ją chciwie wysmoktał, nim odrzucił na kupkę łuski. — Nie każda ryba nadaje się do wędzenia. Na przykład takie karasie, nie ma chyba u nas smaczniejszej ryby, a przecież się nie nadają... Wędzony karaś traci cały smak, jest do wyrzucenia. Ale wędzony leszcz — proszę siadać! — można beczkę piwa wypić przy jednym ogonie! A ty lubisz piwo? Każdy mężczyzna powinien lubić piwo, bo co to za chłop, co nie pije. Powiem ci coś jeszcze o szczupakach — strach, ile się ich u nas namnożyło.

Tak mi był rad, jakby spotkał kogoś bliskiego.

— Słuchaj — wtrąciłem — a co z tym orłem, którego u ciebie widziałem?

— A-a, orzeł — uśmiechnął się.

— Co się z nim dzieje? — patrzyłem w jego rozradowane oczy, rozradowane dlatego, że widziały mnie.

— A czy ja wiem — wzruszył ramionami. — Cały czas siedział u mnie w stajni. A któregoś dnia wchodzę — nie ma go, jakby nigdy nie było.

— Jak to nie ma? — zdziwiłem się.

— A tak. Nie wiem, gdzie się podział.

— Może go ktoś ukradł? Albo kuna udusiła? A może odleciał? — w tej chwili naprawdę obchodził mnie los ptaka, z którym zżyłem się już w myślach.

— Gdzieś go poniosło — powiedział Borys. — Chyba jednak poleciał sobie, bo kto to widział, żeby wolny ptak w chlewie siedział!

— Jakie to wszystko dziwne... To nie chciał latać, to znów poleciał...

W tej chwili obejrzałem się i zobaczyłem, że po drugiej stronie ulicy pod żółtymi jesiennymi klonami idzie Oloszka Szkuro, popychając przed sobą błękitny dziecinny wózek. Obok niego szła młoda kobieta, widocznie jego żona Larysa.

— Oloszka! — zawołałem. — Chodź tutaj.

Przystanęli oboje pod klonami, patrząc w naszą stronę. Larysa spytała o coś męża, Oloszka odpowiedział i wtedy ruszyli ku nam.

— Mój przyjaciel — przedstawiłem Borysa, który zaraz podbiegł do bufetowej, by zamówić piwo.

Larysę widziałem po raz pierwszy. Jasna blondynka, o twarzy okrągłej i usianej piegami. Nad górną, pełną wargą połyskiwały rudawe włoski.

Borys wrócił do naszego stolika przynosząc cztery kufle piwa. Minę miał jeszcze bardziej rozpromienioną, jakby był szczęśliwy, że widzi nie tylko mnie, ale i rodzinę Oloszki.

— Proszę — powiedział, a przed Larysą nawet się skłonił i podał jej kawałek leszcza, który aż błyszczał od przejrzystego zielonkawego tłuszczu.

— Mnie nie wolno pić — powiedziała Larysa lekko chrapliwym głosem i pytająco spojrzała na męża.

Borys tymczasem nachylił się nad wózkiem, uśmiechnął się do niemowlęcia, obrzucił szybkim spojrzeniem Larysę, która lekko się zmieszała, i powiedział:

— No co, oczekujecie uzupełnienia... Kufel piwa nie zaszkodzi, proszę wypić.

Sposób, w jaki to powiedział, nie miał w sobie nic z bezceremonialności, tak mógł powiedzieć dobry kolega. Larysa uśmiechnęła się do niego przyjaźnie i upiła troszkę z kufla.

Pochwyciwszy spojrzenie Oloszki, zapytałem go oczami: czy to prawda, że oczekujecie drugiego dziecka? Oloszka udał, że nie zrozumiał mojego niemego pytania.

— Prawda, jaki smaczny ten leszcz? A jadła pani kiedyś mięso dzika? — dopytywał się Borys.

— Dzika? — zdziwiła się Larysa. — Nie, nigdy nie jadłam.

Wtedy Borys opowiedział nam, jak to zeszłej zimy w puszczy upolowali wraz z ojcem dzika. Gdy przywlekli go do domu, zaraz o ich zdobyczy zwiedzieli się krewniacy i sąsiedzi; naschodziło się tylu amatorów dziczyzny, że tego dzika w ciągu jednego wieczoru zjedli. Mało tego, trzeba było jeszcze zarżnąć trzy kury, żeby goście nie wrócili do domu głodni.

Larysa śmiała się — śmiech miała głęboki, też leciutko chrapliwy. Oloszka popatrywał na nią od czasu do czasu i czuło się, jak go to cieszy, że ma taką żonę, że urodziła mu dziecko, że teraz znów jest brzemienna.

Potem Borys przyniósł jeszcze po kuflu piwa. Larysa tym razem stanowczo odmówiła, ale myśmy wy-

pili i piwo lekko uderzyło nam do głowy: śmieliśmy się głośno z każdego słowa, pokpiwali po cichu z grubej bufetowej, która wypasła się widać na towarze, którym handluje. W końcu Borys zaprosił nas do siebie, obiecał pokazać puszczę, a myśmy przyrzekli, że go kiedyś odwiedzimy, bo nie tak to znowu daleko.

Całą gromadą odprowadziliśmy go do autobusu i wepchnęli razem z koszami do środka, bo ścisk był wielki. Widzieliśmy, jak Borys nie bardzo mogąc poradzić sobie z koszami, jeden trzymał na ramieniu, a drugi na głowie jakiegoś chłopca, który posłusznie stał pod tym koszem. Gdy autobus ruszył, Borys pokiwał nam głową, uśmiechnął się i odjechał z tym radosnym uśmiechem na twarzy.

— Wesoły człowiek i dobry — powiedziała Larysa i popychając wózek poszła przodem.

— Więc nie poprzestajesz na tym, co już osiągnąłeś? — spytałem Oloszkę.

— A niech będzie — odparł takim tonem, jakby musiał usprawiedliwiać się przede mną. — Jedno dziecko to się jeszcze nie liczy.

— Naprawdę? — rzuciłem mimo woli ironicznie.

— A tak... Tylko że ty nie potrafisz tego zrozumieć.

— Dlaczego?

— Póki sam nie będziesz ojcem, nie zrozumiesz.

Może i ma rację, kto go tam wie! Może rzeczywiście ojcostwo każe inaczej patrzeć na świat, na ludzi? Na razie mogę się tego tylko domyślać.

— Aha, wiem — roześmiałem się nieoczekiwanie dla samego siebie. — Wiem, dlaczego chcecie mieć drugie dziecko.

— Dlaczego? — Oloszka uniósł brwi. A miał te brwi jakieś takie niewyraźne, jakby je mole ponadgryzały.

— Bo chcesz się zrehabilitować, prawda? — to była aluzja do owego zebrania komsomolskiego.

— Może i dlatego — nie zaprzeczył Oloszka.

— Powiedz, kto wtedy napisał tę kartkę... no, tę, którą Docent przeczytał na głos przed całą salą. To musi być ktoś z twoich dobrych znajomych, powinieneś wiedzieć.

— A jeśli ci nawet powiem, czy on przez to się zmieni, przestanie być draniem?

— Nie przestanie — przyznałem.

— Gdybym ci powiedział, będzie to wyglądało, że chcę się mścić. Nie, ja nie jestem mściwy, jestem ponad to.

Ten ma nie byle jaki charakter, pomyślałem ze zdziwieniem. Uderzyło mnie, że ten niepokaźny Oloszka, z którego lubią sobie pokpiwać koledzy, że ten Oloszka jest pod każdym względem bardziej dorosły ode mnie. Wiedzie dorosłe życie, takie, jakie było mu sądzone. Czułem się przy nim jak chłopczyk, przy tym człowieku, który świadomie daje życie swoim dzieciom i otwarcie wypowiada swoje przekonania, nie przynoszące ujmy jego godności.

— Cóż, pewnie masz rację — powiedziałem. — Ten drań nie przestanie być draniem dlatego, że wszyscy będą o nim wiedzieli. Tylko niemiła jest świadomość, że obok ciebie...

— Nie będziemy go demaskować — przerwał Oloszka — trzeba dać mu szansę, niech sam się poprawi... No, cześć, Szyszkin!

— Cześć — powtórzyłem machinalnie, zatrzymując się w miejscu z takim uczuciem, jakbym to robił na rozkaz Oloszki, który nie chce więcej rozmawiać ze mną na ten temat...

Wróciwszy dziś po południu z wykładów, szybko przemknąłem przez podwójne drzwi akademika, które z podwójnym szczękiem zamknęły za mną dwie stalowe sprężyny, i już biegłem przez hall, gdy nagle coś mnie

powstrzymało. Spojrzałem w prawo — pod ścianą stała wytarta kanapa z obszarpanymi czarnymi wałkami, z których wyłaziła wata, a w rogu tej kanapy siedziała nieruchomo przygarbiona kobieta. Ogarnęła mnie fala ciepła: „Mamo!" — zawołałem z radością.

Niezgrabnie podniosła się na przywitanie, a gdy pocałowałem jej usta, poczułem, że są suche i chłodne.

— Dostałam list od Mełanki, że jest chora, no i przyjechałam — powiedziała matka, jakby usprawiedliwiając swój przyjazd. W głębi jej ciemnych, wpatrzonych we mnie oczu przeświecała jak gdyby żółtość starego wosku. — Zjadłeś chociaż obiad, co? Czy biegasz głodny?

Taka ta moja mama — zawsze troszczyła się, żebym był syty, bo uważała, że jedzenie to siła i zdrowie. Nieraz do mnie mówiła: „Masz zmartwienie, ręce ci opadają, to zjedz coś, zobaczysz, że pomoże. Spotka cię coś złego — wpierw najedz się, synku, nie daj się wymęczyć głodowi, to i bieda cię nie wymęczy. Na chorobę też jedyny ratunek to jedzenie, bo jedzenie jest najlepszym lekarstwem".

— No, prowadź do swego pałacu — powiedziała, biorąc do ręki ciężką, mocno sfatygowaną walizkę. Ta walizka to rodzinna świętość — mama z nią jeszcze do ojca na front jeździła.

Gdy weszła do naszego pokoiku i zobaczyła, że jest taki maleńki, że łóżko przytyka do łóżka, a stół stoi przy samych drzwiach, nic nie powiedziała, tylko pokiwała głową. I zaraz zabrała się do rozwiązywania sznurków, którymi wzmocniona była walizka. A po chwili wyjmowała już różne paczuszki.

— Tu — mówiła — masz koguta, zarżnęłam zeszłorocznego, pięknie piał, tylko biegał za sąsiedzkimi kurami, tak że mogli mu tam nogi poprzetrącać. A to, synku, świeży karp, teraz jesień, to każda ryba jest smaczna, kupiłam na targu... Tu masz mięso gotowa-

ne, a tu pierożki z wątróbką, żebyś sobie pojadł. I wianuszek grzybów ci przywiozłam...

— Co ja z nimi będę robił?

— ... a grzybów w tym roku zatrzęsienie — jakby nie słyszała, co powiedziałem. — Ci, co mieli czas, workami z lasu nosili. A ile nasuszyli! Ja też poszłam dwa razy i trochę przyniosłam...

Chociaż nie byłem głodny, bo zjadłem obiad w stołówce studenckiej, musiałem spróbować maminych smakołyków. Siedziała naprzeciwko na skrzypiącym łóżku i ze smutkiem patrzyła na mnie. Potem odwróciła na chwilę wzrok i spojrzała już weselej.

— Ojciec wozi paszę dla bydła — opowiadała — pracy w kołchozie starcza teraz dla wszystkich. To robotnika trzeba ze świecą szukać...

Zostawiłem Saszce kartkę na stole, że przyjechała moja mama, więc niech się częstuje tym, co przywiozła, a sam wziąłem maminą walizkę i poszliśmy do ciotki. Idąc z mamą przez miasto, wciąż patrzyłem na nią i uśmiechałem się. Cieszyłem się, że przyjechała, że idzie teraz obok mnie, że widzę jej drogą, już pokrytą zmarszczkami twarz, a jednocześnie było mi trochę smutno. Smutkiem napawało mnie, że mama już się postarzała, w tym była jakaś wielka niesprawiedliwość, ale na czym ona polegała, tego nie potrafiłbym wytłumaczyć... Mój uśmiech zaprawiony był goryczą i jakby poczuciem jakiejś winy wobec matki.

Ciotka Mełanka i mama uściskały się, ucałowały, a potem obie się rozpłakały.

Wyszedłem na dwór, aby zostawić je same. Popołudniowe słońce uśmiechało się ciepło i łagodnie na błękitnym niebie, jakby podzielając mój melancholijnie radosny nastrój. W jabłoniowym sadzie ciotki głośno szeleściły pod nogami purpurowe liście. Zerwałem rumiane jabłko, ugryzłem i jego smak obudził naraz we mnie wspomnienie dzieciństwa. To wspo-

mnienie sprawiło, że w jednej chwili poczułem się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. I pomyślałem, że to mama przywiozła mi to szczęście.

A potem znów musiałem jeść. Ciotka posadziła nas przy stole, nalała rubinowej wiśniówki.

— Pij, pij — powiedziała mama — z kolegami na pewno już popijasz, to czemu miałbyś rodzonej matki się wstydzić. Czy to ja nie widzę, jak ty tu żyjesz. Może i dziewczynę już masz, chcesz się żenić, tylko się nie przyznajesz?

— Teraz się żenią cichaczem — powiedziała ciotka Mełanka. — Pożyją rok, dwa i rozwodzą się. A rodziców nie pytają.

— To jak, masz dziewczynę czy nie? — mama z uśmiechem patrzyła mi prosto w oczy.

— Mama jeszcze zaraz spyta, czy mam dzieci? — wykręciłem się od odpowiedzi.

— Jak będzie dziewczyna, to i dzieci się znajdą — powiedziała. — Nie kręć, tylko się przyznaj.

— Mam — powiedziałem, bo wstyd było się przyznać, że nie mam.

— Jak się nazywa?

— Switlana — odpowiedziałem czerwieniąc się mimo woli.

— Ładne imię — orzekła mama.

— Popatrz, popatrz — wtrąciła się ciotka — a przede mną ani słowem się nie zdradził.

— Kochasz ją, czy tak tylko z nią chodzisz, jak to teraz chodzą. Dzisiaj z jedną, jutro z drugą.

— Ja chodzę z jedną — powiedziałem i spuściłem oczy.

— A kochasz ją? — domagała się odpowiedzi mama. — Patrz mi w oczy! Bo jeśli nie kochasz, to po co masz z nią chodzić? Żeby tylko zawracać dziewczynie w głowie? Nie ma po co tak chodzić!

— Kocham — powiedziałem cicho i z nieoczekiwa-

ną gwałtownością, aż do jakiegoś bolesnego skurczu w skroniach, odczułem, że naprawdę kocham Switlanę. Po prostu przedtem sobie tego nie uświadamiałem i dopiero w tej chwili, przy mamie, olśniło mnie to znienacka, niby nagłe odkrycie.

A może kochałem ją już wtedy, gdy wsiadłem na rower, żeby uciec od samego siebie, od sytuacji, w jakiej się znalazłem, od konieczności jasnego postawienia sprawy raz na zawsze? Czyżby naprawdę wtedy? Nie, to niemożliwe... Przecież po spotkaniu z Donatem chyba upewniłem się co do swych uczuć i do Switlany poszedłem wtedy po to, by powiedzieć jej całą prawdę... Nie chciałem się wyrzekać naszej przyjaźni, ale do niczego więcej nie byłem wówczas zdolny... Nie byłem zdolny... Dlaczego teraz to wszystko wydaje mi się nieprawdą? Jakimże idiotą byłem wtedy, gdy razem z Chrystołobenką nocą szukałem Donata po ulicach. Ach, co za idiota! I trzeba było dopiero, żeby przyjechała mama, zapytała mnie o to wszystko, o co zapytała, abym sobie uświadomił nareszcie, że kocham Switlanę i że byłem największym w świecie głupcem, gdy chciałem z niej tak po prostu zrezygnować.

Nie słyszałem już, o czym mówią mama i ciotka Mełanka. Siedziałem przy stole i karciłem siebie za to, że bawiłem się w szlachetność, że ostatnio unikałem spotkań ze Switlaną. Najchętniej wstałbym i pobiegł, by ją odszukać, zobaczyć. Nie do zniesienia była sama myśl, że ona nie jest w tej chwili ze mną, że w tej chwili, być może...

— A często się widujecie? — dobiegł mnie głos mamy.

— Z kim?

— Ze Switlaną, z kimże by.

— A wyście się często widywali, mama z ojcem, kiedy byliście jeszcze młodzi, nim się pobraliście?

— Owszem, często — zaśmiała się mama. Teraz, gdy napiła się wiśniówki i poweselała, nie wydawała mi się już taka postarzała jak przedtem.

— Mamo — spytałem — a mogło się tak zdarzyć, że w ogóle nie spotkalibyście się?

— Z kim?

— No, mama z moim ojcem.

— Jakże się to mogło zdarzyć, kiedy urodziliśmy się oboje w tej samej wsi, mieszkaliśmy w sąsiedztwie...

— Ale mogło tak być, że nie pobralibyście się? — dopytywałem się jeszcze bardziej natarczywie, gdyż opanowała mnie jakaś myśl, jeszcze nie sprecyzowana, ale — czułem to — bardzo ważna.

— Jak to nie pobraliby się? — wtrąciła się ciotka. — Oho, jak twój ojciec biegał za twoją matką! I ona też nie była temu przeciwna, co? — i ciotka mrugnęła do matki.

— Ależ ja nie o tym... — przerwałem zniecierpliwiony, ogarnięty dziwnym podnieceniem. — Urodzili się w tej samej wsi, mieszkali blisko, ale mogło przecież tak być, że nie pobraliby się?

— Niech Bóg zachowa — powiedziała mama. — Pewnie, że mogło tak być, gdyby mnie czy twego ojca spotkało jakieś nieszczęście...

— A gdybyście się nie pobrali, to mogło być i tak, że mnie nie byłoby na świecie? — spytałem wreszcie.

— W imię Ojca i Syna, moje dziecko — zdumiała się mama. — Że też coś takiego mogło ci przyjść do głowy.

— A kiedy ja się urodziłem, w dzień czy w nocy?

— Z rana — powiedziała ciotka.

— A tak, akurat słońce wzeszło — potwierdziła mama. — I tak lekko przyszedłeś na świat, że nawet nie bolało... Jak cię zobaczyłam, łzy same popłynęły.

— Dlaczego, mamo?

— Bo tak się ucieszyłam, że się urodziłeś.

— Sam widzisz — pokiwała głową ciotka i w tym jej geście było coś znajomego, co przypominało moją mamę. — Jakże mogłeś się nie urodzić? Nie mogło przecież tak być...

Pocałowałem moją mamę w czoło, czując przez moment, że jest słone. Mama ze zdziwieniem spojrzała na mnie, jakby chciała zapytać, co się ze mną dzieje.

— Dziękuję, mamo! — powiedziałem.

— Za co? — przymrużyła oczy w zamyśleniu.

I nagle ciotka Mełanka rozpłakała się — cichutkie łzy potoczyły się po żółtych policzkach. Mama popatrzyła na nią długim spojrzeniem i wolno opuściła głowę...

— No, chłopaki, jak się żyje? — spytał Roman Storożuk wchodząc do naszego pokoju. Piliśmy właśnie z Saszką herbatę i zajadali mamine pierożki z wątróbką. Przyjście Romana bardzo nas zdziwiło — co go sprowadza tak wcześnie rano?

— Właśnie konsumujemy gorące napoje — mruknął Saszko — bo przez noc pozamarzały nam motory.

— A co, zimno już w pokoju? Czuje się jesień? — spytał Storożuk i nachyliwszy się poprzez łóżko ku oknu, odchylił firankę. — No tak, mgła...

— Nam, starym dziadom, i w lecie jest zimno — rzekł Chrystołobenko.

— Naprawdę taki marny pokój? — zmartwił się Roman. — Oj, coś wy chłopcy zaczynacie kaprysić. Na cały akademik tylko wy dwaj mieszkacie we dwójkę, w innych pokojach — po czterech, po pięciu.

— No i co dalej? — odezwałem się, czując, że nie bez powodu ta cała rozmowa.

— Naprawdę nie podoba się wam to komfortowe gniazdko? — dopytywał się Roman.

— Do czego zmierzasz? — już i Saszko wyczuł coś niedobrego.

— Nie ja zmierzam, chłopcy, nie ja — przyjaźnie odpowiedział Storożuk.

— No, strzelaj! — zachęcił go Saszko.

— Widzicie, szykuje się u nas wesele — rzekł Storożuk.

Od razu domyśliłem się, co sprowadziło tak rano Storożuka do naszego „komfortowego gniazdka".

— Kto się żeni? — dobroduszna twarz Saszka rozpłynęła się w uśmiechu. — Iwan Illicz bierze Adę Czornomorczenko? A jednak dopiął swego, beznogi czort! A wszystko cicho-sza! No cóż, niech się przenoszą do naszego pokoju. Iwan będzie spał chyba na łóżku Antona, a Ada niech już na moim. I jej będzie miło, i mnie przyjemnie.

— A dlaczego tobie ma być przyjemnie? — uśmiechnąłem się kwaśno.

— I tak nie zrozumiesz — z rezygnacją machnął ręką Chrystołobenko.

— Nie, chłopcy — odczekawszy chwilę zaczął Roman Storożuk. — Tu chyba będzie mieszkać inna szczęśliwa para.

— Inna? — zdziwił się Saszko. — Kto? Czy nie ty przypadkiem?

— Widzicie, dziś biorą ślub Maria Fatiejewa i Babenko... Przyszedłem więc zapytać, czy nie oddalibyście nowożeńcom swego pokoiku. Babenko mieszka kątem na mieście, a Maria w naszym akademiku... To dyskretna rozmowa, chłopcy, sami to chyba rozumiecie.

— Nie mam nic przeciwko temu — oświadczył Chrystołobenko. — Przeniosę się do dziewcząt, z którymi mieszka Fatiejewa, na pewno nie będzie mi tam aż tak źle — uśmiechnął się łobuzersko.

— A ty, Antonie? — Storożuk bacznie spojrzał na mnie.

— Jak większość, tak i ja — odparłem prawie spokojnie.

— Większość — to ja? — wesoło spytał Saszko.

— Oczywiście — odpowiedział mu Storożuk i znów zwrócił się do mnie: — Mówisz poważnie?

— A ty nie mówisz poważnie?

— Owszem, poważnie — spuścił wzrok. — Tylko... widzisz... na razie nie ma wolnego miejsca dla was. Rada uczelniana pomyśli, żeby coś wykroić...

— Nie musi myśleć i nie musi wykrawać — odpowiedziałem z obojętną miną.

— Jak to? — podejrzliwie spojrzał na mnie Storożuk.

— Bo to niepotrzebne. Będę mieszkał u swojej ciotki, znajdzie się u niej miejsce.

— To bardzo dobrze — ucieszył się Storożuk. — Wiedziałem, że jesteś dobrym kolegą.

— A ja? — kpiąco spytał Chrystołobenko.

— A więc dogadaliśmy się, chłopcy, tak? Musicie wejść w ich położenie, zrozumieć nowożeńców. Gdyby któryś z was się żenił, też by mu inni pomogli.

— Mamy się pakować zaraz czy można po wykładach? — ironicznie spytał Saszko.

— No — Storożuk zmieszał się. — Byłoby pożądane, żeby jak najprędzej, tylko że wy nie jesteście jeszcze obaj urządzeni.

— O to się nie troszcz — powiedziałem — zabieram Chrystołobenkę ze sobą.

— Ze sobą? — nie zrozumiał Storożuk. — Dokąd?

Saszko poklepał Romana po ramieniu:

— Czyżbyś nie wiedział, że nasz Anton Ursoł to kamienicznik? Rodzona ciotka zapisała mu swój dom.

— Naprawdę? — uśmiech zakwitł na ustach Storo-

żuka, jakby spotkało go nieoczekiwane szczęście. — A ciotka żyje?

— Przynaglić, żeby prędzej umarła? — zakpił Chrystołobenko.

— Coś ty... jak możecie... — bełkotał Storożuk. — Już byście na mnie psy wieszali, a ja przecież chcę tylko pomóc naszemu koledze.

— A czy my nie chcemy? — ze zdziwieniem spytał Saszko.

Podczas gdy oni się przekomarzali, ja złożyłem swoje zeszyty, ubrałem się. Chciałem wyjść, ale w progu stał Storożuk. Nie ruszył się z miejsca, usiłując pochwycić mój wzrok. Wreszcie podniosłem głowę i twardo spojrzałem mu w oczy.

— Wciąż nie możesz mu wybaczyć? — spytał mając na myśli Babenkę.

— Życie się zmienia i ludzie się zmieniają wraz z nim. Dobre już to, że Maria Fatiejewa mu wybaczyła.

— Wybaczyła? — powtórzył zdziwiony.

— To mądra i porządna dziewczyna, nie opuściła go. A cóż ja? Mnie tylko pozostaje zrozumieć ją, żebym mógł ją szanować za to, co uczyniła. Chylę czoło przed siłą jej miłości.

— Och, jacy my dziś jesteśmy szlachetni — westchnął Saszko — aż mdło się robi od tylu szlachetnych słów.

Saszko też szybko się ubrał i teraz obaj staliśmy przed Storożukiem, czekając, by pozwolił nam wyjść z pokoju.

— Nie zawsze was rozumiem — nieoczekiwanie powiedział Roman. — Co was łączy? Jesteście tak różni.

— O właśnie, jedność przeciwieństw — podchwycił Saszko. — To rozumie nawet taki lunatyk jak on — wskazał na mnie. — A ty, Romanie, przyznaj się uczciwie: mamy zaraz oddać klucz tobie czy może na

polecenie komitetu Komsomołu uroczyście podać go młodej parze na złotej tacy?

— Co też wy, chłopcy, co wy — zamachał rękami Storożuk i wyszedł z pokoju. — Zdążycie jeszcze oddać klucz.

— Romanie! — po chwili zawołał za nim Saszko. — Będą przemówienia na weselu? A orkiestra dęta?

— Co-o? — Storożuk przystanął w drugim końcu korytarza i przyłożył dłoń do ucha.

— Aha, już wiem, będą przemówienia — uśmiechnął się Saszko i pomachał Storożukowi — idź, idź, czekają cię ważne i małe sprawy...

Saszko zobaczył przed nami znajome dziewczęta, ożywił się od razu i zostawiwszy mnie pobiegł, żeby je dogonić. Uśmiechnąłem się widząc tę jego obrotność, ten pośpiech, powiodłem wzrokiem po wystawie sklepu spożywczego zastawionej puszkami z kawiorem z kabaczków i spojrzałem na drugą stronę ulicy. I aż zamarłem na moment z tym ironicznym uśmiechem na ustach: przed księgarnią stał Donat Ozerny.

Widocznie zauważył mnie z daleka i teraz czekał, czy zwrócę na niego uwagę. Zwolniłem kroku, a nawet przystanąłem jak gdyby nasłuchując dojrzewającej we mnie decyzji. Donat nie spuszczał ze mnie oczu. Nie namyślając się dłużej przeszedłem na drugą stronę ulicy.

Skinąłem mu głową, ale ani jeden muskuł nie drgnął w jego twarzy. Donat patrzył na mnie tak, jak gdyby widział mnie po raz pierwszy w życiu, jakbym był powietrzem.

— Co słychać? — spytałem, czując jak ogarnia mnie dziwny spokój.

Donat milczał. Jego duże szare oczy jakby pokryły się błyszczącą lodową skorupką.

— Szukałem cię, ale nie mogłem znaleźć — powiedziałem, pewny, że i moje spojrzenie jest w tej chwili twarde i chłodne.

— Gdzie mnie szukałeś? — odezwał się wreszcie Donat i kąciki jego szerokich ust, wygięte ku dołowi, leciutko drgnęły.

— Koło jej domu — odpowiedziałem.

— No i? — spytał aż nazbyt uprzejmym tonem.

— Tam ciebie nie było.

— Chciałeś mi coś powiedzieć? — pytał dalej Donat, wciąż nie spuszczając ze mnie oczu.

— Już ci tego nie powiem. Odechciało mi się.

— A co teraz chcesz mi powiedzieć? — jego melodyjny głos nabrał takiej głębi, jakby pochodził nie z piersi, lecz z jakiegoś niezwykłego instrumentu muzycznego.

— Teraz?

I nagle żal mi się zrobiło Donata, tego zarozumiałego, pewnego siebie chłopca. Ta jego pewność siebie, oschłość, baczne, nieruchome spojrzenie — to wszystko było takie żałosne. Ale nie mogłem się już powstrzymać. Tym bardziej że teraz miałem już prawo.

— Teraz chcę ci powiedzieć, że kocham Switlanę.

Twarz mu nie drgnęła, wyraz oczu też się nie zmienił.

— A ona? — spytał.

— Kocham ją — nie odpowiedziałem na jego pytanie — i nie mam zamiaru ustąpić przed tobą, zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — odparł. — Tylko widzę, że ciebie wcale nie obchodzi, co było między nami. — Zaczerpnął powietrza i dodał po chwili: — Między Switlaną i mną.

— Nie obchodzi — odpowiedziałem. Wzruszenie dławiło mnie w gardle. — Nie obchodzi mnie to, bo ją kocham. Jeśli ona uzna za stosowne, sama mi powie.

— Dobrze — rzekł Donat. I powtórzył: — Dobrze.

— Nigdy jej o to nie zapytam! — krzyknąłem niemal.

— Spokojnie — rzucił Donat. I dodał: — A my się jeszcze spotkamy. Nie sądzisz?

— Świat jest mały — odpowiedziałem.

Donat odwrócił się i wolno odszedł.

No i stało się — pomyślałem. Pod ciężarem dopiero co przeżytej chwili czułem się tak, jak gdybym postarzał się o dobre dziesięć lat. Przez głowę przelatywały mi strzępy jakichś myśli, że oto przyznawszy sobie prawo do wolności, tym samym narzuciłem swą wolę Donatowi. Ale odpędziłem zaraz te myśli, jak i inne, im podobne, gdyż teraz wydały mi się fałszywe, obce, dalekie od tego, co przeżywałem. I znów przypomniało mi się, co powiedziała ciotka Mełanka, że słowa to tylko znaki, pusty dźwięk, że nie trzeba chować się za słowami, nadając im większe znaczenie, niż mają w istocie, a trzeba żyć, żyć, i w tym znajdować sens i największą, godną marzeń ludzkich prawdę.

Na wykłady już się oczywiście spóźniłem. Ciężko mi było na sercu. Pomyślałem o mamie i nogi same poniosły mnie przez skwerek, obok ogrodzonego ciężkimi łańcuchami pomnika, który teraz był mokry i błyszczący od porannej rosy. Szedłem aleją wysypaną rzecznym piaskiem, po opadłych liściach klonowych, i myśląc o mamie czułem, że robi mi się lżej na sercu. Od dziś, powiedziałem sobie, jeśli mnie spotka jakieś niepowodzenie, jeśli ogarnie mnie smutek czy tęsknota — zawsze będę myślał o mamie. Będę ją przywoływał w wyobraźni, jej oczy, jej ręce, będę odnawiał w pamięci jej słowa, będę myślał, co w tej chwili robi.

Klonowe liście szeleściły pod nogami, idąc myślałem

o mamie i było mi tak dobrze, jakoś wewnętrznie się rozjaśniłem i czułem, że zaraz się uśmiechnę. Spoza gąszczu chmur ciepłym złotem błysnęło słońce i wszystko dokoła, we mnie też, zapłonęło jak gdyby jasnym złotem, i naraz uświadomiłem sobie, że na zawsze zapamiętam, jak to szedłem do mojej mamy, gdy przyjechała do ciotki, a ja byłem jeszcze studentem; kiedy będę całkiem dorosły, kiedy los rzuci mnie nie wiadomo jeszcze gdzie, będę wspominał ten jesienny ranek i to, jak szedłem klonową aleją, i jak chmurne niebo nieoczekiwanie pobłogosławiło mnie słońcem — i owo wspomnienie będzie tak ciepłe, jak ciepłe jest w tej chwili to wszystko w rzeczywistości.

Bo czymże jest moje życie? Sumą dni, sumą zdarzeń.

Wszystko jest dla mnie ważne, wszystkiemu nadaję znaczenie, nie wiedząc tak naprawdę, co w tej chwili jest najważniejsze, co ma największy wpływ na moje życie i co z mego obecnego życia odegra największą rolę w przyszłości, kiedy na wpół zapomniane wypłynie z przeszłości. Wszystko jest ważne: czego się uczę na studiach, jakie przeżywam uczucia, jak formuję swój światopogląd, kogo podtrzymuję w trudnej chwili i komu odmawiam swojej pomocy; ważne są emocje, jakie wzbudzają we mnie różni ludzie — i dzięki im za te różnorodne emocje, bo muszę ich doświadczyć, muszę nabyć doświadczenia, na którego gruncie doskonalić się będzie mój rozum. Nie ma rzeczy nieważnych — strzęp gazety płynący po rzece wpierw płynie przez moją świadomość; orzeł, którego widziałem w niewoli, jak gdyby sam wszedł do klatki mojej duszy; owa bezsensowna śmierć w Lipowym Rogu, kiedy to pojechałem na rowerze za miasto, też nie była tak całkiem bezsensowna, bo we mnie też wtedy coś obumarło, bo i ja wtedy w tym Lipowym Rogu pogrzebałem jakąś cząstkę samego siebie. Wszystko, co chłoną moje oczy, wszystko, co przenika do mojej

świadomości, staje się mną i już nie mogę odrzucić tego, choćbym nawet chciał. W ogóle nie mam prawa odrzucać niczego na tym świecie. Bo wszystko w nim — to ja sam, dopóki istnieję.

W naszej uczelni otwarto w zeszłym roku galerię obrazów. Galerię z prawdziwego zdarzenia. Są tu dzieła starych mistrzów rosyjskich i ukraińskich, są kopie płócien, których oryginały znajdują się w Ermitażu i Trietiakowce. Są obrazy bardziej i mniej znanych malarzy z innych krajów... To wszystko zwalone było kiedyś w piwnicach naszego instytutu, nikt się tym nie interesował. Nawet nikt nie podejrzewał, jakie skarby tam leżą. Dopiero kiedy przyjechał Czarnota, rozejrzał się w tym wszystkim i przekonał rektora, że takich dzieł nie powstydziłoby się nawet stołeczne muzeum, więc dlaczego mają niszczeć?... Rektorat wyasygnował jakąś tam sumę na konserwację, wydzielił dwie sąsiadujące sale na galerię obrazów i teraz, gdy przyjeżdżają goście z innych uczelni lub z Kijowa, to najsamprzód pokazuje się im tę galerię. Goście oczywiście są zdumieni i zachwyceni.

Od pewnego czasu zaczęły tu przychodzić wycieczki szkolne — dzieci ze szkół miejskich i podmiejskich. Przyjeżdżają nawet z odległych wsi. Klucz od galerii przechowuje kierowniczka zakładu literatury, ale galerią zajmuje się nie ona, lecz Czarnota. To on zawsze oprowadza wycieczki, objaśnia, opowiada.

Wczoraj po wykładach Czarnota poprosił mnie, bym mu towarzyszył w oprowadzaniu jednej z takich wycieczek. Przyjechały dzieci z wiejskiej szkoły, uczniowie szóstej, siódmej klasy. Wszystko ich ciekawiło w naszym instytucie, ale na obrazy patrzyli chyba bez szczególnego zainteresowania. Jeszcze tam jakieś nimfy, najady, rycerze w zbrojach, anioły podobały się

im, ale po portretach szlachciców i szlachcianek, znakomitych mieszczan i po martwych naturach wodzili obojętnym wzrokiem.

Czarnota był wyraźnie niezadowolony. Spoglądał pytająco na nauczycielkę, która przyprowadziła dzieci, ale ona tego chyba nawet nie zrozumiała; jej uwagę przyciągały te same rzeczy, co uwagę jej wychowanków... Po blisko godzinnym pobycie w galerii Czarnota poradził im wreszcie, by odwiedzili jeszcze miejskie muzeum etnograficzne, a do mnie powiedział:

— Drogi przyjacielu, czy nie chciałby pan stać się znawcą sztuki? Na dodatek do wszystkich innych pańskich znakomitych zalet.

— Jakich mianowicie? — spytałem ironicznie.

— Tych, które pan już posiada i które posiądzie pan w przyszłości.

— Chyba na dodatek do tych w przyszłości...

— Pan się dobrze orientuje, co mamy w naszej galerii... Ponadto bez trudu potrafi pan uzupełnić swoje wiadomości przestudiowawszy parę fachowych książek z dziedziny malarstwa, które panu dostarczę... A z czasem zastąpi mnie pan na moim posterunku w galerii, co?

— Czy pan po to mnie tu przyprowadził, żeby mi przedłożyć tę propozycję?

— Widzę, że przypadła ona panu do gustu?

Cóż mogłem odpowiedzieć? Oczywiście nie mogłem odmówić. Skinąłem głową — zgoda!

— To dobrze — ucieszył się Czarnota.

— Ale ja tak mało wiem — wyrwało mi się.

— Najłatwiej jest nie wiedzieć — uspokoił mnie Czarnota. — Dopiero będzie miał pan pretensje do siebie, kiedy będzie pan wiedział bardzo dużo, a zdawać się będzie panu, że wie pan mało.

— Dobrze — kiedyś poskarżę się i na to.

— Niezadowolenie z siebie to piękna rzecz. Ale jest

niedobrze, kiedy niezadowolenie z siebie przeradza się w kompleks niepełnowartościowości.

— Czyżby zauważył pan u mnie symptomy tego kompleksu?

— Nie — uśmiechnął się Czarnota — nie zauważyłem.

Wstąpiliśmy do zakładu literatury i Czarnota oddał klucz asystentce.

— A czy zwrócił pan uwagę... — zaczął wolno Czarnota, gdy znaleźliśmy się znów w korytarzu, gdzie na parkiecie leżały żółte smugi popołudniowego słońca. — Kiedy najzwyklejszy w świecie człowiek o zdrowej psychice przyjaźni się lub często przebywa z człowiekiem nienormalnym, to i jemu udziela się coś z choroby, z odchyleń tamtego. I przeciwnie, gdy człowiek słaby styka się z silnym, to i on pragnie być silnym, próbuje upodobnić się do niego, nie zawsze bez rezultatu.

— Tak? — to było interesujące. A po chwili przyznałem: — Chyba i ja coś takiego zaobserwowałem.

— Naturalnie, musiał pan zaobserwować... To bardzo rozpowszechnione zjawisko. Szkoda, że nie prowadzi się poważnych studiów w tym zakresie, można by dojść do ciekawych uogólnień.

Staliśmy przy oknie. Na boisku sportowym, gdzieś tam za młodymi świerkami, grano w siatkówkę, co chwila rozlegały się głośne okrzyki. Przez dziedziniec instytutu szedł utykając Iwan Illicz, a obok niego — Ada Czornomorczenko w króciutkiej, płomienno-czerwonej sukience.

— Za dwa dni jadę do Leningradu — odezwał się Czarnota — na trzytygodniową delegację naukową. Po powrocie podrzucę panu ciekawy pomysł.

— Wyjeżdża pan? — zdziwiłem się. — To proszę powiedzieć teraz, co to za pomysł.

— No cóż? — spojrzał na mnie z uśmiechem. — Mo-

gę i teraz... Jestem przekonany, że to się panu spodoba, że weźmie się pan do tego. Tu, w tym mieście, działał podczas wojny w konspiracji człowiek niewidomy, prawnik z wykształcenia... Potrafił wiele zrobić... Faszyści rozstrzelali go na parę dni przed przyjściem naszych wojsk... Pozostali jego krewni — matka, siostra. Dobrze byłoby odszukać jego towarzyszy walki, porozmawiać z jego bliskimi i napisać historię jego życia. Prawda?... My już jesteśmy inne pokolenie, ukształtowane w innych warunkach. Ale gdy prześledzimy jego życie, odnowimy w pamięci jego czyny — wtedy sami jak gdyby upodobnimy się do niego, rozumie pan?

Chyba go rozumiałem.

— A książki z dziedziny sztuki — powiedział Czarnota ściskając mi dłoń — przyniosę jutro do instytutu.

Odszedł, a ja zostałem jeszcze przy oknie. I już myślałem o tym człowieku, o którym Czarnota rzucił parę skąpych słów.

Bo możliwe jest spotkanie nawet po kilkudziesięciu latach. Jeśli się tego bardzo pragnie. A ja pragnę spotkać się z nim — człowiekiem, którego nie ma już pośród żyjących, ale który żyje wciąż w ludzkiej pamięci.

Teraz z niecierpliwością będę czekał na powrót Czarnoty z Leningradu.

Nazajutrz mama już wyjeżdża i oboje ze Switlaną odprowadzamy ją na dworzec. Ja niosę walizkę, wyładowaną kaszą, makaronem, pytlową mąką. Mama kupiła nawet pięć bochenków razowego chleba, bo bardzo jej, jak mówi, zasmakował nasz, miejski. Idę i cały czas tylko o tym myślę, że w końcu nic mamie nie kupiłem. Przy bramie stadionu jakaś młoda wiejska kobieta sprzedaje kwiaty, więc zatrzymuję się i kupuję

u niej bukiet białych dorodnych astrów. Podaję mamie, która nie może wyjść ze zdziwienia — po co?!

— To dla ciebie, mamo — mówię.

— Nie masz na co wyrzucać ostatnich kopiejek... — burczy mama.

— Wcale nie ostatnie — odpowiadam. — Mam jeszcze wszystko, coś mi dała.

— Masz... Dużo będziesz miał, jak będziesz tak trwonił! Alboż te kwiaty były mi potrzebne? Tyle ich mam w moim ogródku za darmo, a ty kupujesz! Nie umiesz szanować pieniędzy. Niech już będą dla niej — i mama podaje kwiaty Switlanie.

Switlana bierze bukiet i przyciska do piersi.

— Patrz, jak jej z nimi do twarzy, nie to co mnie — zachwyca się mama.

A ja się cieszę, że Switlana podoba się mamie. Pragnąłbym w tej chwili przygarnąć je obie do siebie, ucałować, bo obie są mi bliskie i drogie.

— Jak ci już mówiłem — zwracam się do Switlany, nawiązując do naszej poprzedniej rozmowy — dla mnie w tej samej mierze ważne są różne emocje, różne uczucia, jakie wzbudzają we mnie różni ludzie.

— Dlaczego? — pyta Switlana trzymając astry tuż przy twarzy i wpatrując się w nie, jakby chciała odszukać oczami samą białą istotę kwiatów.

— Gdyż to wszystko razem składa się na doświadczenie życiowe, które pomocne jest w rozwoju osobowości. Bo musisz przyznać — nie może być mowy o rozwoju, gdy człowiek poznaje wyłącznie emocje pozytywne.

— Owszem — potwierdza Switlana. — Nie podoba mi się jednak, że twoja teoria usprawiedliwia, daje prawo istnienia również i temu, co nie jest najchlubniejszym osiągnięciem człowieka. Bo przecież usprawiedliwia? Wynika z niej, że trzeba poznać zło, aby móc odpowiednio ocenić dobro.

— Ależ nie, Switlano, wiesz przecież, że nie! Dlaczego upraszczasz?

— Wcale nie upraszczam... Tylko że nigdy, w żadnym wypadku, nie wolno usprawiedliwiać podłości, tego, co jest najgorsze w człowieku. Uważam, że trzeba walczyć o człowieka! Ażeby stał się ideałem! O taki ideał — nawet mieczem i krwią! Bo to jest walka w interesie człowieka, jego przyszłości. A ty, Antonie, zająłeś pozycję obserwatora. Ty musisz przeanalizować i dobro, i zło, z jednakową dozą uwagi i sumienności. Jedno i drugie jest ci potrzebne, bo chcesz nabywać doświadczenia... Nie masz twardych przekonań, musisz je sobie dopiero wyrobić.

— A może to są właśnie moje przekonania, może właśnie do takich doszedłem?

Bacznie spojrzała na mnie i przecząco pokręciła głową:

— Nie, ty jeszcze sam siebie nie znasz. Jesteś jak ta gałązka wikliny wczoraj wsadzona w czarną, wiosenną ziemię, co musi jeszcze rosnąć i rosnąć.

— A ty już wyrosłaś? — uśmiechnąłem się.

— Ja? — spytała poważnie Switlana. — Nie, jeszcze nie całkiem, ale przekonania mam twarde. Od dziecka czułam się dorosła, jak gdybym zawsze była dorosła.

— Dajcie spokój, dzieci, po co się kłócicie? — powiedziała mama przysłuchując się przez cały czas naszej rozmowie.

— Ależ my się nie kłócimy — zdziwiła się Switlana.

— No to kochacie się tak, jakbyście się kłócili.

Gwałtowny rumieniec oblał twarz Switlany. Białe astry, które tuliła do twarzy, zdawały się być jeszcze bielsze. Umilkliśmy oboje. Mama pytająco popatrzyła na nas i dodała:

— Musicie sobie ufać, bo bez zaufania nie da się żyć.

— Ależ my sobie ufamy — odpowiedziałem mamie, bo cóż mogłem jej powiedzieć.

— I nie ukrywajcie nic przed sobą!

— Nie ukrywamy — Switlana spojrzała na mamę swymi niebieskimi oczami.

— Kochasz — to kochaj — pouczała mama — ale jak masz coś powiedzieć, to nie noś tego w sobie, tylko powiedz. Żeby zawsze była między wami szczerość. Słyszysz, Antonie? Tak jak między mną i twoim ojcem.

— Dobrze, mamo — odparłem nieomal szeptem. Bałem się nawet spojrzeć na Switlanę. Że też mnie podkusiło wtedy przy obiedzie u ciotki powiedzieć, że mam dziewczynę i że ją kocham. Mama nie orientuje się w subtelnościach naszych uczuć, wszystko wydaje się jej proste. Co jeszcze powie?

Ale mama widocznie czegoś się domyśliła, bo pokręciwszy ze zdziwieniem głową, umilkła.

Słońce już zachodziło. Na dworcu pachniało mocno dymem węglowym i kurzem. Nad starymi topolami niespokojnie krążyła chmara gawronów i na ziemię spadał ciężki jak grad, trwożny ptasi lament. Mama zmrużyła swoje miodowe wyblakłe oczy, wsłuchując się w ten wrzask, i powiedziała:

— Chyba dziś w nocy chwyci przymrozek... A w naszym ogrodzie jeszcze nie wszystka marchew wykopana... Czy tam oni chociaż pomyślą o tym, żeby ją zebrać...

Pociąg miał nadejść lada chwila. Nagle poczułem, jak serce mi się ścisnęło z jakimś tępym, ćmiącym bólem, i zacząłem mówić szybko, jakby w obawie, że nie zdążę wszystkiego powiedzieć; prosiłem, żeby mama pozdrowiła ojca, nakazywałem, żeby brat i siostra dobrze się uczyli, rozpytywałem o sąsiadów, o swoich kolegów. Mama odpowiadała, a we mnie rósł coraz większy lęk, że ona zaraz zniknie, że odjedzie, zabie-

rając z sobą całe moje dawne życie, całe dzieciństwo, całą naszą wieś.

Gdy pociąg nadjechał, mama poderwała się w pośpiechu, a ja pomyślałem, że ona zawsze jest taka zaaferowana, gdy wsiada do samochodu czy tramwaju. Koło swego wagonu objęła i ucałowała nas — najpierw Switlanę, a potem dopiero mnie. Było mi dobrze, a zarazem smutno. Ten smutek ugrzązł gdzieś w gardle i na próżno usiłowałem go przełknąć...

Pociąg wolno ruszył... Szliśmy jeszcze chwilę obok wagonu, dopóki nie odpłynął, potem przewaliły się z łoskotem następne, łoskot wzmagał się, narastał, mignął wreszcie ostatni wagon i po chwili cały pociąg znikł w oddali.

— A więc przeprowadzasz się do ciotki...

Switlana wiedziała już o wszystkim; zdążyłem jej opowiedzieć o porannej wizycie Storożuka wcześniej, gdy spotkaliśmy się na uczelni; wtedy to namówiłem ją, by poszła ze mną odprowadzić moją mamę. Pochwyciłem odcień smutku w głosie Switlany. Szliśmy z dworca najdłuższą drogą — nie chciało mi się jeszcze wracać do akademika. Nad krytymi dachówką domami w odblasku niewidocznego już słońca dopalało się szkarłatne niebo. W powietrzu był już jesienny chłód; miałem uczucie, że policzki i wargi Switlany też pachną chłodem i że jej jasne włosy wydają chłodny zapach.

— U ciotki jest wolny pokój, przyjmie i mnie, i Chrystołobenkę.

— Mówiłeś, że ciotka ma zastrzeżenia, gdy idzie o chłopców.

— Przecież jestem jej krewnym. Kiedyś chciała mnie nawet usynowić.

— Usynowić — z dziwnym sceptycyzmem powtórzy-

ła Switlana. — Cóż, nigdzie mi się nie spieszy, pomogę ci w przeprowadzce.

— Myślisz, że mam dużo rzeczy? Omnia mea mecum porto, jak powiedział pewien filozof.

— Mój ty filozofie — nuta smutku i wyrzutu zabrzmiała w jej głosie; było coś bliskiego, coś maminego w sposobie, w jaki to powiedziała.

Chrystołobenko siedział na ławce przed akademikiem, czekając na mnie. Koło niego stała jego walizka i moja, obok, na oparciu ławki, przewieszony był mój płaszcz i zimowe palto. Na samym wierzchu leżał wianuszek suszonych grzybów przywiezionych przez mamę.

— Wielka wędrówka malutkiego narodu! — zawołał Saszko na nasz widok. — Gdzieście się tak długo wałęsali? Odprowadziliście matkę?

— Tak — odpowiedziałem, czując jak znów smutek zaczyna ćmić w sercu.

— No cóż, usiądźcie na chwilę przed drogą — Saszko przesunął się na brzeg ławki robiąc nam miejsce. Oboje ze Switlaną usiedliśmy. — Coście tacy skwaszeni? — spytał Saszko. — Trzeba mieć zawsze pogodę ducha, bo to zapewnia zdrowie i nadaje smak życiu.

Z okien akademika dobiegały dźwięki muzyki i śmiech. Pytająco spojrzałem na Saszka.

— Wesele — przypomniał mi.

— Czy oni zajęli już wasz pokój? — spytała Switlana.

— Jeszcze zdążą — wzruszył ramionami Saszko. — Mogą to zrobić i o północy.

Widmowo bielały w rękach Switlany astry, które ofiarowała jej mama...

Z akademika wyszli Iwan Illicz i Ada Czornomorczenko. Byli oboje w jesionkach — wybierali się widocznie do parku.

— No co, chłopaki, przeprowadzacie się? — spytał

Iwan, który widocznie już o wszystkim się dowiedział.

— Aha, na Kuryle — wesoło rzucił Saszko Chrystołobenko.

— No to znaczy, że jutro się spotkamy — równie wesoło odparł Iwan.

Ada uśmiechnęła się w ciemności, łagodnie i jakby przepraszająco.

— Może wam pomóc, Switlano? — spytała.

— Pomóżcie. A dlaczego nie jesteście na weselu?

— Jak nasi przyjaciele będą brali ślub, na pewno przyjdziemy — odpowiedziała Ada z wyraźną aluzją w głosie.

W tej chwili na dziedzińcu akademika ukazał się... Bob, odświętnie ubrany, z kwiatami w ręce. Widocznie spieszył na swoje wesele. Nie był sam, lecz z jakimś mężczyzną, którego delikatnie podtrzymywał za łokieć. Gdy przechodzili obok nas, Bob grzecznie skinął głową, Iwan Illicz odpowiedział mu uśmiechem.

— Kto to był z nim? — spytałem Iwana.

— Jak to kto, jego ojciec — odpowiedział.

„A więc to jest na pewno ojczym Boba, bo wcale nie jest podobny do Musija Babenki, którego przecież dobrze pamiętam ze spotkania w parku. Bob zaprosił na wesele ojczyma... Ojczyma... No cóż, chyba tak być powinno. Chyba tak jest lepiej... Niech będzie i tak..."

Ruszyliśmy wolno, Iwan Illicz też pomagał — niósł w ręce wianuszek suszonych grzybów. Towarzyszyła nam głośna, wesoła muzyka: adapter puszczony na cały regulator wstrząsał wieczorne powietrze głębokim tenorem Franka Sinatry: „Gdy dwoje się kocha, jest im dobrze razem. Dwa serca biją w jeden rytm, jest im radośnie i wesoło, świat wydaje im się wspaniały".

— Ado — odezwał się Chrystołobenko — spójrz tylko na mnie. Prawda, że jestem niczego sobie?

— Jak dla kogo — dyplomatycznie odpowiedziała Ada.

— Czyż byłbym takim złym kandydatem na męża? Ale jakoś żadna mnie mnie chce.

— Lekkoduch jesteś i niestały, dlatego cię nie chcą — poważnie powiedziała Ada.

— Nie martw się, Saszko, jeszcze zechcą — pocieszył go Iwan i stuknął laską w trotuar.

Switlana wzięła mnie za rękę, zwolniła kroku i wkrótce zostaliśmy w tyle.

— Antonie — powiedziała — mój ojciec wrócił.

— Wrócił? — powtórzyłem mimo woli, jeszcze nie uświadamiając sobie w pełni, o czym ona mówi.

— Do domu, do matki. Dziś rano. I ona go przyjęła.

— To bardzo dobrze! — zawołałem.

— Antonie — powiedziała z udręką w głosie. — Ale ja... ja... Co mam robić? Nigdy mu nie przebaczę, nie będę mogła patrzeć mu w oczy... To wszystko... wszystko tak nie po ludzku... Nie potrafię... Nie mogę. Nie wrócę do domu, nie potrafię żyć z nim razem.

— Posłuchaj — wyrwało mi się — chodź z nami, u ciotki znajdzie się miejsce... O, ty jej nie znasz! Na pewno cię przyjmie! Pójdziesz, prawda?

Switlana milczała. Wciąż jeszcze trzymała w rękach białe astry od mamy i tuliła do nich twarz.

— No co, pójdziesz? — nalegałem.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Odpowiedz! — i wolną ręką wziąłem ją za ramię, usiłując zmusić, by spojrzała mi w oczy. — Ciotka wynajmuje jeden pokój dziewczętom z naszej uczelni, będziesz mieszkała razem z nimi. No co, pójdziesz?

— Przecież już idę — odpowiedziała prawie szeptem.

I wtedy spiesznie zacząłem ją zapewniać, że wszystko będzie dobrze, wszystko się ułoży, bo nie może być inaczej. W milczeniu kiwała tylko głową, zgadza-

jąc się ze mną. I jakoś wcale mnie to nie zdziwiło, że ona, taka samodzielna i niezależna, nie protestuje i na wszystko się zgadza.

Przed nami szli Saszko, Ada, Iwan Illicz. Od czasu do czasu oglądali się na nas, ale domyślając się widocznie, że w tej chwili rozgrywa się coś ważnego między nami, nie wołali nas do siebie ani sami nie podchodzili do nas. Wciąż coś mówiłem i mówiłem do Switlany, ona słuchała tuląc astry do twarzy, a we mnie coraz głośniej i głośniej rozbrzmiewała pieśń o tym, że dwa serca biją w jeden rytm, jest im radośnie i wesoło i świat wydaje się wspaniały.

tłumaczyła Zofia Głowiakowa

Dziewczęta na wydaniu

Zdawało mu się, że nocna droga, oświetlona migotliwym, żółtawym światłem reflektorów, gdzieś umyka z pola widzenia, widzi natomiast przed sobą tylko mdłe plamy, które drgają, lecz nie przesuwają się do przodu. Spojrzał na zegarek: już za dwadzieścia druga, do domu pozostała prawie godzina jazdy. Trzeba trochę odpocząć.

Stepan Pasiuha zwolnił pedał gazu i skręcił na pobocze. Wysiadł z samochodu, stanął na zakurzonym przydrożnym rdeście i zamarł w bezruchu, bojąc się upaść. Od długiego nieruchomego siedzenia za kierownicą łamało go w krzyżu, nogi ścierpły, przykro odczuwał ich dokuczliwą drętwotę. Zachłannie wciągał w płuca znajomy zapach pola, ciepły, wilgotny i intensywny. Pachniało żytem i piołunem. Odmawiającymi posłuszeństwa nogami przeszedł przez rów i dotknął wilgotnych chłodnych kłosów. Zerwał jeden, przeciągnął drażniącymi wąsami po wargach, po policzku... W głębinach nieba drgały jasne gwiazdy, nad ziemią stała wielka cisza.

Stepan wszedł kilka kroków w żyto, potem zatrzymał się, jakby się namyślał, czy nie iść dalej w to letnie chłodne pole. Po chwili wrócił do samochodu, świecącego w ciemnościach łagodnymi, przyjaznymi światłami. Poczuł w piersi przypływ jakiejś serdecznej czułości: lubił jednak swoją olbrzymią „Kolchidę", ten dom na kołach, który zdążył już stać się cząstką jego samego...

Gdy znów ruszył w drogę, czuł się odświeżony i pewny, mimo to robił sobie nadal wyrzuty z powodu tego jednego kufla piwa, wypitego na dworcu w Chmielnickim. Co prawda spotkał nie widzianego dawno kolegę, ale nigdy dotąd jeszcze nie naruszył obowiązującej w czasie jazdy bezwzględnej abstynencji. Kolega, pochodzący z tej samej wsi, jak się okazało, miał już żonę i dwoje dzieci i był kierownikiem sklepu

warzywnego w Chmielnickim. Przekonał go, że jest już późno, nie musi się obawiać milicji drogowej, nikt go nie będzie sprawdzał, dlaczego by więc nie wypić chociaż po kuflu piwa? I nie dla samej wypitki przecież, ale ze względu na ich dawną przyjaźń, urodzili się przecież i wychowali w jednej wsi, nie wiadomo, kiedy los znów zetknie ich ze sobą...

Stepan poczuł nagle w ustach smak piwa. Jak dobrze byłoby teraz siedzieć u przyjaciela w mieszkaniu przy zakrapianej wieczerzy i wspominać przy kielichu wspólnych znajomych, porozrzucanych gdzieś po świecie. Wzięła go litość nad sobą, bo tylko on jeden spośród dawnych kolegów pozostał we wsi, jest kierowcą w kołchozie, rozwozi w różne miejsca truskawki, ogórki, jabłka, pomidory...

Powieki zaczęły mu się kleić, więc postanowił wziąć się w karby i śledzić uważnie drogę. Do domu pozostało już nie więcej niż pięćdziesiąt kilometrów. Co prawda, gdyby za wsią, noszącą dziwaczną nazwę Gwar-Cebula, skręcić w lewo i jechać do swej wsi nie asfaltową szosą, lecz polnymi drogami, byłoby o połowę krócej. Może jednak spróbować?

Gwar-Cebula wyłoniła się zza wzniesienia uśpiona i ciemna. Kiedy światła szosowe wyłowiły z nocy jakąś chatę na skraju wsi, Stepan skręcił zdecydowanie z szosy w lewo na drogę gruntową. Ciężki samochód zakołysał się na wybojach. Tym lepiej, te wyboje nie pozwolą mu zasnąć. Droga była kręta, z ciemności wyłaniały się na chwilę w świetle reflektorów to jakiś pagórek, to studnia, to tylna ściana stajni, to znów zabielała strzecha chaty. „Gwar-Cebula... — mamrotał Stepan. — Ale też nazwy wynajdują dla wsi! Kto to coś takiego wymyśla? A dlaczego nie Gwar-Arbuz albo Gwar-Pietruszka? A można by też było na przykład Szept-Konopie albo Banialuki-Buraki... Dobre, co? Banialuki-Buraki albo Gaduła-Hreczka!..."

Na jakąś chwilę oczy znów mu się skleiły, a potem dostrzegł szarego, wielkiego jak cielę psa, który nagle wyskoczył na drogę. Stepan momentalnie skręcił w prawo. Samochód wjechał na krzak bzu („No i dobrze, że to bez" — przemknęło mu przez myśl), za którym wyłoniły się z ciemności róże na wysokich pędach i jakaś ściana niemal sama werżnęła się w ciężarówkę. Stepan, klnąc cały świat — i psa, który wyskoczył na drogę, a jemu zachciało się go ratować, i swój pomysł jazdy krótszą drogą, i ścianę, co sama zwaliła się na maszynę — szybko skręcił w lewo, widząc i słysząc, jak wali się ściana, podważona i zaczepiona przez wysokie nadwozie. Znów był na szosie. Dodał gazu, by jak najszybciej stąd uciec, bo mógłby brzydko wpaść, gdyby go ktoś teraz zobaczył. Ale co to było: chata czy stajnia? Dobrze byłoby, gdyby stajnia... Ale jeśli wjechawszy na oślep w bez, w te przeklęte róże, rozwalił czyjąś chałupę, a może nawet kogoś zabił?... Nie miał odwagi przemyśleć tego do końca, więc tylko klął tę cholerną Gwar-Cebulę czy Gwar-Pietruszkę... Banialuki-Buraki... Gadułę-Hreczkę!...

Zatrzymał samochód, dopiero kiedy znalazł się już daleko za wsią. Otworzył drzwi kabiny, spojrzał na Gwar-Cebulę i, rzecz jasna, nic nie zobaczył. Wyłączył silnik i zaczął nasłuchiwać. Cisza.

I nagle z ciemności wyłonił się olbrzymi pies. Na pewno dopadłby go, ale Stepan zdążył zatrzasnąć drzwiczki. To chyba ten sam pies, którego omal nie przejechał, ten sam, przez którego skręcił w bok i oderwał kawałek czyjejś chaty. Po co on biegnie za nim, czego chce? A może by mu tak korbą między oczy, skoro sam się pcha do śmierci? Nie, lepiej z nim nie zaczynać...

Szybko jechał do domu, myśląc ciągle tylko o tym, co się stało. Przed oczyma miał bez przerwy psa duże-

go jak cielę, krzak bzu, zza którego wyskoczyły czarne róże, waląca się ścianę.

Kyłyna wróciła do domu jak zwykle późno, zmęczona i zła. I ledwo tylko przyłożyła policzek do poduszki, z miejsca zasnęła. Śniło się jej, że leci gdzieś samolotem razem z Arsenem Tuhajem. Ale oto już ziemia — jak szybko! Lądują wśród bezkresnych pól rumianku. Wychodzą z samolotu i trzymając się za ręce idą tym rumiankowym polem. Z nieba spływają na nich łagodne, jakby mleczne promienie słońca, powietrze jest kojąco wilgotne. Kyłyna nigdy jeszcze nie była taka szczęśliwa, jak w tym śnie, jak na tym wyśnionym polu; szłaby tak bez końca wśród tych rumianków i tej jedwabistej trawy, byleby tylko stąpał obok niej Arsen, jej Tuhajczyk, jej Tuhaj-bej, jak niekiedy sam siebie nazywał... A potem zawarczał nagle samolot, niszcząc jej sen. Była już prawie rozbudzona, jednak tak jej było żal rozstawać się ze słodkim marzeniem sennym, że zmusiła się do spania, by jak najdłużej przeżywać swoje szczęście... I znów była razem z Tuhaj-bejem, tylko szli teraz pośród drzemiącej kukurydzy, a przed nimi widniały ruiny jakiejś świątyni czy też starożytnego labiryntu, przez który mieli przejść, musieli koniecznie przejść. Może sama bałaby się zbliżyć do tych złowieszczych ruin, ale obok niej był przecież Arsen, jej Tuhaj-bej... Weszli pod niskie sklepienie i nagle z wilgotnego półmroku wyleciał nietoperz. Kyłyna zasłoniła się przed nim rękami. Nietoperz ostrymi jak igła zębami wpił się w opuszkę jej palca. Ujrzała nad sobą stary, nędzny sufit, tak stary i nędzny, jak cała ta chałupa; a że świeciło jej wprost w oczy niskie poranne słońce, więc pomyślała, że śpi dalej i to słońce też jej się śni. Było wielkie i różowe, Kyłyna czuła na twarzy jego chłodne jeszcze o poranku promienie. Tamto, obce, ze snu,

było miękkie i ciepłe, to zaś kłujące, szorstkie — widocznie śnił się jej już zupełnie inny sen.

Po podłodze przeszła pstrokata kura, zatrzymała się przy ławce i zagdakała.

Wówczas Kyłyna, czując zimne dreszcze, powoli wstała z łóżka i stanęła bosymi stopami na glinianej podłodze, płosząc pstrokatkę, która wnet znalazła się wśród innych kur na podwórzu... Tak jakby te kury nie śniły się jej, jakby jej własne... I obejście nie czyjeś tam, lecz jej własne, i ogród się zieleni, o, jak mak pięknie wystrzelił, aż się roi od makówek, które cieszą oczy. Ale dlaczego nie ma bocznej ściany? Tak jakby leżała na dworze... Oto drzwi, przez które się wchodzi i wychodzi. Ale dlaczego ściana leży? Wszystko to wygląda na sen, lecz nie jest to już sen...

Odsunęła zasuwę u drzwi, wyszła na podwórze. Obeszła ostrożnie powaloną ścianę: widać wszystko, co jest w chałupie — piec, łóżko, stół. Koło ławki leży miotła, tam gdzie ją zostawiła wczoraj w południe. Nad stołem w dużej ramce wiszą rodzinne fotografie — jest tam i jej zdjęcie, w długiej, białej sukience i z wiankiem polnych kwiatów na głowie.

Wszystko jak na jawie, jakby się jednak nie śniło.

Dostrzegła stłoczone róże, połamany bez, ślady samochodu — ale ciągle jeszcze nie mogła pojąć, co właściwie się stało. Poszła po tych śladach, zaprowadziły ją do asfaltowej szosy, którą mknęły samochody. I nagle wszystko stało się jasne: pewnie w nocy jakiś pijany kierowca przejechał przez podwórze, zaczepił nadwoziem o róg chaty i rozwalił zmurszałą ścianę, która i tak za rok lub dwa rozpadłaby się ze starości.

— No i tak — wyszeptała Kyłyna, czując, że blednie.

Obejrzała się. Nikogo w pobliżu nie było. Weszła przez drzwi do chaty. Mogła oczywiście wejść przez ścianę, ale nie potrafiłaby na nią stąpnąć. W ścianie tej

sterczały dwa gwoździe, na których wisiał wyszywany ręcznik; teraz leżał skręcony i pomięty. Było jeszcze w tej ścianie krzywe okienko; przez wybite szyby wciskał się przybrudzony gliną rdest i złamana łodyga lebiody.

Teraz chałupa patrzyła wybitym oknem nie na jasny świat, lecz w czarną ziemię.

Kyłyna bezradnie osunęła się na ławę i zapatrzyła przed siebie. Słońce odbiło się już od horyzontu, zmalało nieco. Zdawało się, że świeci tylko dla niej, zapełniając swymi promieniami jej chałupę. I pole przyszło do niej wszystkimi swoimi zapachami. I ta wiśnia, co rośnie koło wrót, też jakby zbliżyła się do Kyłyny i miała ochotę wejść zaraz do wnętrza.

Przybiegł pies, olbrzymi, wielkości cielęcia, zwany Wilkiem. O szerokiej piersi, na wysokich silnych łapach, z białym znamieniem na wielkim łbie. Stał na podwórzu i z nie ukrywaną radością patrzył na Kyłynę.

— A ty gdzie się dotąd włóczyłeś? — spytała zdziwiona, że dostrzegła go mimo zamkniętych drzwi. — Chodź no tu, pogadamy...

I klapnęła się kilka razy po kolanie, zachęcając tym Wilka. Pies pokręcił ogonem i omijając powaloną ścianę podbiegł do zamkniętych drzwi, wsparł się o nie i zaczął drapać i cicho skomleć. Ale Kyłyna nie wstała i nie otworzyła mu. Wówczas Wilk odstąpił od drzwi, stanął na powaloną ścianę i tak stał, nie śmiąc przez nią przejść. Kyłyna znów poklepała zachęcająco kolano. Wilk doczołgał się do ściany i zaczął błagalnie uderzać ogonem o ziemię.

— No chodźże tu! — rozkazującym tonem zawołała Kyłyna.

Pies usłuchał i czołgał się po ścianie, koło samego ręcznika. Stulone uszy lekko drgały. Doczołgał się do Kyłyny, ale nie wstawał z podłogi.

— Gdzieś ty był? — spytała ze złością. — A kto

będzie chałupy za ciebie pilnował, co? Gdzie teraz się schronię? Może przeniosę się do twojej budy, co?

Wilk przywarł długim pyskiem do podłogi i zerkał na swoją panią to jednym, to drugim okiem.

— No co tak łypiesz tymi ślepiami? Pewnieś coś przeskrobał? No, przyznaj się.

Ale Wilk nie mógł się przyznać, chociaż, być może, nawet chciał. W jego oczach była żałość, poczucie winy i gorycz.

— A jak to się gapi, jak się gapi! Aż serce się kraje! No, idź już, nie gap się tak żałośnie, bo i tak jest mi gorzko.

Pies wstał i podszedł do drzwi.

— Marsz przez ścianę!

Wilk przeskoczył ostrożnie przez ścianę i dał szybko nura do budy.

W domu rodzinnym Kyłyna była jedynym dzieckiem. Zjawiła się na świecie dość późno. A że rodzice długo na nią czekali, więc kochali ją bezgranicznie. Odumarli ją wcześnie, nie nacieszywszy się nią i nie napieściwszy. Dziewczyna już jako zupełna sierota ukończyła dziesięciolatkę. To sieroctwo spadło na nią jak grom z jasnego nieba. Pozostała sama w starej glinianej chałupie, sama na świecie.

Radzili jej wyjść za mąż. Ale jak tu znaleźć męża, kiedy jest się wprawdzie dobrze zbudowaną i podobno niebrzydką, nie tak jednak urodziwą, żeby mężczyźni mieli tracić dla niej głowę. Piegi, ufne i szczere spojrzenie zielonych oczu, twardy charakter, zdecydowany męski chód, donośny, głęboki głos... Nie skora do uległości i ustępstw...

A że żyć samej było ciężko, postanowiła postarać się o psa, żeby chociaż jedna żywa istota była na gospodarstwie i chociaż psi głos się rozlegał w jej samo-

tni. Ale długo jakoś jej się nie szczęściło. Ciągle trafiały się jej tylko psy słabe, nie lubiące szczekać, łagodne, takie, co ich nawet kijem nie rozrusza. Żaden nie zagrzał u niej dłużej miejsca. Wciąż wychodziła na drogę, zatrzymywała każdą przejeżdżającą ciężarówkę i prosiła, by kierowca wywiózł jej psa jak najdalej. Żaden z nich nie odmawiał i chyba wywozili je istotnie bardzo daleko, bo ani jeden pies więcej do niej nie wrócił.

Wilk trafił do niej przed kilku laty. Przez wieś jechała jakaś duża jednostka wojskowa, mieli ze sobą psy. Żołnierze zatrzymali się przy szkole, właśnie kiedy rozpoczęła się przerwa w lekcjach, więc dzieciarnia obstąpiła ich, by przyjrzeć się psom. Były to psy rasowe, duże, silne. Kyłyna, która tamtędy przechodziła, też się zatrzymała. W szkole rozległ się dzwonek, dzieci wróciły na lekcje, a Kyłyna została. Żołnierze zaczęli do niej mrugać i uśmiechać się. Odpowiedziała im uśmiechem.

— Może pojedziesz z nami? — żartowali żołnierze.

— Chętnie.

— No to wsiadaj do samochodu.

— Zabierzecie, a potem wysadzicie gdzieś po drodze.

— Słuchaj — powiedział nagle rudobrewy sierżant o wystających kościach policzkowych, który dotąd milczał, a teraz zdecydował się również pożartować z niej. — Wiesz, podobasz mi się. Jak odsłużę wojsko, to przyjadę do tej waszej Gwar-Cebuli w swaty.

— Przyjeżdżaj.

— Wiesz, zostawię ci psa, żeby mi ciebie ktoś nie ukradł do mojego przyjazdu — i wskazał na Wilka.

— Nie obawiaj się, i bez twego psa i tak nikt mnie nie ukradnie — zaśmiała się Kyłyna.

— A ty się nie zarzekaj, wszystko może się zdarzyć.

Żołnierze wybuchnęli śmiechem.

— Nazywa się Wilk — mówił dalej sierżant, gdy przebrzmiał śmiech. — Zachorował w drodze, musisz go wykurować. Oddać? — zwrócił się do lejtnanta. — Niech pilnuje mojej narzeczonej... Może u niej jakoś się wyliże, bo u nas i tak zdechnie.

Młodziutki porucznik o dziewczęcej twarzy, nie spojrzawszy na dziewczynę, machnął z przyzwoleniem ręką.

Kyłyna wzięła smycz i Wilk poszedł za nią spokojnie, jakby przez całe życie tak chodził, przywiązała go do kołka przy budzie i pies od razu położył się na bok, odrzuciwszy nogi; w jego nieruchomych oczach zastygło cierpienie.

„No i masz — pomyślała Kyłyna. — Przyprowadziłam go tu po to, żeby zdechł nie w wojskowym samochodzie, ale na moim podwórzu." I zrobiło się jej niesłychanie żal i tego nieszczęsnego psa, któremu nie sądzono już chyba dożyć do rana, i samej siebie... Dawała mu jeść, jednak Wilk niczego nawet nie tknął i Kyłyna upewniła się ostatecznie, że pies wyciągnie nogi, nie wyżyje.

Nie wyciągnął jednak, wyżył. Przeleżawszy tak z wyschniętym językiem i szklistymi oczami, po kilku dniach Wilk zaczął pić wodę z glinianej miski, popróbował językiem jakiegoś jedzenia i wreszcie wstał. Kyłyna ledwie go poznała: bardzo schudł i wydawał się teraz o wiele wyższy na swoich wysokich łapach, strasząc żebrami pod obwisłą skórą.

Z Wilkiem czuła się teraz jakoś lepiej i pewniej. Polubiła go od razu, jakby był z nią zawsze. Teraz już nie była w domu sama. Nawet nie zamykała chaty, gdy wychodziła. W nocy Wilk prawie nie szczekał, ale gdy się już odezwał, to wiedziała: ktoś albo wszedł na podwórze, albo skraca sobie drogę przez jej ogród. I wszyscy we wsi, widząc tego olbrzymiego milczącego psa, byli przekonani, że nie pozwoli on skrzywdzić

swej gospodyni. Kyłynę i dotychczas odwiedzano bardzo rzadko, teraz pokazywano się jeszcze rzadziej.

Niekiedy mawiała do psa:

— No i co? Kazał ci sierżant mnie pilnować? Kazał. Ale jak długo jeszcze?... Czas już, żeby się zjawił. Gdzieś się zawieruszył w tej swojej służbie.

Wilk kręcił ogonem tak, jakby on sam w czymś tu zawinił.

— No nic, nie przejmuj się — uspokajała go Kyłyna. — Jeśli obiecał, to pewnie przyjedzie...

W rozumnych oczach Wilka zaświeciła radość.

Kyłyna siedziała w chacie z rękami na kolanach, ze spojrzeniem utkwionym w dal. Nic jej się nie chciało: ani myśleć o tym, co się stało, ani wstać i iść do pracy.

Dostrzegła zbliżającego się Tadeja Batiutę. Krępy i niezgrabny jak pień, o dużej głowie, chodził ze wzrokiem wbitym w ziemię od czasu, gdy znalazł na drodze dwadzieścia pięć rubli. Wszedł na podwórze, podchodził już do drzwi i nagle coś go zatrzymało. Podniósł oczy, popatrzył na rozwaloną ścianę, a potem na Kyłynę.

Początkowo nie mógł nic zrozumieć, tylko patrzył w napięciu, a na jego smagłej twarzy pojawił się strach.

— To ty, Kyłyno?

— Nie, nie ja — odpowiedziała bez uśmiechu.

Tadej na chwilę zamilkł i zamyślił się nad jej odpowiedzią.

— No, jeśli to nie ty, to pójdę sobie dalej.

Nie miał jednak siły ruszyć się z miejsca, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

— To przecież ty, Kyłyno — dodał po chwili, nie odrywając od niej nieruchomego spojrzenia. — Dlaczego sobie żarty ze mnie stroisz?

— A jeśli to ja, to co? — spytała z tym samym pochmurnym wyrazem twarzy.

— No widzisz — rzekł już raźniej Batiuta, zerkając ukradkiem na powaloną ścianę i nadal niczego nie pojmując. — Kupujesz zawsze u mnie świeżą rybę. Dziś też nałowiłem. Weźmiesz?

— Kradziona?

— Dlaczego ma być kradziona — wykrztusił ze złością, a słowa jego zabzykały jak spłoszone trzmiele. — Sam nałowiłem, tak jak zawsze.

— W kołchozowym stawie?... Idź gdzie indziej ze swoją rybą, nie potrzebuję.

— Ale dlaczego? Zawsze dotąd brałaś, smażyłaś i sprzedawałaś w tym swoim bufecie, to ci ładna kopiejka wpadała. A teraz już nie trzeba?

— Kiedyś brałam, a teraz nie chcę!

— No, jak cię coś ugryzło, to nic tu po mnie — odburknął Batiuta i już wychodził, gdy nagle jakby potknął się o powaloną ścianę. — Dalczego ta ściana się zawaliła? Może nie wytrzymała twego charakteru?

— Zdaje się, że korci cię porozmawiać nie tyle ze mną, co z Wilkiem.

Wilk na dźwięk swego imienia wystawił z budy spiczasty pysk.

— O, z wami to się już człowiek nagada... Tyle z tobą, co i z twoim psem — zamruczał pod nosem i przełożywszy śliską torbę z rybą z jednej ręki do drugiej, szybko odszedł.

W jakiś czas potem przyszła sąsiadka Pystyna Majorczuk. Batiuta przypuszczalnie spotkał ją po drodze, a być może, wstąpił do niej, by podzielić się nowiną. Miała najpierw zamiar niby to przypadkowo zerknąć na chatę Kyłyny, nie wytrzymała jednak i stanęła przed zwaloną ścianą.

— Po co przybiegliście, kumo? — spytała nieprzy-

jaźnie Kyłyna. — Chcecie się napatrzyć na cudze nieszczęście?

— A z tobą co się stało?! — zaterkotała Pystyna. — Cóż to ja jakiś potwór czy co, żeby cieszyć się z cudzego nieszczęścia? Co tu się stało, mów! Sama się zawaliła czy może...

— Sama się nie zawaliła. Pewnie ktoś w nocy zaczepił samochodem.

— A ty gdzie byłaś?

— A gdzie miałam być? W chacie. Spałam.

— I zobaczyłaś, kto to?

— Przecież mówię, że spałam, więc jak mogłam widzieć?

— To ci dopiero sen! — Pystyna zaczęła wymachiwać rękami, zabielonymi mąką, bo właśnie miesiła ciasto na pierogi. — Przecież ten pirat drogowy mógł ciebie zabić, jakby zaczepił chatę z drugiej strony.

— Dlaczego nie, mógł — odparła obojętnie Kyłyna.

— I kto za to wszystko będzie odpowiadał?

— Bo ja wiem? Ktoś tam odpowie.

— Jak odpowie, kiedy go nie widziałaś i nikt go nie widział?

— Pomieszkam tak, jak jest, może się namyśli, przyjdzie tu i sam się przyzna.

Pystyna zaśmiała się chichotliwie.

— Czy są teraz tacy głupcy? Uciekł i cieszy się, że nikt go nie przyłapał na gorącym uczynku, a ty chcesz czekać, aż przyjdzie do ciebie w gości?

— To nie mógł być ktoś z daleka, bo obcy nie jechałby tą drogą. To ktoś ze swoich, z miejscowych. A każdy z nich codziennie bywa w moim bufecie. Jak będzie mógł mi spojrzeć w oczy?

— Spojrzy, bądź spokojna. Co mu tam.

— Nie wierzę — powiedziała w zamyśleniu Kyłyna.

— Też coś! A zawiadomiłaś chociaż radę gminną? Idź i zgłoś, niech zadzwonią do powiatu na milicję.

Czemu siedzisz z założonymi rękami?

— Tu milicja nic nie pomoże. Jeśli sam nie przyjdzie...

— No wiesz, Kyłyno, z tobą zupełnie nie można po ludzku porozmawiać — było widoczne, że sąsiadkę zaczyna to gniewać. — Dlaczego siedzisz tu jak w kinie? Twoja chałupa, to teraz jak ekran: wszyscy mogą ją oglądać ze wszystkich stron, i ciebie też. Przynajmniej byś płachtami pozasłaniała.

— Po co mam zasłaniać? Niech ludzie patrzą, jak żyję i co mam u siebie.

— Jak chcesz... Masz zresztą takiego psa, że lepiej się do ciebie nie zbliżać.

— Nie chowam się za psa, dam sobie radę i bez niego... Ale nie wierzę, żeby człowiek mógł wyrządzić szkodę drugiemu człowiekowi, a potem uciec i nie przyznać się.

— Czekaj tatka latka...

— I będę czekać! No bo powiedzcie: czy to ktoś zrobił umyślnie? Przecież nie umyślnie. Ale jeśli tak, to może to był jakiś człowiek dobry, a nie zły, prawda? No a dobry człowiek nie będzie się przecież ukrywać.

Chociaż dopiero dziesiąta, bufet przy fabrycznej stołówce pełny, bo przywieźli beczkowe piwo. Każdy bierze po kilka kufli i stawia na niebieskich plastykowych stołach, by posiedzieć przy nich kilka godzin. Ci, dla których zabrakło kufli, czekają cierpliwie, ponaglając żartami szczęśliwców, którym wcale niespieszno.

Stały bywalec bufetu Tadej Batiuta spóźnił się dziś, musi więc czekać na wolny kufel. Nudzi się, przestępuje z nogi na nogę, zerka zazdrośnie na tłoczących się przy stolikach kumpli.

— Kyłyno — odzywa się wreszcie — może masz tam jakieś naczynie?

— Oto moje naczynie! — krzyknęła ze złością bufetowa, składając razem dłonie.

— Taką bańkę to ja też mam — odparł pojednawczo Batiuta, niezadowolony z nawiązania rozmowy.

— To podstawiaj, naleję!

Batiuta uprosił jednak u kogoś kufel i Kyłyna cedzi mu piwo. Batiuta śledzi, jak zielonkawe, gorzkawe piwo leje się z pipy, jak się pieni, jak piana osiada, i niecierpliwie oblizuje zaschnięte wargi.

— Gdyby tak jeszcze do tego rybka... — mówi cichym, konfidencjonalnym głosem. — Ta, którejś u mnie nie kupiła i nie usmażyła...

— Sam łowisz, więc sam smaż! — ucięła jak nożem Kyłyna.

— Więc czym można u ciebie zakąsić?

— A to ma się zmarnować? — wskazała na świeżo zamrożoną morską rybę.

Batiuta skrzywił się, chociaż piwo było świeże i zimne.

— Póki miała chałupę całą, to była człowiekiem, a teraz rzuca się na wszystkich.

— Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

— A czy to ja? Dlaczego się mnie czepiasz?

— To chyba któryś z nich — Kyłyna ruchem głowy wskazała na siedzących w bufecie mężczyzn.

Wszyscy tu już wiedzieli, że ktoś w nocy samochodem zrujnował Kyłynie pół chałupy. Dotąd nikt bufetowej nie zaczepiał, bo znali jej ostry język. Teraz popijali leniwie piwo przysłuchując się jej rozmowie z Batiutą.

— Przedtem, Kyłyno, trzeba było chłopcom otwierać, a teraz będą włazić do ciebie bez zaproszenia — zażartował ktoś.

Kyłyna ściągnęła brwi. Przez śmiech i gwar przebił się jej ostry głos:

— Po coście tu przyszli? Piwo pić czy języki ostrzyć?

— Albo co? Może nie dasz nam piwa?

— Mogę nie dać — odparła takim tonem, że wiadomo było, iż nie żartuje, więc się uspokoili.

Tylko Batiuta nie dawał za wygraną.

— Dlaczego zwalasz na nas cudzą winę? Czy wśród nas znalazłby się taki? Ręka by mu uschła, nie doniósłby piwa do pyska!

— Jakoś nie usycha nikomu.

W bufecie zaległa cisza, bo Kyłyna mówiła tak, jakby miała kogoś na myśli. Bo co tu dużo gadać, jednak tę ścianę ktoś zwalił, pędząc na oślep w nocy obok jej chaty.

— To może i mnie też podejrzewasz? — spytał Batiuta.

— A dlaczego nie? Jesteś do wszystkiego zdolny — odpowiedziała ze złością.

Batiuta roześmiał się jakoś nienaturalnie.

— Spytajcie mojej dziewczyny, gdzie spędziłem tę noc! — rzucił przekonujący dla jego alibi argument.

— A do której teraz chodzisz? — wzięli go na spytki.

— Jak będzie potrzebny świadek, to się dowiecie — ochłonął już zupełnie zapalczywy i pyskaty Batiuta.

— Przecież musi się ktoś przyznać — ciągnęła dalej Kyłyna, cedząc do kufli piwo i nakładając na talerzyki smażoną rybę. — Nawet bym się nie gniewała, przebaczyłabym...

— Za wiele żądasz! — doleciał od stolików wesoły głos.

— Jak to za wiele? — nie zrozumiała bufetowa.

Stała za kontuarem wysoka, pochmurna, w białym fartuchu, który nadawał jej szczególnie surowy wygląd. Taka to nigdy nie zrozumie argumentów innych

ludzi, ich zaprzeczeń i nawet nie można z nią pożartować.

— Kto się sam przyzna? Musiałby przecież zrobić donos sam na siebie. Takich głupich to teraz, Kyłyno, nie ma.

Batiuta mrugnął porozumiewawczo do piwoszy i kpiąco się uśmiechnął.

— Posłuchajcie tylko! — Kyłyna z przejęcia rozłożyła ręce. — Przecież nie chcę go ani zabić, ani męczyć. Przebaczę mu. Mówię to wobec wszystkich, że przebaczę. Przecież wyszłam z tego bez szwanku, nic mi się nie stało. A ścianę to można nową ulepić, żadne nieszczęście. Tylko niech się przyzna, jedynie o to mi chodzi.

Stała przed nimi nie tyle upokorzona, co obrażona i jakby zdziwiona, bo ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć, że nikt się nie przyzna. Chciała wierzyć, wbrew wszystkiemu, że winowajca zgłosi się jeśli nie dziś, to jutro.

— Pożyjemy, zobaczymy — powiedział Tadej Batiuta. — Ano nacedź jeszcze kufelek, bo ledwie gardło przepłukałem.

— Beczka już pusta, trzeba drugą postawić.

Od razu znalazło się wielu chętnych do przytoczenia pełnej beczki i przystawienia pipy. Batiuta nie kwapił się, bo i tak był pierwszy w kolejce.

W momencie gdy piwo wytrysło z beczki silnym strumieniem, wzbijając w podstawionych kuflach wysoką, musującą pianę, do bufetu wszedł Arsen Tuhaj, kołchozowy agronom. Wszedł pewnym krokiem jak do własnego domu, władczym spojrzeniem objął stoliki, do kogoś mrugnął na powitanie, komuś pomachał ręką i ignorując kilkuosobową kolejkę podszedł do Kyłyny; przywitał ją rozbłyskiem czarnych oczu i dobrym uśmiechem.

— Dziękuję — powiedział, biorąc z jej rąk kufel z piwem, nalany dla kogo innego.

Nikt jednak nie zaprotestował, patrzyli z przyjemnością, jak pięknie i chciwie pije spragniony człowiek.

Kyłyna czuła, jak na widok Tuhaja jej odrętwiałe serce mięknie i wypuszcza zielone pędy radości. Tuhaj wypił piwo jednym duszkiem, jeszcze raz podstawił kufel i nie czekając, aż piwo się ustoi i wyszumi, przypadł pożądliwymi wargami do „kołnierza"; na smagłym czole pojawiły się ziarniste krople potu. Potem odstawił kufel, odsapnął ciężko i spojrzał na Kyłynę tak, jakby dopiero teraz ją zauważył, wchłaniając ją całą tym spojrzeniem.

— Czy to prawda? — spytał, a głos jego zabrzmiał dla Kyłyny tak bardzo oczekiwaną dobrocią i przychylnością.

— Prawda — odpowiedziała z jakimś spokojnym poczuciem bezpieczeństwa i wdzięczności dla niego, czując dławiące ją łzy.

— Co za ludzie! — rzekł z wyrzutem i pokręcił głową. — Za coś takiego pod sąd!

— Żeby oddać pod sąd, trzeba najpierw złapać na gorącym uczynku — odezwał się Batiuta.

Agronom zerknął na niego z niechęcią i chrząknął, jakby chciał powiedzieć: „Gdyby ciebie chcieli złapać na gorącym uczynku, to już dawno by złapali, ale ty i tak wcześniej czy później wpadniesz".

— To wygląda na zamach! — zwrócił się do siedzących w bufecie. — Zamach na życie!

Kyłyna poczuła po tych słowach litość dla siebie, jakby rzeczywiście zbrodniczo i z premedytacją dybano na jej życie.

— Przecież nic się jej nie stało! — zauważył Batiuta. — Nie ma o czym mówić. Chyba tylko o tym, że szkoda ściany...

— Nie stało się, ale mogło się stać — zaoponował Tuhaj.

Słowa same spływały z jego warg, mówił bez wysiłku, prosto, jakby zupełnie nie wkładał serca w to, co mówi. — Tego nie wolno puścić płazem.

— No to jak, każdego podejrzewać? — krzyknął Batiuta.

— Może nie każdego, ale tego, co winien — odparł Tuhaj niemal wesoło, uśmiechając się.

I wyszedł z bufetu tak samo szybko, jak wszedł. Kyłyna przez chwilę patrzyła nieruchomo na drzwi, za którymi znikła jego postać...

Po powrocie do domu nakarmiła Wilka, dla którego przynosiła z bufetu resztki nie dojedzonej kiełbasy i kości. Pies, chociaż był głodny, jadł powoli, raz po raz zerkając na Kyłynę, która dostrzegła w jego rozumnych oczach troskę i współczucie. Weszła do mieszkania przez drzwi, chociaż mogła przejść wygodniej przez zwaloną ścianę, jednak nie odważyłaby się na to.

Pracując w bufecie bardzo rzadko gotowała sobie w domu jedzenie, chyba tylko w dni wolne od pracy; teraz zaś nie zniosłaby nawet takiej myśli, by rozpalić w piecu. Już noc, więc ogień byłoby widać na końcu świata. Obejdzie się kawałkiem chleba i surowymi jajami.

Znowu przez sień wyszła na podwórze, wyrwała w ogrodzie kilka cebul, potem w ciemnym kurniku namacała gniazdo, gdzie niosły się kury, płosząc jedną z nich, która właśnie ułożyła się do snu, i włożyła za pazuchę cztery jaja. Odczuwała przyjemnie ich ciepło, było jej dobrze i zacisznie. I nagle odczuła, jak trudno jej będzie wejść do mieszkania, nic by tam teraz nie mogła przełknąć. Poza tym trzeba by zapalić światło, a na dworze można się bez niego obejść.

Rozścieliła na podwórzu płachtę, zastawiła na niej skromną kolację, ale tutaj apetyt też nie przychodził. W górze kwitły gwiazdy, nocne powietrze odurzało zapachem skoszonej trawy. Od fabrycznego klubu płynęły gęste fale muzyki tanecznej, a gdy natężyło się słuch, można było wyłowić z niej śmiech.

Podszedł Wilk, owionął ją chłodnym oddechem, potem przysiadł w pobliżu na trawie, wysuwając w górę ostry pysk. Coś go niepokoiło, bo z jego piersi wydobywał się od czasu do czasu zduszony skowyt.

— Kyłyno! — usłyszała nagle.

Podeszła do niej w ciemnościach Pystyna Majorczuk.

— To ja... Przechodziłam właśnie, patrzę, coś na podwórzu ciemnieje. Przyglądam się, tak jakby ty... Czemu nie wejdziesz do chaty?

— Jakoś mi się nie chce.

— Strach, co? Teraz to każdy do ciebie może wleźć.

— Ale dlaczego miałby włazić? Nie ma po co.

— E, ludzie są różni. Są tacy, co chcieliby postraszyć... Nawet twego Wilka się nie boją.

— Niech straszą, ja nie strachliwa.

— Możebyś poszła jednak do mnie przenocować, co? Pościeli mi nie ugryziesz.

— A co to ja nie mam chaty?

— Chata oczywiście jest, ale bez ściany, no to tak jak na ulicy. Jakże tak spać na ludzkich oczach?

— Co za różnica... Jeśli ktoś chce popatrzyć, jak śpię, to niech przyjdzie i się gapi. Za ścianą czy bez ściany.

— Dziwna jesteś, Kyłyno. Kto to widział, żeby dziewczyna spała na ulicy!

— Nie na ulicy, lecz w chałupie.

— W chałupie, ale i nie całkiem.

Namawiała dalej Kyłynę, by u niej przenocowała, bo bieda jest biedą, po co się do niej jeszcze garnąć.

Jednak Kyłyna zacięła się: nie pójdzie i koniec, ma swój przytułek.

Po odejściu sąsiadki zorientowała się, dlaczego tak zawzięcie broniła się przed jej zaproszeniem: spodziewała się, że przyjdzie Tuhaj. I gdy tylko go wspomniała, gdy przypomniała sobie, jak wszedł dziś do bufetu, od razu poczuła ulgę, jakby była na podwórzu już nie sama, jakby przyszedł Tuhaj, usiadł koło niej na rdeście, milczy i martwi się razem z nią, milczy i cieszy się, że jest z nią, tak jak ona cieszy się jego obecnością. Wsłuchiwała się w płynące z pola odgłosy, słuchała idącej od wsi ciszy i czuła się bardzo samotna i zagubiona...

Potem pościeliła łóżko i położyła się. Ale oczy się nie kleiły, chociaż nakazywała sobie usnąć. Zwidziała jej się stara matka, jak idzie od studni i niesie na koromyśle dwa pełne wiadra, z których kropla po kropli kapie woda, błyszcząc w słońcu. Przypomniała sobie, jak kiedyś biegła łąką i uderzyła bosą stopą o sterczący i niewidoczny w wysokiej trawie korzeń. Długo wtedy płakała, uspokoiła się dopiero, gdy podszedł do niej ojciec i pogłaskał ją po głowie.

Kiedy asfaltową szosą przejeżdżały samochody, odbłyski ich świateł płynęły powoli po ścianach; Kyłynie wydawało się wówczas, jakby leżała odkryta przed całym światem, nie mogąc ukryć ani swej nagości, ani swego minionego życia, ani swych myśli.

Myśli te znów pobiegły do Tuhaja, przypomniał się jej sen z ubiegłej nocy, w którym szli ciepłym rumiankowym polem... Chłodną dłonią dotknęła swych piersi, powoli opuściła rękę niżej, pomacała prężny, wklęsły brzuch i gwałtownie oderwała dłoń, jak gdyby zrobiła coś nieprzyzwoitego, co mógł ujrzeć ktoś w nocnej ciemności.

Po kilku dniach Arsen Tuhaj wstąpił do bufetu ze swoim przyjacielem Walentynem Tkałyczem, nauczycielem z miejscowej dziesięciolatki. Walentyn Dmytrowicz, chudy, wysoki, o pszenicznych włosach niedbale rozsypanych, był mężczyzną młodym i wstydliwym. Mawiano o nim, że podczas lekcji wstydzi się nawet dziewcząt z dziesiątej klasy i często się rumieni.

Kyłyna, która przez kilka dni myślała wciąż o Tuhaju, na jego widok wyrwała się ku niemu całym swym sercem, czując, jak ręce, które kroiły chleb, ociężały nagle, stały się obce i odmawiają posłuszeństwa. Tkałycz, uśmiechnąwszy się pełnymi, niemal dziecięcymi wargami, przywitał się z bufetową skinieniem głowy, agronom zaś spojrzał na nią zmęczonym obcym wzrokiem, jakby jej w ogóle nie widział, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy, że widzi właśnie ją, Kyłynę. Serce jej ścisnęło się boleśnie. Tuhaj kupił papierosy i skierował się od razu do wyjścia, nie zdążyła mu więc powiedzieć ani słowa. Nauczyciel zamówił ser topiony, porcję smażonej wątroby oraz butelkę kefiru; dopiero niedawno przyjechał do ich wsi, był kawalerem i musiał sam organizować sobie wyżywienie.

Takich jak on było we wsi kilku; nie mieli własnego domu, więc jedli w fabrycznej stołówce lub też wpadali coś przekąsić do Kyłyny do bufetu. Wódki nie zamawiali, wina też. Jedli bez pośpiechu, nie rozglądając się. Kyłyna odnosiła się do nich przyjaźnie, bywali obsługiwani poza kolejką. Czasami zaglądali do bufetu dyrektor fabryki, robotnicy z sowchozu i przewodniczący rady gminnej. Miała dla nich wszystkich wiele szacunku, widząc w nich zmęczonych, zapracowanych ludzi, którzy chcą się posilić...

Dziś piwa nie przywieźli i w bufecie było pusto. Nauczyciel żuł bez apetytu i bezmyślnie spozierał pustymi oczami w okno, za którym wiatr wyprawiał na

drodze harce ze słomą i kurzem; z wysokich starych topoli dolatywał trwożny wroni zgiełk.

Kyłyna poczuła jakiś dreszcz niepokoju. I nagle wyrwało jej się z ust:

— A dlaczego pan się nie żeni, Walentynie Dmytrowiczu?

Nauczyciel jakby się obudził ze snu.

— Co proszę?

— Pytam, dlaczego pan się nie żeni? Czy nie podobają się panu dziewczęta z naszej wsi?

— Owszem, podobają się — odparł uprzejmie nauczyciel, opuszczając nisko głowę nad stolikiem i rumieniąc się. — Mamy bardzo ładne dziewczęta.

— Ożeniłby się pan i nie wałęsał się po stołówkach i bufetach. Na takim wikcie zniszczy pan sobie zdrowie i potem przez całe życie będzie się pan męczył.

— Co prawda, to prawda — wydukał zmieszany Walentyn Dmytrowicz.

— A co się dzieje z naszym agronomem? — zadała wreszcie to najważniejsze pytanie. — Zmienił się na twarzy, nawet nie spojrzał...

— Dziś rano odwiózł do szpitala Antoninę Petrowną, swoją żonę.

— A... co z nią jest? — spytała Kyłyna, czując, że dech jej zapiera.

— Nad ranem poczuła się źle, więc wziął z sowchozu samochód i sam ją odwiózł. Coś z wątrobą, choruje już od dawna, a dziś miała atak.

— Boże drogi! — zawołała. — Za co człowiek ma się tak męczyć?!

— O kim pani mówi? — spytał nauczyciel z roztargnieniem.

— O Arsenie. Żona mu choruje i on, biedak, bardzo to przeżywa, jemu ciężej niż jej.

— Pewnie że nielekko — odpowiedział nauczyciel, spojrzawszy ze zdziwieniem na bufetową.

Blade rumieńce na jego twarzy pociemniały. Walentyn Dmytrowicz odsunął powoli nie dojedzone śniadanie i wyszedł z ociąganiem z bufetu. Kyłyna, być może, nawet tego nie dostrzegła, wpatrzona w okno. Wiatr przechylał wierzchołki czarnych topoli. Kłaniały się róże, a nasturcje za ogrodzeniem drżały jakby z zimna. Kyłyna myślała o agronomie. Gdzie on teraz jest? Poszedł do biura sowchozu czy może znów wybrał się do powiatu, do żony?.... A co z jego dziećmi, przecież on ma dwoje małych dzieci. Kto się teraz nimi zaopiekuje?

Szybko zamknęła bufet i pobiegła szukać Tuhaja. „Ja chyba zupełnie zgłupiałam — strofowała sama siebie. — Dokąd pędzę, przecież tak nie można..." Koło klubu go nie było, koło fabryki też nie, skierowała się więc do tych budynków za parkiem, w których mieszkali pracownicy administracji fabryki i sowchozu. Od stawu zalatywało błotem i wodorostami. W parku na stadionie dzieci grały w piłkę nożną, którą wiatr ciągle znosił.

Nagle dostrzegła Arsena Tuhaja. Stał pod akacjami i pochylony odpalał papierosa od Walentyna Tkałycza. Potem wyprostował się, niebieski dymek natychmiast rozpłynął się w powietrzu. W tym momencie obaj zobaczyli zbliżającą się do nich Kyłynę. Na twarzy Arsena widać było zadowolenie; z czego on tak się cieszy? Podeszła tak blisko, że poczuła chłód jego policzków.

— Arsenie... Hnatowiczu... I co teraz będzie? Kto zajmie się dziećmi? Może mogłabym w czym pomóc?

— No to ja już pójdę — powiedział nauczyciel, unikając wzroku bufetowej. — Bywaj, Arsenie.

Odszedł przygarbiony, jakby ciężko mu było utrzymać ciężar własnego ciała.

— Dziękuję — Tuhaj zwrócił się do Kyłyny i jego ostre przed chwilą spojrzenie złagodniało. Czuł się

jednak niepewnie, bo rozejrzał się wokół raz i drugi.

— Nie dziękuj, Arsenie, nie ma za co. Sam nie dasz sobie rady, mogłabym wpadać do ciebie, pomóc w gospodarstwie, nie miałbyś żadnych kłopotów.

— Jaki tam kłopot, dzieci są w przedszkolu. A poza tym... ludzie mają oczy. Co by na to powiedzieli?

Umilkła od razu, bo istotnie: co by ludzie powiedzieli? Odwiózł żonę do szpitala i zaraz wprowadził do domu Kyłynę, jakby tylko czekał na śmierć tamtej.

— A dlaczegoś nie przyszedł? — spytała po chwili i spojrzała na niego tak błagalnie, że spojrzenie to odczuł w sercu. — Czekałam na ciebie... przez te wszystkie noce...

— Jak mogłem przyjść — powiedział, patrząc na wyłożoną cegłą uliczkę, nad którą kołysały się akacje — kiedy mieszkasz teraz na dworze, na widoku. Każdy może zobaczyć, a ja mam przecież rodzinę, no i, jak wiesz, żona w szpitalu.

— No tak — odparła cicho, jakby miała za chwilę utracić głos — ale przedtem przychodziłeś... Czekam i czekam, a ciebie nie ma. Dopiero dziś zobaczyłam cię w bufecie. Nawet nie spojrzałeś na mnie, nauczyciel już mi powiedział o twoim nieszczęściu... Nie przejmuj się, minie... A ja czekałam na ciebie, bo chciałam ci powiedzieć...

— O czym? — spytał, czyniąc gest zniecierpliwienia, jakby chciał odejść nie czekając na jej odpowiedź.

— No więc... — zawahała się, na jej pobladłej nagle twarzy widać było cierpienie.

Zatrzymał się koło nich samochód ciężarowy. Z kabiny wyjrzał znajomy szofer, ukazując w uśmiechu duże białe zęby, odbijające od śniadej, cygańskiej cery, z oczu sypnęły iskry.

— Arsenie Hnatowiczu! — zawołał, mrugnąwszy do nich porozumiewawczo. — Ma się pan zgłosić do biura sowchozu. A ciebie, Kyłyno, proszą do bufetu.

Tuhaj porozumiał się na migi z kierowcą, by ten chwilę zaczekał i podrzucił go do biura, po czym spytał zmieszaną Kyłynę:

— Co chciałaś mi powiedzieć?

— No więc... — jak to dobrze, że warczy silnik i kierowca nie usłyszy jej słów, nawet gdyby podsłuchiwał. — Więc zaszłam w ciążę. Z tobą...

— Ze mną? — powtórzył agronom i dopiero teraz zrozumiał jej słowa, na jego twarzy nie było jednak ani zakłopotania, ani zmieszania. — Ze mną? — spytał raz jeszcze.

Ulżyło jej, że on już wie, że podzieliła się z nim ciężarem swojej tajemnicy.

— A z kim? — spytała obrażonym tonem.

— Arsenie Hnatowiczu, jedźmy już! — krzyknął kierowca i uśmiechnął się tak szeroko, jakby był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

— No tak, tak, oczywiście — rzekł Tuhaj, czując, jak mrówki przebiegły mu po grzbiecie. — Tak — powtórzył. — Masz rację. No więc o co ci chodzi? — i nie czekając na odpowiedź, zawołał. — Muszę już iść, wołają mnie. Porozmawiamy o tym później. Do widzenia!

Wskoczył na stopień ciężarówki, zatrzasnęły się za nim drzwi kabiny i samochód już gnał wśród akacji, a po chwili skręcił i zniknął za narożnikiem.

A ona stała przez chwilę i myślała, że to pewnie dzwonią do Arsena z powiatu, ze szpitala, i dlatego wzywają go do biura sowchozu.

Może nie spotkałyby się tego lata, chociaż urodziły się i mieszkały w jednej wsi, właśnie w tej Gwar-Cebuli, i chodziły do jednej szkoły. Był taki upał, że trudno było wysiedzieć w bufecie. W odpowiednim momencie, gdy nie było nikogo, Kyłyna szybko za-

mknęła drzwi, a potem czmychnęła przez zaplecze jadalni — i już jest nad stawem.

Latem do Gwar-Cebuli przyjeżdżali wczasowicze z Moskwy, Leningradu, z Północy. I jak tu nie przyjeżdżać, kiedy i duży staw, i stary park, który za wsią przechodzi w dębowy i brzozowy las, kiedy i wiśnie, i gruszki, i jabłka, i mleko. Co prawda owoce i mleko niewiele są tańsze niż w mieście, ale za to świeże i nie trzeba po nie daleko chodzić.

Sporo się ich zebrało nad stawem — przybyszy i miejscowych. Jedni leżą na brzegu, inni grają w piłkę, jeszcze inni pływają. Śmieją się, wzbijając w górę wodę, i ten młodzieńczy śmiech zaczął drażnić Kyłynę, więc schroniła się przed gwarem i zgiełkiem za odległymi krzakami, szybko rozebrała się i weszła do wody. Przez jakiś czas pływała, potem wyszła na brzeg i położyła się na brzuchu. Zielona trawa lśniła w słońcu, nagrzane powietrze drgało, dźwięczny śmiech wybuchał w różnych miejscach. Wkrótce zdrzemnęła się. Zbudziło ją chluśnięcie w twarz zimną wodą. Poderwała się. Stała nad nią Nastia Uszeta, z którą chodziła do szkoły od pierwszej do dziesiątej klasy; z jej dłoni skapywały jeszcze na Kyłynę krople wody. Nastia śmiała się głośno, serdecznie, jej urodziwa twarz była w tej chwili jeszcze ładniejsza niż zwykle.

Kyłyna, uradowana, objęła Nastię. W chwilę potem leżały obok siebie na trawie, z zainteresowaniem lustrując się wzajemnie. Krzyżowały się pytania, padały chaotyczne odpowiedzi. Nastia już wiedziała, że jakiś nocny awanturnik rozwalił Kyłynie ścianę domu, więc jest teraz na ludzkich oczach jak na dłoni, Kyłyna zaś dowiedziała się, że jej szkolna koleżanka kończy w przyszłym roku politechnikę i że o pracę jest spokojna, bo tyle teraz budują tych elektrowni wodnych, że jako specjalistka łatwo otrzyma pracę.

— A ty ciągle jesteś tak samo ładna jak dawniej —

zauważyła Kyłyna po chwili milczenia. — Chyba jeszcze wypiękniałaś.

— Też znalazłaś temat — rzuciła niedbale, widać jednak było, że sprawiło jej to przyjemność. — Chłopcy nie są dla mnie żadnym problemem — powiedziała żartobliwie. — Problemem jest dla mnie, jak się od nich opędzić.

— Aż tak? — spytała Kyłyna, chociaż uwierzyła jej od razu: tak było zawsze w szkole, tak chyba jest i teraz w instytucie politechnicznym.

— Jeden z nich nawet ze mną przyjechał tu, o tam jest — wskazała ręką na grupę grającą w siatkówkę.

— Przyjechał? — spytała niedowierzająco Kyłyna. — Jesteś z nim zaręczona, chcesz wyjść za niego za mąż?

Nastia szczerze się roześmiała, na brzoskwiniowo opalonych policzkach pojawiły się dwa wesołe dołeczki.

— Za mąż? A dlaczego miałabym za niego wychodzić za mąż? Niech się inna z nim męczy.

— Więc po co przyjechał? — nalegała Kyłyna. — Co pomyślą twoi rodzice? No i w ogóle u nas we wsi?

— Niech myślą, co im się podoba, nie mogę im tego zabronić. To po prostu mój kolega, pobędzie tu trochę i odjedzie...

— Kolega... To dlaczego przyjechał na wakacje do ciebie zamiast pojechać do domu?

Nastia znowu się roześmiała.

— Nie w głowie mi żadne małżeństwo! Jeszcze zdążę zawiązać sobie świat...

— E, różnie bywa... — niepewnie powiedziała Kyłyna i jej piegowata twarz spochmurniała.

— Pewnie, że w Gwar-Cebuli chłopców mało, ale jak wyruszysz w wielki świat, to ich na pęczki, a każdy gapi się na ciebie i nie przejdzie, żeby nie zagadać...

— Coś takiego... — Kyłyna poczuła nagły skurcz

krtani i z ust jej wydobył się ledwo słyszalny szept.

Nastia mrugnęła znacząco, z uśmiechem spiskowca.

— Chcesz, to poznam cię z nim? Chłopak do rzeczy, na pewno ci się spodoba.

— Po co mi on? — spytała Kyłyna, starając się nadać głosowi ton niewymuszony i obojętny. — W Gwar-Cebuli też jest pod dostatkiem tego towaru.

— Chyba nie za wiele — zaprzeczyła Nastia i jej głębokie, czarne oczy przesłoniła chłodna mgiełka. — Z naszej klasy dużo tu chłopców zostało? Dwóch, bo nie mogli nigdzie się dostać, a potem już na amen ugrzęźli w domu.

— Chutirny i Hłoba. Pracują teraz w fabryce.

— A dziewcząt ile! Kobietom trudniej od mężczyzn dostać się na studia, nawet jak dobrze zdadzą egzaminy. Na politechnikę przyjmują bardzo mało.

— Dlaczego?

— A dlatego. Bo dziewczyna uczy się, uczy, a potem nagle wyjdzie za mąż i już po nauce, siedzi w domu. A państwo łożyło na nią pieniądze... A chłopak skończy studia i pracuje bez przerwy, bo musi zarabiać na życie i utrzymać rodzinę.

— Chyba masz rację. Ot, chociażby dziewczyny z naszej klasy, które zostały we wsi... Ja pierwsza. Dalej Wala Szatocha, która aż trzy razy próbowała dostać się na studia i wreszcie w tym roku zrezygnowała. Marijka Pownycia też dwa razy składała papiery do technikum ogrodniczego, ale na egzaminie konkursowym przepadła, bardzo wysokie wymagania. Nina Skoropostyżna pracowała w fabryce lamp w Winnicy, ale musiała wrócić do domu, bo matka choruje. Julka Jałoweć została instruktorką pionierów w szkole. No, a Tetiana Prychożaj i Switłana Korzun od razu poszły pracować do kołchozu jako dojarki. Ile to razem? Siedem. Chyba wszystkie....

— Nie, nie wszystkie. Zapomniałaś...

— O kim? — Kyłyna zmarszczyła brwi i nagle się zaśmiała. — Jak mogłam zapomnieć o Zinie Dejnesze! Też nie chciała nigdzie wyjeżdżać z Gwar-Cebuli. Pamiętasz, w tydzień po balu maturalnym wyszła za mąż. Nie mogła się doczekać tego ślubu. Mówiło się wtedy tylko o jej weselu. Z pierwszym mężem rozwiodła się i teraz po raz drugi wybiera się za mąż. On pracuję tu w fabryce, przysłali go aż z Kurska. Wkrótce potańczymy na weselu.

— O, Zinka ma olej w głowie, żadnej okazji w życiu nie przegapi i jak trzeba będzie to weźmie trzeciego męża. A dlaczego ty dotąd się nie wydałaś?

— Z moją urodą? A poza tym sama mówiłaś: gdzie są w naszej wsi ci chłopcy do żeniaczki. A nie każda potrafi ich sobie przywieźć.

— Jak chcesz, to ci go oddam. Jesteś wysoka, zgrabna, na pewno mu się spodobasz.

— A można to tak? — spytała Kyłyna z wahaniem. — Nie, ja bym tak nie mogła.

— A jak?

— Tylko nie tak.

— Dziwna jesteś. Poznalibyście się, a potem by się zobaczyło. On i tak nie jest mi potrzebny.

— A mnie potrzebny?

— Może akurat będzie ci odpowiadał.

— Nigdy go dotąd nie widziałam i ma mi od razu odpowiadać?

— Och, Kyłyno, Kyłyno, nie można wszystkiego tak komplikować, im prościej, tym lepiej — w głosie Nasti wyczuło się ton wyższości i ironii.

— Na tym szczęścia się nie zbuduje...

— No cóż, może masz rację — uśmiech zgasł na twarzy studentki. — Wiesz, chyba się jeszcze pokąpiemy.

Znów opanowała ją radość, chwyciła Kyłynę za rękę i pobiegły pod dębami po ciepłej miękkiej trawie do

wody, śmiejąc się tak, jak śmiały się w dzieciństwie, kiedy latem przychodziły tu całą paczką ze swojej klasy. I było im teraz tak dobrze, jak wówczas.

— Powiedz, Kyłyno, prawda, jak chciałoby się być szczęśliwą? — spytała studentka, kiedy wyszły z wody i znowu położyły się na ciepłej trawie.

— Któż by tego nie chciał — Kyłyna zajrzała koleżance głęboko w oczy, szczerze i ufnie.

— A czego ty byś chciała?

— Nie tak wiele... Chociażby tego, żeby nie żyć samotnie...

— Chcesz wyjść za mąż?

— Można za mąż, ale można i bez męża.

— Jak to bez męża? Chciałabyś urodzić bez męża dziecko?

— A dlaczego by nie? Chciałabym. Pielęgnowałabym je, a jak bym je kochała...

Kyłyna zaśmiała się tak, jakby cieszyła się tą swoją przyszłą radością. A Nastia posmutniała i stała się jakaś obca.

— Hej!

Koło nich stał chłopiec o szerokich barach i dobrodusznej twarzy. Kyłyna od razu domyśliła się, że to on, i nagle poczuła chłód w piersiach. Szybko się ubrała i pobiegła do pracy.

— Zajrzymy do ciebie! — krzyknęła za nią Nastia.

Dzisiaj zasiedziała się w bufecie do późna, bo i w fabryce, i w sowchozie była wypłata. Wracała groblą, wdychając świeży zapach wody i tataraku. W uszach miała jeszcze gwar, śmiechy, krzyki i śpiewy. Za mostem, gdzie miała skręcić w prawo i iść dalej wierzbową drogą, dopędził ją samochód, zatrzymał się przed nią i ktoś zawołał ją po imieniu. Gdy podeszła bliżej, poznała za kierownicą Arsena.

— Proszę — otworzył przed nią drzwi, dodając, by usiadła za nim z tyłu.

Wsiadła posłusznie, samochód ruszył.

Kyłyna była pewna, że Arseń odwiezie ją do domu, samochód jednak minął już ciemną, uśpioną wieś i wjechał na polną drogę.

— Dokąd jedziesz? — spytała, kładąc mu dłoń na ciepłym ramieniu.

— Trochę się przejdziemy — odpowiedział po chwili.

— W nocy?

— A kiedy my możemy pospacerować razem?

Tuhaj palił papierosa, często się zaciągając i uważnie patrzył przed siebie.

To prawda, pomyślała Kyłyna, w dzień nie mogą pospacerować, w dzień nawet nie patrzą na siebie. A wieczorem Tuhaj też nie może teraz do niej przychodzić z powodu tej ściany... Gdyby nawet zawiesiła płachty i prześcieradła, to i tak nie skryje się przed światem; niech już będzie tak, jak jest. Pozostało im więc tylko tak, w nocy, ukradkiem, w samochodzie...

Nie dojeżdżając do miasta powiatowego skręcili w prawo, przejechali jeszcze kilka kilometrów drogą pośród ciemniejącego lasu, wreszcie Tuhaj zatrzymał samochód na poboczu, wyłączył silnik, zgasił światło. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, pogrążeni w nagłej, absolutnej ciszy. Arseń siedział nieporuszony, jakby ciągle jeszcze wpatrywał się z napiętą uwagą w uciekającą do tyłu szosę.

— Arsenie — wyszeptała niepewnie Kyłyna, bojąc się zamącić ciszę.

— Co?... — drgnął, jednak nie odwrócił do niej twarzy, jakby chciał ją ukryć przed dziewczyną.

— Przyjechaliśmy — rzekła ni to pytająco, ni to twierdząco.

Otworzył drzwiczki, wysiedli z samochodu. Wóz dyszał jeszcze ciepłem i spalinami, pochłanianymi

przez intensywne, wilgotne zapachy nocnego lasu. Ciężkie i ponure drzewa wydawały się Kyłynie w ciemności żywymi istotami.

Na twarzy Tuhaja błąkał się chimeryczny uśmiech, który w odczuciu Kyłyny wyrażał zakłopotanie. Podeszła do niego, objęła go, przytuliła głowę do jego piersi. Też ją objął, ale jakoś sztywno i obojętnie. Wyczuła to, przez moment jakby przysłuchiwała się jego sercu, chcąc odgadnąć, co się tam w nim dzieje, co ono czuje. Potem powoli odsunęła głowę.

— Co z tobą, Arsenie?

— Nic — odpowiedział niepewnie, bo ciągle jeszcze nie mógł zdecydować się na rozpoczęcie rozmowy, dla której przyjechał tutaj.

— Jak to nic, przecież widzę, powiedz — nalegała zauważywszy jego przygnębienie i nagle uświadomiła sobie, że przyjechali tu nie tylko po to, by patrzyć na las w nocy.

— Widzisz, Kyłyno... — i nagle umilkł, jakby zabrakło mu odwagi. — Może usiądziemy, co? — zaproponował po chwili.

Poszli dalej, w gęstwinę. Arsen zaczął obrywać z orzecha liściaste gałązki. Kyłyna pomagała mu drżąc ze strachu, w nocnej ciszy uśpionego lasu trzask łamanych gałęzi był nie do zniesienia. Wkrótce siedzieli na wyścielonej liśćmi ziemi, odsunięci od siebie, czując, że dzieli ich znaczna odległość, którą trudno będzie pokonać.

— No więc co zamierzasz robić? — spytał Tuhaj, kładąc jej rękę na ramieniu.

— Z czym?

— Przecież jesteś w ciąży. Powiedziałaś, że ze mną... No, a jak ze mną, to musimy razem zastanowić się nad tym.

Przez chwilę milczała w zamyśleniu, potem poruszyła ramieniem strząsając jego dłoń.

— Czy musieliśmy jechać aż tu, żeby o tym pomówić?

— Aż tu... A gdzie można spokojnie porozmawiać? Wszędzie oczy i uszy, a my przecież musimy się kryć. Nie zapominaj, że mam rodzinę.

— Nie zapominam. Przywiozłeś już żonę ze szpitala? No, jak tam?

— Miała atak... Nie pierwszy raz. Wątroba, nerki... Jest już w domu. Nic groźnego. No, ale co my mamy robić? — spytał już pewniejszym i bardziej nalegającym tonem.

— Właściwie to o tym jeszcze nie myślałam...

— Trzeba pomyśleć jak najszybciej, dopóki nie jest za późno. Ale co tu myśleć, wszystko jest jasne.

— Co jest jasne?

— Czy po raz pierwszy... zaszłaś w ciążę?

— Tak.

— No cóż, to sprawę nieco komplikuje, ale rozwiązanie może być tylko jedno, bo nie chodzi tu tylko o ciebie, Kyłyno.

— O czym mówisz? — spytała, czując, jak nocny chłód i leśna wilgoć przenikają całe jej ciało.

— A co, może masz ochotę rodzić?

— Będzie tak, jak ty powiesz...

— Jak ja powiem! — wybuchnął, zapominając, że są w ciemnym, bezgwiezdnym lesie. — Mówi tak, jakby rzeczywiście nie wiedziała, co jej powiem.

— A co mi powiesz? — spytała, nie słysząc własnego głosu.

— A jak myślisz? — Arsen nie ukrywał już rozdrażnienia.

— No cóż...

— Nie można myśleć tylko o sobie. Trzeba myśleć także o mnie i o tym, że nie żyjemy przecież w lesie.

— Ja to nawet chciałabym urodzić. Już najwyższy czas, i tak już zbyt długo jestem starą panną. Wiesz,

bardzo chciałabym mieć dziecko, żeby nie być sama na świecie, bo samej ciężko — mówiła łagodnie i ufnie. Arsen słuchał ze zwieszoną głową, nie przerywając jej. — Kto wie, jak mi się w życiu ułoży, może gorzej, może lepiej, swego losu nie odgadniesz.

— Rozumiem cię, Kyłyno... No cóż, jesteś samotna, teraz wiele takich matek bez mężów. Ale w naszej wsi ludzie szybko dowiedzą się, czyje to dziecko, będą wiedzieli, zanim zdążysz urodzić.

— Więc zabraniasz mi?

— Nie mam prawa ci zabraniać, ale też nie wolno mi mieć z tobą dziecka, bo mam rodzinę... No cóż, spotykaliśmy się potajemnie, było nam obojgu dobrze... I wtedy nie myśleliśmy wcale o dziecku, prawda? No a teraz sama widzisz, co wyszło.

— Nic nie wyszło, Arsenie. Jeśli nie chcesz...

— Może bym i chciał — próbował łagodzić — ale czyż mam prawo?

— No dobrze już, dobrze — próbowała go uspokoić. — Zrobię wszystko tak, jak zechcesz.

— Masz tu trochę pieniędzy — wetknął jej do ręki mały zwitek. — Weź. Pójdziesz do szpitala... Czy może gdzieś pokątnie... Pieniądze się przydadzą.

— Nie, schowaj, obejdzie się.

Tuhaj schował pospiesznie pieniądze do kieszeni. Czuł się podle, poczuł w sercu jakieś ssanie, w głowie pustkę. Miałby lepsze samopoczucie, gdyby Kyłyna protestowała, nie zgadzała się. Ale to nic, wszystko przejdzie, jakoś się ułoży. O nieszczęściach i zmartwieniach szybko się zapomina, gdy są już poza nami.

— No cóż, chodźmy — powiedziała Kyłyna obcym głosem, podnosząc się.

Arsen w nagłym przypływie czułości chciał ją objąć.

— Nie trzeba — powiedziała i poszła do samochodu.

Przez całą drogę do wsi milczała. Arsen palił, opo-

wiadał chaotycznie i nerwowo, z kim się dziś widział, kto mu co powiedział, a ona siedziała pochylona, wpatrując się uparcie przed siebie w migotliwe światła reflektorów pełzające drogą, i jej mocno zaciśnięte usta stawały się jakby coraz cieńsze.

•

Po pewnym czasie Stepan Pasiuha znów jechał przez Gwar-Cebulę. Było bardzo słoneczne południe, nałożył więc ciemne okulary. Gdy przejeżdżał obok fabryczej stołówki, nawet miał ochotę zatrzymać się, wpaść do bufetu, może spotkałby kogoś znajomego, pogadałoby się o tym i owym, a w rozmowie mogłaby wypłynąć sprawa tej jego nieszczęsnej przygody... Bo od tego czasu nie miał spokoju, w jego wyobraźni przewijały się obrazy, jeden straszniejszy od drugiego. Odpędzał je od siebie, starał się o tym nie myśleć, ale myśli powracały do tego bez jego udziału.

Można by i dziś pojechać tą drogą, która mu wtedy przyszła do głowy na jego nieszczęście, ale lepiej nie kusić licha, bo mógł go wówczas ktoś w ciemności zobaczyć i dziś go rozpozna, i zapamięta numer rejestracyjny. Kiedy wyjeżdżał już ze wsi, obejrzał się w prawo, ale zobaczył tylko zieloną ścianę przydrożnych jesionów i klonów, za którymi majaczyły ogrody. Po chwili obejrzał się raz jeszcze i własnym oczom nie wierzył: zboczem, płosząc pasące się gęsi, biegł wielki szary pies z białym znamieniem na dużym łbie. Stepan od razu rozpoznał w nim tego psa, który wówczas omal nie wpadł mu pod koła, tego samego psa, przez którego zamroczony sennością wjechał do jakiejś zagrody... Teraz, w świetle dnia, dobrze mu się przyjrzał: rzeczywiście duży jak cielę, z wielkim łbem o spiczastych uszach, z dużą mordą drapieżnika.

„No, taki jak skoczy na piersi, to zwali od razu, nie wymkniesz się" — pomyślał ze strachem, jak gdyby

żelazne zęby zwierzęcia już mu się wpijały w gardło.

I pomyśleć, że ten pies zamiast wleźć wtedy do mysiej dziury i cieszyć się, że się uratował od niechybnej śmierci — rzucił się za samochodem i biegł za nim jak wściekły bardzo długo. A dziś nie wiadomo, czy zobaczył, czy też węchem poczuł jego samochód i chyba go rozpoznał, na pewno go rozpoznał, i dlatego teraz go prześladuje. Może ten pies codziennie wybiega na drogę i czatuje na jego samochód, na niego, Stepana? Czuł, jak coraz silniej opanowuje go i strach, i złość.

„Poczekaj no ty, wtedy cię uratowałem, nie najechałem, chociaż mogłem, ale teraz, jak zdarzy się okazja, już cię nie wyminę, przejadę się po twoich kościach, żebyś wiedział..."

Przycisnął pedał gazu, samochód zawył, zawibrował, popędził szybko, mijając inne wozy i kiedy po przejechaniu kilku kilometrów spojrzał przez boczną szybę, na poboczu psa już nie zobaczył. Nie zmniejszył szybkości aż do samego miasta i dopiero tam zwolnił, oglądając się do tyłu jeszcze kilka razy.

„I po co mi to było! No nic, jeszcze mi się nawinie pod rękę!" Od razu poczuł się pewniej, przeniknął go dreszcz myśliwskiego hazardu, wywołując nagłą wesołość i niwecząc niedawny strach i złość.

Pystyna Majorczuk przyszła do Kyłyny po wodę, bo jakoby jej studnia czymś brzydko zalatuje. Powoli rozkręcała korbę, myszkując na wszystkie strony wścibskimi, wypukłymi oczami. Wreszcie wyciągnęła wiadro, postawiła na podwórzu i znowu wlepiła oczy w chałupę.

— No i co, jakoś nie zjawił się dotąd ten wariat, żeby się przyznać?

— Zjawi się, zjawi, pod ziemię się nie zapadnie — odpowiedziała Kyłyna.

Sąsiadka miała czerwoną twarz, drobne żyłki na policzkach, oczy rozbiegane.

— No cóż, dopóki lato, to możesz czekać, ale jak się ochłodzi, to pójdziesz po rozum do głowy. — Spojrzenie jej pobiegło po łanach pszenicy, kołysanych przez wiatr, który gdzieś tam daleko ginął w tych pszenicznych falach. — Jesteś jeszcze młoda, musisz uczyć się żyć. Myślisz, że już wszystko wiesz, wszystkiego doświadczyłaś? A figę z makiem! Znam cię od takiej — pokazała ze dwa werszki od ziemi — pamiętam dobrze twoją matkę i ojca, nigdyśmy się nie kłócili, żyliśmy w zgodzie, chociaż sąsiadowaliśmy z sobą. Dlatego miałabym ciężki grzech, jakbym ci nie udzieliła rad i przestróg.

— No i powiedziała, co wiedziała — Kyłyna, która właśnie prała na podwórzu, energicznym ruchem głowy podrzuciła w górę mokre pasmo włosów, które spadało jej na oczy.

— Powiedziała, ale jeszcze nie wszystko. Musisz trzymać go mocno obu rękami, wczepić się w niego i nie puszczać, żeby nie wiadomo co. I nie cackaj się z nim, bądź twarda...

— Wy o kim tak, sąsiadko? — Kyłyna wyprostowała się nad niecką.

— Ty dobrze wiesz, o kim — Pystyna patrzyła na Wilka, który leżał koło budy, położywszy na wyciągniętych łapach wielki łeb. — Jak ja wiem, to i ty wiesz, nie ma sensu ukrywać...

— Niczego nie ukrywam, tylko... — Kyłyna ugryzła się nagle w język: czyżby ona miała na myśli Arsena?

Nie wymieniła wprawdzie jego imienia, ale z jej zmieszania i nagłych rumieńców sąsiadka wywnioskowała, że Kyłyna zrozumiała, o kogo chodzi.

— Tak, tak, o niego — z zadowoleniem pokiwała głową.

Kyłyna pochyliła się nad praniem, rozmyślając gorączkowo, czy sąsiadka domyśla się tylko, czy wie na pewno. Ma taką naturę, że nic się przed nią nie ukryje, nawet pod ziemią wyszpieguje. Jej tam wszystko jedno — jest ściana czy jej nie ma, jak trzeba to i ścianę prześwidruje wścibskimi oczami.

— O niego chodzi, o agronoma, o kogóż by innego — przestała wreszcie owijać w bawełnę, bo Kyłyna swoim zachowaniem upoważniła ją do tego. — A ty chyba zaszłaś już z nim w ciążę, co?

Kyłyna nagle wyprostowała się, słowa same wymknęły się z jej ust.

— O czym wy mówicie? I co to was obchodzi?

— Przecież sama powiedziałaś, że mogę wszystko mówić — sąsiadka zachichotała i sparzyła ją krótkim, kłującym spojrzeniem. — No to mówię, dla twego dobra. A co, może dla swego? A co ja mam z tego?

— Ale plotkara z was, sąsiadko — tyle tylko powiedziała Kyłyna, bo co innego mogła powiedzieć, i znowu zabrała się do prania.

— Plotkara, a może i nie plotkara... Jestem już stara, moje dziecko. I akuszerką bywałam w potrzebie, to widzę wszystko, co, jak i do czego, przede mną się nie ukryjesz. Nazywasz mnie plotkarką... No cóż, nazywaj, jeśli nie potrafisz znaleźć dla mnie innych słów.

— Nie mam zamiaru szukać — odcięła się Kyłyna.

— A wiesz, jak było zaraz po wojnie? — Pystyna udała, że nie dosłyszała. — Chłopów powybijali, wojna posiała tych samotnych matek jak maku. Wdowy to jeszcze, ale inne też miały potajemnie dzieci czy to z sąsiadem, czy z inwalidą, jak się zdarzyło... Ale teraz już nie tak, więc powinnaś żyć sensownie i rozumnie. Posłuchaj i zważ, co ci powiem, może ci się to przyda. On będzie ciebie namawiał, żebyś pozbyła się płodu, ale go

nie słuchaj. Nie bądź głupia. Bo jak to zrobisz, to na pewno ci nie podziękuje. Od razu zapomni o wszystkim, jakby cię nigdy nie znał, szczęśliwy, że wydobył się z tarapatów...

— Dlaczego jesteście taka podła, sąsiadko?

— Ja podła? Dlatego, że życzę ci dobra?

— Kiedy to wasze dobro takie jakieś...

— Takie, jakie może być — odcięła. — Tylko ty dobrze pomiarkuj. Narodzisz dziecko. Po pierwsze, nie będziesz już sama, no i na starość też możesz mieć podporę. A po drugie, żona agronoma choruje, wszystko może się zdarzyć... No i wtedy będzie mógł zabrać cię do siebie, bo przecież to będzie jego dziecko. A nie urodzisz, to nawet nie pomyśli o tobie, znajdzie sobie inną.

— Niech sobie znajduje, słyszycie?! — krzyknęła, odczuwając ból w piersiach i zamęt w głowie od całej tej gadaniny i od własnej męki.

— I znajdzie. Znajdzie, jak będziesz taka głupia.

Kyłynie zdawało się, że wzniesiony nad nią obuch lada moment spadnie na jej głowę, skuliła się więc w oczekiwaniu na cios.

— No a poza tym — kontynuowała sąsiadka — pomyśl jeszcze o jednym. To grzech zabijać płód! Grzech, Kyłyno, bo to już człowiek, chociaż jeszcze nie narodzony.

— Nie wiecie jeszcze, jak sprawa wygląda, a już osądzacie, już włazicie z butami do duszy.

— Ja włażę do twojej duszy? Może rzeczywiście nie wszystko jest tak, jak mówiłam, no to po co się przejmować? Nie przejmuj się, nie warto... Może nagadałam różnych niepotrzebnych rzeczy. I może niepotrzebnie wspomniałam o agronomie. Ale niech ci to będzie nauką na jutro, na przyszłość. Bo nie każdy przyjdzie tak do ciebie jak ja, nie każdy wygarnie ci całą praw-

dę. Wiem, że to przykro słuchać, ale musisz przyznać, że należało ci to powiedzieć. No, to ja już pójdę...

— Idźcie już, idźcie...

— Oj, Kyłyno, Kyłyno — sąsiadka z wyrzutem pokiwała głową i spojrzenie jej znowu błądziło po słonecznych polach. — Patrz, chciałam już pójść, a nie powiedziałam ci najważniejszego.

— Czym jeszcze chcecie mnie straszyć?

— A postraszę, postraszę, a jak ty myślisz? Dla twego dobra. Wiem, że zaszłaś w ciążę pierwszy raz. No to musisz wiedzieć, że jak się usunie pierwszą ciążę, to często się zdarza, że nigdy już nie będzie się matką. Dzisiejsze dziewczęta nie boją się niczego, kpią sobie ze wszystkiego, ale na starość będą tego żałować, tylko że będzie już za późno... Kto później weźmie cię bezpłodną jak kamień?

— Nikogo nie potrzebuję.

— Mówisz tak teraz, ale nie wiadomo, jak zaśpiewasz jutro albo pojutrze. Oj, Kyłyno, ty sama siebie jeszcze nie znasz, boś młoda, a ja już pożyłam, napatrzyłam się i nasłuchałam... Nie krzyw się, wiem sama, że niechętnie słuchasz tej mojej gadaniny, ale kto ci to wszystko ma powiedzieć? Matki nie masz, no to zamiast niej ci to mówię.

— No, bywajcie zdrowi — wyganiała ją Kyłyna, bo nie miała już siły dalej tego słuchać.

— I ty bądź zdrowa.

Pystyna Majorczuk nie czuła się dotknięta, znała bowiem dobrze charakter swojej sąsiadki. Wiedziała, że ta niechętnym okiem patrzy na nią i niechętnie słucha jej uwag, później jednak zastanowi się nad nimi i jej słowa nie pójdą na marne.

Kyłyna spojrzała na niebo. W jasnym błękicie zastygł nieruchomo jastrząb, upatrując zdobyczy na odległej ziemi. Długo tak się wpatrywała; poczuła silny zawrót głowy, musiała więc usiąść koło dzieży z nie

dopraną bielizną. Gdy minęło zamroczenie, uświadomiła sobie to wszystko, o czym usłyszała od Pystyny Majorczuk, więc zaczęła bić ze złością pięściami o ziemię, jakby chciała cały swój gniew i żal, i całą wściekłość wyładować na czarnej ziemi.

„Boże, co mam począć?" Zajrzała przez powaloną ścianę do wnętrza chaty. Wzrok jej kolejno zatrzymywał się na łóżku, na stole, gdzie na wyszywanym ręczniku leżał chleb z fabrycznej stołówki (nauczyła ją tego matka, którą z rozrzewnieniem wspominała codziennie, gdy rozpościerała na stole ręcznik), spojrzała na pogrzebacz stojący przy piecu, w którym rzadko paliła... I nagle wydało się jej, że ona sama też jest tak odkryta dla oczu postronnych, że wszystko w niej — jej myśli, jej nadzieje, wszystko najtajniejsze, najbardziej intymne — że to wszystko jest na powierzchni, wszystko jest nagie, każdemu dostępne. Jednak świadomość tego nie była dla niej przykra. Pomyślała nawet z jakąś mściwą satysfakcją: a niech tam, przecież nie jest złodziejem ani mordercą, nie knuje nic złego, żeby musiała się z tym kryć. Dlatego też nie będzie stawiała ściany, niech ją postawi ten, co ją zwalił, bo przecież musi ją postawić, jeśli jest w nim chociaż jedna kropla uczciwości.

Podszedł do niej cicho Wilk i położył pysk na jej ramieniu. Drgnęła, uśmiechnęła się, otarła nieoczekiwaną łzę.

— No, a co ty mi poradzisz? Pewnie też mi współczujesz, co?

Wilk patrzył na nią uważnie mądrymi oczami.

— Milczysz... Dziękuję ci za to — powiedziała Kyłyna, obejmując psa za twardą szyję. — Na świecie wiele jest dobrych serc, a twoje wśród nich nie ostatnie, prawda, Wilku?

Zinka Dejneha, ta, co chodziła z Kyłyną do szkoły, ta sama, która w tydzień po balu maturalnym urządziła wesele, rzeczywiście zamierzała odtańczyć swoje drugie weselisko. Ze swoim kurskim kawalerem. Zaprosiła niewiele osób, tylko najbliższą rodzinę i kilka dawnych koleżanek ze szkoły.

Kyłyna nie była na pierwszym weselu, wypadało pójść na drugie. Spóźniła się, wielu gości już wyszło, czemu trudno się dziwić, bo nie było muzyki, tylko ta z radia. Picia i jedzenia było pod dostatkiem, ale humory jakoś nie dopisywały.

Kyłyna ucałowała pannę młodą, uścisnęła rękę panu młodemu, dwa razy starszemu od Zinki, zażywnemu mężczyźnie, który był bardzo z siebie zadowolony. Miał też chyba łagodne usposobienie, bo nic nie mówił, tylko spoglądał na wszystkich dobrodusznie swymi jasnymi oczami i uśmiechał się.

Na wesele przyszły wszystkie dziewczęta z ich szkolnej paczki: Wala Szatocha, Marijka Pownycia, Julka Jałoweć, Tetiana Prychożaj i Switłana Korzun. Kyłyna chciała zobaczyć się z Nastią Uszetą, powiedzieli jej jednak, że Nastia była niedługo i już wyszła.

— Przyszła sama?

— Gdzie tam! — odpowiedziała Marijka Pownycia, ekspedientka z miejscowego sklepu artykułów przemysłowych, która ubierała się zawsze w najbardziej deficytowe łaszki. — Przyszła ze swoim studentem i tak już zadzierała nosa, że tyle świata aż tu za nią przywędrował.

— Też byś zadzierała — rzuciła Kyłyna i spojrzała na pana młodego.

Podobał się jej, odpowiadał jej jako mąż także i dlatego, że ma już spore doświadczenie życiowe.

— Myślisz, że nasza Zinka złowiła takie szczęście? — spytała Marijka, która przechwyciła spojrzenie Kyłyny. — Wart Pac pałaca. On dla niej nie pierwszy,

a chyba ona dla niego również — mówiła szeptem, by inni goście przy stole nie słyszeli. — Mężczyzna w tym wieku ma już za sobą przynajmniej dwa małżeństwa. I aż tu szuka szczęścia, bo pewnie tam, skąd pochodzi, za dobrze go już znają i żadna by za niego nie wyszła.

— Ot, pleciesz — Kyłyna czuła, że alkohol zaczyna uderzać jej do głowy.

— No pewnie, też mężczyzna, też spodnie...

— A mnie on się podoba — ucięła Kyłyna. — Podoba się właśnie dlatego, że ma już swoje lata. I to, że być może, był już żonaty. A więc zna życie, ma doświadczenie, wie, co i jak, nie będzie się szastać na wszystkie strony jak współczesna młodzież. Żenią się, potem zaraz się rozwodzą...

Przy stole zaczęli przysłuchiwać się ich rozmowie. Przede wszystkim pan młody nastawił najpierw jedno ucho, potem drugie, wreszcie włączył się do rozmowy.

— Święta racja! Mężczyzna w starszym wieku ma i rozumu więcej, i polegać na nim można. Nie zawiedzie, nie porzuci jutro...

Zinka roześmiała się głośno.

— Teraz wszyscy są młodzi, i licealiści, i renciści. Może nie mam racji? Patrzysz, czterdziestka na karku, a może już i pięć krzyżyków, a jeszcze czuje się młody, że ho, ho!

— Bo życie stało się lepsze — stwierdził autorytatywnie pan młody.

— Żyje się może i lepiej, ale to młodości nie przysparza! — zawołała Marijka, jakby zwracając się bezpośrednio do pana młodego.

— Teraz nikt nie chce umierać, nie tylko młodzież — rzekła matka Zinki, która ubrana dziś była tak jak na pierwszym weselu córki. Była zadowolona, że córka niedługo pozostawała rozwódką, podczas gdy innym nie udaje się nawet raz wyjść za mąż, no a po-

za tym zięć jej się podobał, miała bowiem zawsze szacunek dla zażywnych mężczyzn.

— Nie mówmy na weselu o śmierci! — zawołała Kyłyna.

— Młodym to teraz się nie spieszy do dzieci — powiedziała z naciskiem Marijka. — Chcą najpierw użyć świata, no a potem to już...

— A dlaczego nie? Po co się spieszyć? — zwróciła się do biesiadników Zinka.

— Faktycznie nie ma powodu do pośpiechu — pan młody wzruszył ramionami i uśmiechnął się kącikiem ust.

— Ee, nie podoba mi się ta gadanina: spieszyć się czy się nie spieszyć — Marijka spochmurniała. — Bo jeśli o tych sprawach tak się mówi, tak rzeczowo, kiedy się to planuje, to co to właściwie jest? Więc po co się żenić i wychodzić za mąż, jeśli nie chce się mieć dzieci?

— No, jakoś tam już będzie — łagodziła spór matka panny młodej.

Marijka zbladła, opuściła głowę.

Weselny nastrój prysnął. Goście zaczęli się rozchodzić, pod pozorem ochłodzenia się wychodzili na dwór i już nie wracali. Kyłyna przez chwilę rozmawiała z Marijką o sklepie, który budują już trzeci rok i nie mogą zakończyć. W pewnym momencie spojrzała na drzwi: stała w nich żona Arsena, Antonina Petrowna, trzymając za rękę swą młodszą córkę Olę, a spoza nich wysuwał swój mądry pysk Wilk...

Była tym zaszokowana, zabrakło jej tchu, po ciele przebiegł dreszcz.

Antonina Petrowna przeprosiła za spóźnienie, nie mogła wcześniej, bo ma w domu różne kłopoty, przyszła jednak złożyć państwu młodym życzenia. Na jej chudej, pożółkłej twarzy widoczne jeszcze były ślady dawnej urody, mówiła głosem miękkim i łagodnym. Kie-

dyś musiała być podobna do swej Oli — ruchliwa i mądra twarzyczka, delikatność w obejściu i dobre wychowanie, na czoło spadają jasne słoneczne fale włosów.

— A ty tu po co? — Kyłyna pogroziła Wilkowi. — Zachciało ci się potańczyć na weselu?

Wilk chciał czmychnąć do sieni, ale Ola zatrzymała go, kładąc mu na pysk małą rączkę.

— On jest ze mną — powiedziała. — To ja go tu przyprowadziłam.

Przywitano to przy stole z wesołym aplauzem.

— On wprawdzie nikogo nie ugryzie, ale kto to słyszał, żeby przyprowadzać psa na wesele? — gderała Kyłyna. — A poza tym tu dzieci biegają.

— Zamknę go w sąsiednim pokoju — powiedziała Zinka. — To posłuszny pies, posiedzi.

Zaprowadziła go do drugiej izby i zatrzasnęła za nim drzwi.

Gospodarze zaczęli ugaszczać Antoninę Petrowną tak, jakby była najbardziej oczekiwanym i najdroższym gościem. Kyłyna jakaś wewnętrznie skulona, ze ściśniętym sercem patrzyła ukradkiem na żonę Arsena, jednak ku własnemu zdziwieniu zamiast wrogości miała dla niej pełne sympatii zainteresowanie. Może podobała się jej dlatego, że była żoną Tuhaja, a jej wszystko się w nim podobało? Lubiła też jego dzieci, zwłaszcza młodszą Oleńkę, która teraz bawiła się w chowanego z synkiem sąsiadów — kędzierzawym cyganiątkiem o dźwięcznym głosiku. Najpierw łazili pod stołem, chowając się za nogami ucztujących, potem kryli się w sieni za dzieżami śmiejąc się przez cały czas. Śmiech ten działał na Kyłynę kojąco, jakby się śmiały jej własne dzieci. Potem dzieciaki wybiegły na podwórze.

— A dlaczego teraz młode małżeństwa tak często się rozchodzą i rozwodzą? — spytała Antonina Pe-

trowna i jej głęboki, miękki głos przebił się przez lekki gwar przy stole. — Bo dawniej żona była uzależniona ekonomicznie od męża, który był głową domu i żywicielem rodziny. A teraz? Teraz kobieta sama dobrze zarabia, niekiedy nawet więcej od męża. Dzieci? Oddaje do żłobka lub przedszkola, a potem idą do szkoły... I rozwiedziona kobieta ma teraz nie mniej szans wyjścia za mąż niż panna.

— To prawda — powiedziała matka panny młodej sznurując chełpliwie usta.

— Kobieta nie obawia się już teraz żyć bez mężczyzny — kontynuowała swój wywód Antonina Petrowna — bo stała się samodzielna i niezależna, a zmieniła się też moralność naszego społeczeństwa.

— Oj, zmieniła się, zmieniła... — w głosie Marijki wyczuwało się polemiczną dezaprobatę. Kyłyna spojrzała karcąco na koleżankę i w jej oczach można było wyczytać: wstrzymaj się od niepotrzebnych aluzji pod adresem obecnych. Jednak Marijka nie wytrzymała.

— A czy to lepiej, że tak się zmieniła moralność? — zwróciła się bezpośrednio do Antoniny Petrowny. — Jest pani nauczycielką, więc proszę odpowiedzieć.

— Odpowiem... Przemiany to są przemiany i trzeba się do nich przyzwyczaić, zrozumieć...

— Tere-fere! Ludzie się rozpuścili, nie ma dla nich nic świętego.

— Nie rozpuścili — pouczającym tonem zaoponowałą nauczycielka — lecz stali się bardziej wolni, rozumniejsi, pozbyli się wielu zabobonów.

Słuchając tego Kyłyna czuła, jak jej sympatia do żony Arsena wzrasta. I inni również słuchali tego z aprobatą. Więc dlaczego Marijka tak się rzuca, tak naskakuje na nauczycielkę? Jeśli jej się nie podoba, że teraz ludzie częściej się rozwodzą, to dlaczego przyszła na wesele Zinki? Przecież ona też po raz drugi wychodzi za mąż.

W sąsiedniej izbie zaszczekał głośno Wilk. Goście spojrzeli pytająco na Kyłynę.

— On tak sobie — powiedziała. — Poszczeka i przestanie.

— Kobieta nareszcie zdobyła równouprawnienie — kontynuowała Antonina Petrowna — co musiało gruntownie zmienić jej psychikę, jej postępowanie. Przedtem była zależna, w rodzinie przypadała jej rola drugorzędna. A obecnie? Teraz nie ścierpi przy sobie mężczyzny, który znęca się nad nią i obraża jej ludzką godność, nie ścierpi mężczyzny podłego i nikczemnego.

— Świętą racja! — poparła nauczycielkę z aplauzem rumiana, podekscytowana Zinka i spojrzała wymownie na męża, który zrozumiał to spojrzenie tak, jak sobie tego życzyła. — No to wypijmy za to nasze równouprawnienie, żeby nie było niewolnictwa ani w rodzinie, ani w ogóle!

Jedni wypili, inni nie. Znowu zaszczekał Wilk i słychać było drapanie do drzwi. Potem szczekanie przeszło w jakieś trwożne czy ostrzegające przed nieszczęściem skomlenie.

— Wypuść go, Kyłyno, bo od tego skowytu samemu chce się wyć! — powiedziała ze złością Marijka. — Co pies ma do roboty na weselu? Może jeszcze posadzimy go przy stole?

— Przecież ja nie ten... Niech sobie idzie.

— A po co ma biegać po podwórzu, tam są dzieci, jakiś pijany może się napatoczyć i nietrudno o nieszczęście — rzekła stara Dejneha.

— On nikogo nie ugryzie — uspokoiła Kyłyna. — To mądry pies.

— To i dobrze, że mądry, niech posiedzi w pokoju.

Tymczasem pies wył coraz głośniej i drapał pazurami w drzwi.

— A niech go licho porwie! — lamentowała stara,

wstając od stołu. — Wypuszczę go, bo jakby po sercu drapał.

Wilk wyskoczył z izby i z opuszczonym łbem rzucił się do sieni.

— Może go przyparło albo jakaś choroba go się czepiła, to już lepiej niech się wynosi — gderała stara.

Potem usiadła obok córki, mała i chuda, z pomarszczoną twarzą, na której malowała się pogoda.

Na chwilę zaległo milczenie. Kyłyna czuła się winna, jakby to nie pies, lecz ona przerwała rozmowę.

— A wiecie, że psy są diabelnie mądre — odezwał się wreszcie pan młody, który chyba nie był zachwycony tym, że powszechna uwaga przeszła z niego i żony na Antoninę Petrowną.

— O, to niezwykły pies! — zawołała radośnie Kyłyna. — Ma ludzki rozum.

— Jaki tam ludzki! — zaoponowała Marijka, którą wszystko dziś drażniło.

W tym momencie wbiegł do izby Igorek, błyskając białkami czarnych oczu, i zaczął łazić pod stołem.

— Przecież Oli tu nie ma — powiedziała Antonina Petrowna.

— Chce mnie pani ocyganić — zaśmiał się spod stołu chłopak. — Ona gdzieś tu się schowała, jest tu na pewno.

Na progu pojawił się Wilk i głośno zaszczekał, otwierając szeroko pysk.

— Czego szczekasz jak opętany?! — krzyknęła na dobre już rozeźlona Kyłyna. — Marsz do domu, nikt cię tu nie zapraszał.

Ale Wilk jak gdyby nie zrozumiał polecenia swej pani; cofnął się wprawdzie do sieni, ale nie przestał szczekać.

— Ja ci dam! — zawołała Kyłyna i zamachnęła się na niego widelcem, jednak pies zupełnie na to nie zareagował i nadal szczekał zawzięcie.

— On chyba chce, żebyśmy z nim wyszli na podwórze, chodźmy — powiedział pan młody, wstając od stołu i lekko się zataczając.

— Chodźmy, bo on inaczej nie przestanie — poparła go żona. — Proszę jeszcze posiedzieć, bo pani dopiero przyszła — zwróciła się do Antoniny Petrowny.

— Dziękuję, ale czas na mnie, dzieci jeszcze nie śpią.

Gdy wyszli na dwór, pies podbiegł do studni i nadal szczekał w ciemności. Kiedy podeszli do niego, wsparł się przednimi łapami na drewnianym cembrowaniu, jakby chciał wskoczyć do studni.

— Coś ty zgłupiał zupełnie?! — krzyknął na psa pan młody, próbując zajrzeć do studni. — Ciemno, choć oko wykol, nic nie widać. I czego ty szczekasz, wariacie, przestań wreszcie!

Ale Wilk szczekał dalej.

— On tu coś poczuł — rzekła Kyłyna. — Trzeba koniecznie zajrzeć do studni. Macie latarkę? Przynieście zaraz, popatrzymy.

Ktoś przyniósł elektryczną latarkę, pochylili się nad studnią wpatrując się w jej oświetlone pasmem światła wnętrze.

— Dziecko! — rozległo się jednocześnie kilka głosów, w które wplótł się bolesny jęk Antoniny Petrowny:

— Ola!

Zaczęli opuszczać cebrzyk.

— Przecież tam musi ktoś wsiąść! — krzyknęła panna młoda.

Antonina Petrowna leżała zemdlona obok studni. Przynieśli wodę, zaczęli ją cucić.

Pan młody stanął w cebrzyku i uchwycił się mocno rękami żerdzi.

— Opuszczajcie!

— Uważaj, Pawłyczku! Trzymaj się mocno! — wo-

łała rozpaczliwie panna młoda, jakby największe niebezpieczeństwo groziło nie dziecku, lecz jemu.

— Poświećcie mi tu! Świećcie! — krzyknął ze studni pan młody manewrując cebrzykiem w ten sposób, żeby nie opuścić się na głowę dziecka.

Ola wczepiła się mocno rączkami w drewniane ocembrowanie.

Wilk odszedł od studni, ale nadal skomlał żałośnie i trwożnie, aż mrówki przebiegały po grzbiecie. Lecz teraz nikt go już nie odganiał.

— Stop! — krzyknął pan młody z głębi studni. — Światło nie na mnie, tylko na nią!

Igorek próbował przedostać się do studni, żeby też popatrzeć, ale Kyłyna dała mu lekkiego klapsa i chłopczyk schował się za ludzi.

— Nie mogę oderwać jej rąk! — krzyknął z dołu pan młody.

Przy studni rozległy się westchnienia. Antonina Petrowna odzyskawszy przytomność spytała:

— Gdzie Ola?

— Nie można oderwać jej rąk — odparła stara Dejneha, która ją cuciła. — Ale proszę się nie przejmować i dziękować Bogu, że pani dziecko żyje.

— Ciągnąć! — krzyknął ze studni pan młody.

Po chwili wyłonił się ze studni, przyciskając do piersi dziewczynkę. Matka wyrwała mu ją i zaczęła zasypywać pocałunkami.

— No i widzi pani, niepotrzebnie się pani martwiła — rzekł pan młody wyskakując z cebrzyka.

— Patrzcie, dziecko tak się przestraszyło, że nawet nie płacze — stara Dejneha była ciągle bardzo podekscytowana.

— Może mowę jej odjęło — chlipnęła Antonina Petrowna. — Córeczko, dlaczego milczysz?

Dziewczynka pilnie wpatrywała się w matkę.

— No odezwij się, powiedz coś — błagała Antoni-

na Petrowna. — No... Dlaczego nie chcesz porozmawiać ze swoją mamą?

— A nie będziesz mnie bić? — spytała dziewczynka.

— Co takiego?

— Bawiliśmy się z Igorkiem w chowanego — wyjaśniła z całą powagą. — Schowałam się do cebrzyka, a on zjechał ze mną w dół...

Kyłyna poczuła łaskotanie w gardle, z oczu popłynęły piekące, gorzkie łzy. Wycierała je dłonią, ale łzy płynęły dalej.

— A gdzie pani mąż? — zapytał ktoś matki dziecka.

— Wezwali go do zjednoczenia, diabli by go wzięli! — odpowiedziała ze złością, jak gdyby Arsen w czymś tu zawinił, musiała jednak w jakiś sposób rozładować męczące ją napięcie; przecież mogła utracić swoje dziecko.

Porwała córkę na ręce i poszła do domu. Patrzyli za nią w milczeniu.

— No, już jej Arsen tego nie przebaczy, jak się dowie — przerwała ponury nastrój Marijka.

— Co ty wygadujesz! — ostro zareagowała stara Dejneha. — A co ona winna?

— A winna, bo nie dopilnowała dziecka.

— Marijka ma rację — wtrąciła Kyłyna. — Co to za matka? Sama bawi się przy stole, wymądrza, a dziecko...

Nikt już nie bronił nauczycielki: rzeczywiście zawiniła.

— I gdyby nie pan młody... — powiedziała Marijka.

— Co tam ja — zaprzeczył wielkoduszne, jednak z odcieniem dumy w głosie. — Każdy by potrafił opuścić się w cebrzyku do studni, nic trudnego. To zasługa przede wszystkim psa. Gdyby nie on, dziecko nie wytrzymałoby długo, z osłabienia rozluźniłoby palce i koniec. Więc trzeba dziękować psu, a nie mnie.

Rozległ się aprobujący gwar, ludzie przypominali,

jak to pies pierwszy wyczuł nieszczęście, jak wył i drapał do drzwi, jak wyciągnął ich na dwór, a potem do studni, dobrze, że stara Dejneha go wypuściła... Ale gdzie on się podział?

Zaczęli szukać i wołać, ale Wilka nie było, znikł.

— Wiesz, Kyłyno — rzekła Marijka — agronom i ta jego nauczycielka powinni ci być wdzięczni do końca życia, tobie i twemu psu.

— Dlaczego mnie? To zasługa Wilka...

— A Wilk czyj? Może nie twój?

— Dostałam go od żołnierzy.

— No to i żołnierzom należy się wdzięczność.

— No a teraz — powiedziała panna młoda — wrócimy do chaty. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. No to i nasze wesele powinno się dobrze skończyć.

— A powinno, powinno! — zaśmiał się hałaśliwie pan młody.

Goście weszli wśród śmiechu i gwaru do mieszkania.

Kyłyna została na dworze, podeszła do studni i zajrzała do niej. W ciemności nic nie zobaczyła, przeszedł ją jednak dreszcz. Ruszyła do domu. Z krzaków nad drogą wyszedł Wilk i pobiegł za nią. Od czasu do czasu przysiadał, nadstawiał uszu, pilnie nasłuchując.

Tadej Batiuta miał dziś wolny dzień, powlókł się więc do bufetu. Z samego rana już trochę wypił. Kiedy ma się kierownicę w rękach, to nietrudno zarobić kielicha. Jednemu pomożesz tym, drugiemu przysłużysz się tamtym, każdy stara się odwdzięczyć, poczęstować, bo może trzeba będzie znowu korzystać z usług i uprzejmości kierowcy ciężarówki. Jednak w te dni, kiedy siedzi za kierownicą, nie pije prawie wcale, odkładając to do świąt i wolnych dni. No a wtedy to już od rana do wieczora odwiedza tych, którym wyświad-

czył jakieś przysługi, a oni potrafią już odpowiednio go ugościć.

Dziś też już zdążył podchmielić sobie, od czego jakby odmłodniał i wyprzystojniał, jego czerwone wargi rozchylał łakomy uśmiech.

Podszedł do kontuaru.

— Czy to prawda — zwraca się do Kyłyny — o tym twoim psie?

— Prawda, tylko odejdź i nie przeszkadzaj.

Pijany Batiuta posłusznie odchodzi, siada przy stoliku, uśmiecha się do jakichś swoich myśli, powoli cedzi piwo. Potem wstaje, znów podchodzi do Kyłyny.

— A jak on to wyczuł, powiedz?

— A dlaczego mnie o to pytasz? Zapytaj jego.

— A powie?

— Jak spytasz, to powie... No i zabieraj się już stąd.

Batiuta znów odchodzi, siada, pije piwo uśmiechając się, potem zaczyna się bacznie wpatrywać w Kyłynę. Wreszcie podchodzi do kontuaru, kiwa na Kyłynę palcem, a gdy ta niechętnie pochyla się ku niemu, szepce jej do ucha:

— Sprzedaj psa!

— Coś ty, głupi?

— A dlaczego... nie chcesz? Ja bym ci niczego nie odmówił.

— A sprzedałbyś rodzoną matkę? Albo swego ojca?

— Co to za porównanie — mamrocze Batiuta i znów kiwa palcem, by się pochyliła.

Jednak Kyłyna nie zwraca już na niego uwagi, zajęta bufetem. Batiuta mimo to nadal kiwa na nią palcem. Kiedy wreszcie bufetowa pochyla się ku niemu, szepce: — Sprzedaj, bo rozpowiem... że on jest wściekły... że pokąsany przez wściekłego psa... no to go zabiją i wtedy ani ty go nie będziesz miała, ani ja...

— Kretyn! — powiedziała Kyłyna, nalewając piwo.

Batiuta przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią nieruchomym, ciężkim spojrzeniem.

— No, co się gapisz?

— Jak przyjeżdżam do Kijowa, to z zoo w ogóle nie wychodzę... tylko stoję przed klatką z małpami... i tak stoję przez cały dzień. Ludzie kręcą się na wszystkie strony, a ja cały dzień przed małpami...

— No cóż, im też należy się jakaś rozrywka.

Wieczorem zajrzał do bufetu Arsen Tuhaj. Chyba niedawno wrócił ze zjednoczenia, bo wyglądał na bardzo zmęczonego. Kupił bez słowa papierosy i usiadł z kuflem piwa koło okna, za którym dogorywało niskie, rozpalone słońce. Kyłyna patrzyła pod światło, nie widziała wyrazu twarzy Arsena, tylko jego ogorzały profil. Miała nadzieję, że agronom podejdzie i porozmawia z nią, siedział jednak w milczeniu, zamyślony. Zaraz wypije piwo, zmęczonym ruchem odsunie kufel i pójdzie... Kyłyna wzięła ścierkę i podeszła do jego stolika, by zetrzeć. Arsen spojrzał na nią chłodno i od tego obojętnego spojrzenia ścisnęło się jej serce, jak kiedyś w dzieciństwie, gdy doznała krzywdy.

Tadej Batiuta, już dobrze podpity, patrzył na agronoma ciężkimi zapijaczonymi oczami, z trudem próbując sformułować jakieś pytanie.

— No to co, Arsenie Hnatowiczu... wyciągnęli ze studni pańskie dziecko? — spytał wreszcie.

Szczęka Arsena konwulsyjnie drgnęła.

— Gdyby nie jej pies... — Batiuta ruchem głowy wskazał na Kyłynę, był pijany i z trudem bełkotał — to... Ten pies to mówię panu... Wie pan?

— Już słyszałem — odpowiedział głucho Tuhaj.

Kyłyna wróciła za kontuar, była jednak ciągle przy nim czując, że nie może uronić żadnego jego słowa ani żadnego ruchu.

— Pies to przyjaciel człowieka — bełkotał Batiuta. — Mężczyzny i kobiety... Ja to bym takiego psa bardziej

kochał... niż człowieka... Pan, Arsenie Hnatowiczu... powinien postawić temu psu... złoty pomnik...

— Postawię — odparł cicho agronom.

— Co? — Batiuta patrzył na niego w pijackim osłupieniu i nie doczekawszy się odpowiedzi bełkotał dalej. — Arsenie Hnatowiczu, niech pan pocałuje naszą Kyłynę... to jej pies...

— Co ty wygadujesz?! — burknęła ze złością Kyłyna. — Schlał się i plecie byle co!

— Arsenie Hnatowiczu... — Batiuta jakby tego nie słyszał — proszę ją pocałować... na obecnym etapie... to pański święty obowiązek.

Kilku mężczyzn, obecnych w bufecie, poparło Batiutę okrzykami. Kyłyna bardzo boleśnie odczuła te pijackie wygłupy, wydawało jej się, że wszyscy o wszystkim już wiedzą i nawet nie kryją się z tym.

Arsen wstał, podszedł do kontuaru. Spojrzenie miał obce i dalekie, jakby ciągle jeszcze nie wyparowała z niego odbyta niedawno podróż. „Czyżby rzeczywiście chciał mnie pocałować? — przeszło Kyłynie przez myśl. — Chyba się nie ośmieli?" Czekała, że się jednak odważy, a jednocześnie bała się tego ze względu na niego.

— No to... gorzko! — krzyknął natrętnie Batiuta.

— Daj mi zapałki — powiedział Tuhaj.

Czując, że ręce odmawiają jej posłuszeństwa, z wysiłkiem podała mu pudełko zapałek. Agronom wyjął papierosa, zapalił. Dopiero teraz spostrzegła, że nos mu się wydłużył, a policzki zapadły. Wyszedł z bufetu zgarbiony.

Kiedy za oknami mignęła jego pochylona postać, Kyłyna wybuchnęła gniewem na wszystkich pijaków siedzących w bufecie. Była taka zła, że zdawało się, lada moment pęknie ze złości i odłamki jej gniewu powybijają tu wszystkich co do nogi. Wypędziła pijaków za drzwi i zamknęła je na klucz, chociaż było jeszcze

wcześnie. I dopiero kiedy została sama, zrozumiała, że złości się nie na nich, stałych gości bufetowych, i nie na Batiutę z jego pijackim bredzeniem, lecz na Arsena. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć, czuła jednak, że go w tej chwili nienawidzi.

Miała w głowie ogień, który trawił jej mózg i spopielał każdą rodzącą się myśl; te na pół zwęglone myśli parzyły ją i bolały jak świeże rany na żywym ciele. Usiadła przy tym stoliku, gdzie niedawno jeszcze siedział Tuhaj, a kiedy uświadomiła to sobie, skoczyła jak oparzona i przysiadła się do innego stolika. Z pamięci wyłonił się ciemny nocny las, dokąd jeździli z agronomem, i łamanie orzechowych gałęzi na podściółkę, w uszach dudniły głucho jego słowa, kiedy chciał jej dać pieniądze... Czuła, jak całe jej ciało płonie od piekącego wstydu i kurczy się konwulsyjnie. „O Boże, co się ze mną dzieje?" — pomyślała z lękiem.

„O nie, nie!" — szeptała. Nie mogła już usiedzieć, chodziła od stolika do stolika, patrzyła przez okna, za którymi była czarna noc i tylko gdzieś w odległej chacie ćmiło wątłe światło. Nie, to nieprawda, to wszystko było chyba inaczej, ona nie mogła przecież tak lekko zgodzić się na jego nalegania, jej myśli i pragnienia są przecież inne, to nie ona wyraziła zgodę, to coś obcego wstąpiło w nią i dało tę zgodę, nie, nie!...

Zaczęła siebie uspokajać: on, Arsen, chyba wyczuje, że się rozmyśliła, serce mu podszepnie, a kiedy wyczuje, to na pewno przyjdzie tutaj, do niej... No cóż, poczeka... W fabrycznej stołówce za ścianą słychać było brzęk zmywanych naczyń i zmęczone głosy kobiet. Wciąż stała w ciemnym bufecie, wpatrując się i wsłuchując w noc za oknami. I nie czuła się już tak podle, i już chyba nie gniewała się na Arsena, bo zaczynała go rozumieć, jego sytuację. Co za idiotka z niej! Chciała, żeby ją pocałował, podziękował. Za

co? Za Wilka? Wilkowi trzeba dziękować, nie jej. Gdyby teraz Arsen przyszedł, nie wiedziałaby, co mu powiedzieć.

Ale nie przychodził... I strumyczki gniewu znów zaczęły podmywać jej ufność i nadzieję, urażona duma piekła jak rana. Broniła jednak swojej nadziei. „Jeśli przyjdzie, wszystko mu przebaczę, we wszystkim go posłucham, a nie przyjdzie... Czyżby nie wyczuwał? Nie, to człowiek dobry, łagodny i wrażliwy — przekonywała samą siebie. — Niech się tylko bardziej ściemni, gdy wyludnią się ulice, to na pewno przyjdzie... A może czeka na nią gdzieś na dworze, jak wtedy, gdy zawiózł ją do lasu?"

Zaczęła szybko się ubierać.

W południe wszedł do bufetu Marko Odarycz. I gdy tylko się zjawił, Kyłyna zrozumiała, że przybył z jakąś specjalną misją: niósł przed sobą swój potężny brzuch tak, jak niesie się pełny kieliszek wódki, kiedy nie chce się go rozlać, a na jego czerwonej twarzy zastygł uroczysty wyraz świadomego siebie dostojeństwa i poczucia ważności. Usiadł przy najdalszym stoliku w samym kącie, położył przed sobą pulchne ręce, nie wątpiąc, że będą przedmiotem podziwu i zachwytu zebranych, a kiedy uchwycił spojrzenie Kyłyny, wydał głośny rozkaz:

— Piwa!

Tknęło ją jakieś złe przeczucie. Nalała posłusznie kufel piwa i zaniosła do jego stolika, chociaż nigdy tego nie robiła, bo bufet był samoobsługowy, chyba że chodziło o kaleki i inwalidów.

Odarycz miał dubeltówkę i w razie potrzeby zabijał bezpańskie psy albo wściekłe lub też takie, o których mówiono, że są pokąsane, a więc podejrzane o wściekliznę. Nikt mu takiego prawa nie dał, ale tak było

już od dawna i wszyscy uważali, że tak ma być, jeśli więc zachodziła potrzeba, to zwracano się nie do kogo innego, lecz właśnie do niego.

Odarycz dmuchnął na kołnierz z piany, powoli nadpił i spojrzał na Kyłynę, która stała obok stolika, wpatrując się pilnie w jego łysiejącą głowę o rzadkich, siwych włosach.

— No i jak?! — spytał ciężko.

— O co chodzi?

— O twego pogryzionego Wilka.

— Skąd wyście to wzięli?

— Cała wieś o tym mówi... Spotkałem właśnie Tadeja Batiutę...

Kyłyna, połykając słowa, opowiedziała, jak to było naprawdę. Zwymyślała Batiutę i powiedziała, że zamiast piwa da mu gorącą smołę. Marko Odarycz słuchał uważnie, sprawiało mu satysfakcję, że Kyłyna tak przeżywa sprawę swego psa i tak się boi jego, pierwszego strzelca we wsi.

— No dobra, daj jeszcze piwa — powiedział, a kiedy skwapliwie został obsłużony, spytał: — Byłaś z nim u weterynarza? Zaprowadź go, niech mu zrobi zastrzyki przeciw wściekliźnie.

— Nie, ludzie jednak zupełnie powariowali — wyszeptała.

Gdy zbliżała się pora obiadowa, zamknęła bufet i poszła do domu. Nie, ani myśli prowadzić Wilka do weterynarza, trzeba by być całkiem pomyloną. Po prostu zamknie go w chacie. W chacie? Przecież teraz jej chata na oścież otwarta, wszystko na widoku. No cóż, jeśli nie można w chacie, to w sieni: zamknie drzwi do sieni i drzwi do mieszkania — schowek pierwszorzędny. Bo inaczej Wilka zabiją. Odarycz długo nie będzie czekał. Przyjdzie do niej i zastrzeli go na podwórzu albo nawet w sieni, nawet ręka mu nie drgnie...

W ich kołchozie i w sowchozie brakowało niekiedy rąk do pracy. Zwoływali wówczas wszystkich, kto tylko mógł przyjść — z fabryki, ze szkoły, ze sklepu artykułów przemysłowych i sklepu spożywczego, ze stołówki, z biur i księgowości. Tym razem wezwali do zbioru ogórków, posianych na znacznej przestrzeni niżej położonego pola koło stawu; rosły jak grzyby po deszczu, bo najpierw padało, potem przygrzało mocno słońce i trzeba było się spieszyć.

Kyłyna też przyszła. W ogrodzie spotkała Nastię w towarzystwie studenta z kwadratowymi ramionami i dobroduszną twarzą. Od czasu jak go widziała, wyrosła mu jasna bródka, opalił się, z pleców złaziła mu płatami skóra.

„Patrzcie — pomyślała Kyłyna — jednak nie pojechał, boi się zostawić swoją Nastię samą, a jej z nim chyba też przyjemnie. Jest zadowolona, że student nie wyjeżdża, a udawała, że jest jej obojętny, nawet chciała mnie z nim poznać..."

Zbierając ogórki zamienili z sobą zaledwie kilka słów. Kyłyna przyjrzała się jej uważnie: Nastia ostatnio zmieniła się, rysy twarzy się zaostrzyły, w spojrzeniu jest chłód i jakaś dojrzałość, nie ma w nim już tego ciepła i miękkości co dawniej. „Jeśli nie tu — pomyślała — to na pewno po powrocie na politechnikę się pobiorą".

Słońce parzyło, na niebie przepływały leniwie lekkie niebieskawe chmurki. Kyłyna wyprostowała się i rozejrzała wokół: w lewo nad stawem bielała cukrownia, na wprost ciemniał fabryczny park, skąd dochodziły śmiechy i głosy grających w siatkówkę.

Przyszli też agronom i nauczyciel. Kyłyna była tak zmęczona, że widok Arsena nie zrobił na niej żadnego wrażenia, wszystko było jej teraz niewiarygodnie obojętne, a jego głos i śmiech dochodził do niej jakby spod tafli wody. Krzyknął też coś do Kyłyny, wypro-

stowała się i daremnie czekała, że powtórzy, ale on śmiał się tylko, a wraz z nim nauczyciel, i w tym śmiechu wyglądał młodo i świeżo, twarz miał szczęśliwą jak dziecko. Kyłyna ze zdziwieniem wzruszyła ramionami i znowu pochyliła się nad zielonymi ogórkami.

Zmęczeni pracą i spaleni słońcem ludzie poszli do stawu wykąpać się. Kyłyna, szukając samotności, schroniła się wśród oczeretów. Nisko pochylona trwała przez dłuższy czas w bezruchu. Spod jej stóp, grzęznących w ciepłym mule, wydobywały się od czasu do czasu z wody banieczki powietrza. Biały motyl krążył drgającym lotem nad jej głową, po czym poleciał nisko nad stawem i wreszcie zniknął w oddali. Pachniało nagrzanymi wodorostami i ziołami. Kyłyna próbowała bezskutecznie odnaleźć na horyzoncie białego motyla. Tkwiąc tak w bezruchu w płytkiej, ciepłej wodzie byłaby wnet usnęła, gdy nagle z tej półdrzemki obudził ją jakiś chłodny dotyk do piersi. Przebiegł ją dreszcz, krzyknęła i bełtając wodę pobiegła szybko do brzegu, i wyskoczyła na trawę. Ciało jej wciąż jeszcze drżało od tego śliskiego dotyku.

Położyła się w krzakach łoziny, zasłaniając rękami oczy. Stopniowo uspokajała się, nawet zdrzemnęła się na chwilę. Przyśniło jej się zbocze drogi, siwe od zakurzonego piołunu... I tu ją właśnie znalazł Tuhaj. Usiadł obok niej, pogłaskał delikatnie po policzku. Kyłyna momentalnie otworzyła oczy, jakby w ogóle nie drzemała.

— No — spytał Arsen — jak tam ogórkowe sukcesy? Dlaczego chowasz się przed całą Gwar-Cebulą?

Nie odpowiadając patrzyła na niego do góry. W słońcu lśniły jego krótko przystrzyżone, smoliste włosy, z ciemnych oczu sypały się skry. Zaciśnięte usta, znamionujące stanowczość, szeroki, płaski podbródek. Patrzył na nią z pozorną beztroską, jednak od czasu

do czasu w głębi jego oczu zapalały się sygnały czujnego niepokoju.

— Arsenie... Pamiętasz, jak jeździliśmy w nocy do lasu? Pamiętasz, o czym mówiliśmy? — Umilkła na chwilę, westchnęła głęboko. — No więc... rozmyśliłam się. Nie chcę...

— Cz-czy ci ktoś t-tak doradził? — spytał, zacinając się.

Uśmiechnęła się. Złowił ten jej słaby, bezradny uśmiech. W oczach, zwróconych do nieba, zastygły małe chmurki, jak na dnie studni.

— Nie — powiedziała po chwili. — Ja sama. Sama wszystko przemyślałam.

Trudno jej teraz było uwierzyć, że jeszcze niedawno dawała jakieś obietnice i była skłonna podporządkować się cudzej woli, wbrew własnym życzeniom. Nie, nie, to był zupełnie ktoś inny, to nie ona jeździła z Arsenem do lasu, to nie ona obiecała mu, że pozbędzie się ciąży.

— Zadecydowałaś nie tylko za siebie, ale i za mnie, tak?

— Nie, dlaczego? Tylko za siebie — odparła spokojnie.

— Kyłyno — mówił Tuhaj, czując, jak głos jego twardnieje i nabiera siły. — Porozmawiajmy szczerze. Widzisz, w tej sprawie nie możesz decydować sama, powinniśmy razem wszystko rozważyć i powziąć wspólną decyzję. Wiesz przecież, że nie jestem kawalerem i nie mogę się z tobą ożenić.

— Nie proszę o to i nie chcę tego — przerwała mu szybko.

— Nie zamierzam rozstawać się z moją żoną, jest chora, mamy dzieci...

— No i nie trzeba, Arsenie. Żyj sobie z nią — powiedziała z pozorną obojętnością, ciągle patrząc w niebo.

— Zapominasz — ciągnął dalej — że dziecko, jakie chciałabyś urodzić, byłoby nie tylko twoje, ale i moje.

— Nie, ono będzie tylko moje! — krzyknęła i zakryła oczy dłonią.

— Nie pleć głupstw. Kiedyśmy się zeszli, Kyłyno... No wiesz, jak to w życiu... Tobie było dobrze i mnie było dobrze... Nie myśleliśmy wtedy o tym. Prawda, żeśmy nie myśleli?

— Chcę mieć dziecko, Arsenie — powiedziała, wciąż z dłonią na oczach.

— Ktoś cię namówił, tak?

— Nie — odparła słabym głosem.

— No cóż, jeśli chcesz koniecznie... Ale dlaczego ze mną? Zrób skrobankę, a potem... No?

Milczała, zacisnąwszy usta.

— Kyłyno! — zdjął dłoń z jej oczu, bo chciał śledzić wyraz jej twarzy i jej spojrzenie. — Słyszysz?

— Słyszę — usiadła. — Myślisz tylko o swojej sytuacji, ale mnie nie chcesz zrozumieć. Czy to tak trudno? To takie proste, pomyśl. Ja sama... kto wie, co mnie czeka, więc chcę, żeby było ze mną. Mogłam się przecież rozmyślić? No więc rozmyśliłam się. Nikt się nie dowie, że jesteś jego ojcem.

— Ale ja będę wiedział! — patrzył na nią zaskoczony.

— Nikomu o tym nie powiem, nawet memu dziecku... Nie będę od ciebie niczego żądać, o nic prosić, nie będę przypominać. Ono będzie moje i koniec!

— Ale ja będę wiedział, ja, ja, że ono moje! Rozumiesz? I to mi nie będzie dawało spokoju! Nie chcę, żeby ono rosło jak chwast, jak trawa, bez opieki, bez ojca... Żeby od dziecka słyszało, że jest bękartem...

— Arsenie, przecież będzie miało mnie, będę je wychowywać, tak jak inne matki. Czy każda kobieta z dzieckiem ma męża, a każde dziecko ojca? A przecież żyją, rosną i nic im...

— Nie, Kyłyno, nie... — był zmieszany i przybity. — Czegoś takiego się nie spodziewałem... Chcesz złamać całe moje życie. Chcesz złamać życie mojej żonie, moim dzieciom. Żyjemy, Kyłyno, w jednej wsi, tu nic się nie ukryje przed ludzkim okiem. Nie, nie, Kyłyno, boję się nawet pomyśleć, że mogłoby tak być!

Po twarzy Kyłyny pociekły nagle rzęsiste łzy. Początkowo zlizywała je językiem, potem zaczęła wycierać dłonią. Poczuł gwałtowny przypływ czułości, pochylił się nad nią i zaczął całować jej głowę.

— No... nie trzeba, słyszysz? Nie trzeba... Przestań płakać, słyszysz? Przestań, bo posłyszą, nie trzeba.

Całował jej mokre od łez policzki. Przyjmowała te pocałunki z pokorą, czując jak słabnie od nich. Współczucie przemogło w nim wszelkie inne uczucia, odwrócił do siebie jej twarz, usianą piegami, i pocałował ją w usta. Oddała mu pocałunek. Wargi jej były słone, bezwolne. Jakby gdzieś na samym dnie jej pocałunku wyczuł kroplę ciepła.

— No, uspokój się, no — błagał Tuhaj, nie potrafiąc już dłużej walczyć ani ze współczuciem, ani z czułością, w których roztopiła się niedawna obcość.

— Och, Arsenie — odpowiedział mu zduszony głos przypominający odległe kwilenie mewy. — O, Arsenie...

I jej wargi stały się zupełnie miękkie i chłodne, jakby dotknięte zimnym podmuchem śmierci.

Drzwi od sieni były dobrze zamknięte na rygiel, natomiast drzwi od izby zamykały się tylko na starą zardzewiałą zasuwkę. Gdy wiatr wpadał do wnętrza, wszystko poruszało się, nadymało, jakby nagle zaczęło oddychać: i kapa na łóżku, i ręczniki na ścianach, i leżący na przypiecku fartuch; chybotały drzwi

do izby, skrzypiały i pojękiwały deski, jakby skarżyły się na coś.

Wilk siedział w sieni, słuchając wiatru baraszkującego po izbie. Niekiedy zdawało mu się, że tam ktoś jest, więc wstawał, podchodził do drzwi i wpatrywał się w nie czujnie. Wiatr hulał nie tylko po izbie, lecz i po strychu, Wilk zadzierał więc ciągle pysk i nasłuchiwał.

Silny powiew wiatru zerwał w pewnym momencie zasuwkę na drzwiach, które nagle z wesołym trzaskiem otworzyły się. Wilk, który nie był na to przygotowany, uskoczył do kąta i groźnie zawarczał. Nikt jednak nie wszedł z izby do sieni, drzwi kołysały się na zawiasach, w nozdrza psa uderzyła podniecająca woń pól, wyskoczył więc z kąta i wszedł do izby, gdzie wszystko pachniało wiatrem i polem. Obwąchawszy krzesła i ławę, Wilk skoczył przez powalony ścianę na podwórze, podbiegł do budy, obejrzał ją, potem pobiegł obok obory, płosząc wróble na krzaku bzu, skoczył w kartofle i pobiegł przez ogród, szczęśliwy, że znalazł się na wolności.

Marko Odarycz zaczaił się wśród wysokich oczeretów, tam gdzie zawsze łowił ryby. Nikt go tu nie mógł zobaczyć ani z brzegu, ani ze stawu, gdyby ktoś płynął czółnem. Czuł mrok w duszy i mętlik w głowie. Wypił wczoraj na przyjęciu urodzinowym u córki, ale nie mógł już chyba pić, nie ten wiek i nie to zdrowie. Więc smutno mu teraz było od tych gorzkich myśli, był rozżalony sam nie wiedząc na kogo.

Kiedy wracał ze zwieszoną głową, patrząc pod nogi, nagle coś skoczyło na niego z przodu. Odarycz zdrętwiał: to Wilk wsparty na jego piersi patrzył na niego wesoło i zuchwale. „No, zaraz to wściekłe psisko chwyci mnie kłami za nos i koniec ze mną..." — pomyślał czując, jak oblewa go zimny pot.

— No i co? — powiedział jak najłagodniej. — Idź swoją drogą, a ja swoją...

Wilk, uradowany spotkaniem ze znajomym, który nigdy nie zamachnął się na niego ani kamieniem, ani kijem, a czasem nawet poczęstował kością, gdy pies wpadał na jego podwórze, stał ciągle na ścieżce, wsparty łapami o piersi Odarycza.

„Jak tylko spróbuje liznąć mnie po twarzy, to rąbnę go pięścią między uszy, a potem niech się dzieje, co chce..." — myślał gorączkowo, po czym zaczął się psu przymilać.

— Piesek grzeczny... piesek mądry, piesek mnie nie ugryzie....

Wilk opuścił łapy na ziemię, cofnął się na ścieżkę i patrzył przyjaźnie na Odarycza, który nareszcie odetchnął z ulgą.

— Nie, ty nie jesteś wściekły — przemawiał dalej łagodnie, by nie rozgniewać tego wilkojada, tej góry mięśni, tych potężnych szczęk. — Biegnij, dokąd chcesz, no, biegnij, piesku...

Sam bał się ruszyć z miejsca, więc czekał, aż zrobi to Wilk. Pies zamerdał ogonem. Odarycz zszedł ze ścieżki, ustępując mu drogi. Wilk opuścił pysk do ziemi i pobiegł, prowadzony wzrokiem Odarycza, który powoli zaczął się uspokajać. Gdy pies znikł za wierzbami, Odarycz pobiegł szybko miedzą, ciągle się oglądając, dopadł wreszcie swego domu, wskoczył do sieni, wpadł do izby. Strzelba leżała w skrzyni z różnymi rupieciami, które już dawno powinno się wyrzucić, jednak było mu żal: a może się przydadzą? Drżącymi rękami naładował strzelbę i dopiero teraz powróciła mu śmiałość i odwaga.

— No, zobaczymy kto kogo!

Odnalazł ślady Wilka, poszedł jego tropem nad staw, ale tu ślad się gubił. No nic, gdzieś tam biega ten wściekły kundel, ale już on go dopadnie, a strzelać

umie, nie pierwszyzna mu do psów strzelać, napolował sie już na nie dość, ręka go nie zawiedzie.

Wilk przez nikogo nie widziany pobiegł od stawu na kołchozowy basztan, a potem jarem, na dnie którego wiła się rzeczułka, pognał na skraj wsi, gdzie pasło się bydło. Ujrzawszy psa, pastuszki pobiegły najpierw mu naprzeciw, ale ktoś krzyknął, że to Wilk, pokąsany przez wściekłego psa, więc chłopcy rzucili się do ucieczki. Wilk nie gonił ich jednak. Pobiegł z daleka od stada, postał chwilę, przyglądając się dwom igrającym nad nim motylkom, a potem popędził dalej. Dopiero teraz przestraszeni pastuszkowie powyłazili z kryjówek i zaczęli opowiadać jeden przez drugiego, jaki to Wilk był straszny.

A pies biegł ścieżką wśród pszenicy, którą już lada dzień trzeba było kosić. Nagle usłyszał w pobliżu pisk jakiegoś gryzonia. Rzucił się w tę stronę, rozmyślił się jednak, zawrócił i podskakując wysoko, lustrował bacznie okolicę. Przez cały czas odczuwał jakiś niepokój, który gnał go do domu. Kiedy znalazł się wreszcie na swoim podwórzu, nie zatrzymał się ani koło budy, ani przy studni, lecz od razu przeskoczył przez zwaloną ścianę, pyskiem otworzył drzwi do sieni i schował się w swojej kryjówce. Wiatr targał drzwiami, więc pies położył się przy nich i podparł je bokiem.

Odarycz, pokręciwszy się po wsi, pomyślał wreszcie, że prędzej czy później pies musi przecież wrócić do domu, toteż zawrócił do Kyłyny. Zajrzał na podwórze — pusto. Żeby nie wchodzić ludziom w oczy, schował się w pszenicy ze strzelbą gotową do strzału.

Wilk poczuł koło chaty jakąś niedobrą, nieprzyjazną woń — może solidolu, którym była nasmarowana strzelba — więc siedział cicho w sieni. Gdy wiatr napierał na drzwi od izby, Wilk zapierał się tylnymi ła-

pami o podłogę, by nie dopuścić do ich otwarcia, groźnie warcząc.

Odarycz przesiedział na próżno w pszenicy prawie godzinę, wreszcie zniecierpliwiony zaklął ze złością, wziął strzelbę i trzymając ją nisko, by nie zwracała uwagi, powlókł się do domu.

Marijka Pownycia weszła do bufetu w chwili, gdy Kyłyna zamierzała zamykać.

— Dużo utargowałaś?

— A ty?

— Sporo. Możebyś wpadła do mnie do sklepu jutro z rana, mają coś podrzucić.

— A co? — spytała obojętnie. — Obejdę się, po co mi te ciuchy — dodała.

— Też racja. A może zajdziemy teraz do mnie i pośpiewamy, jak za dawnych czasów?

— No wiesz... — zdziwiła się Kyłyna. — Śpiewać ci się zachciało?

— Żebyś wiedziała...

Dawniej koleżanki szkolne zbierały się często u Marijki i śpiewały. Niekiedy nawet do północy. Różne pieśni. Zdarzało się, że ktoś z sąsiadów przychodził i prosił o ciszę, bo pora spać, a jutro czeka robota.

— Chodźmy — zgodziła się Kyłyna bez większej ochoty. — A kto jeszcze przyjdzie?

— Zinka Dejneha.

— Czy jej teraz śpiewanie w głowie?

Zinka była właśnie w domu i — o dziwo! — poszła z nimi. Po drodze spotkały wracającą ze sklepu z nową torebką Nastię Uszetę, która nawet się ucieszyła z zaproszenia. Przyłączyła się do nich również Julka Jałoweć, która mieszkała blisko Marijki. Czy to mało

dziewczęcych głosów? A jeśli nawet mało, to przyjdą jeszcze inne, kiedy usłyszą śpiewy.

Marijka pościeliła w starym sadzie wiśniowym płachtę, usiadły, spojrzały na siebie z zakłopotaniem.

— No, co jest z wami? — przerwała milczenie Marijka. — Czemu milczycie? Czyżbyśmy tak już wydoroślały i stały się sobie obce?

— Niezupełnie — rzekła Nastia.

— No to i dobrze — uśmiechnęła się Marijka. — Jak niezupełnie, to śpiewamy!

Twarz jej spoważniała, przymknęła oczy, uklękła i cichutko zaśpiewała:

Czyjeś pszczoły w ulu, w sadzie,
moje w dziupli dębu...

Śpiewała w skupieniu, nieco ochrypłym głosem, lekko drżącymi ustami, wpatrzona w białą płachtę, jakby brała z niej melodię i słowa pieśni.

Żadna z dziewcząt nie podtrzymywała jej, więc sama dośpiewała pieśń do końca, po czym spojrzała ze zdziwieniem na koleżanki.

— Jakąś inną — powiedziała Julka o tak jasnych włosach, jakby były bielone na łące na słońcu.

— A może by tę? — zaproponowała Zinka. — „Wydała mnie moja matka za dziada starego..."

— „I kazała mi go kochać jak chłopca młodego" — podchwyciła Julka i zaśmiała się, a z nią roześmiała się i Marijka.

— A wam co tak wesoło? — zgromiła je nieoczekiwanie Zinka.

— A tak, bez powodu — odparła Julka.

Nastia, która dotąd milczała, zatopiona w jakichś swoich wspomnieniach, podniosła w górę rękę, by uciszyć koleżanki, i cicho zaśpiewała:

Oj, jak umarł mi mój orzeł,
zamknął dudy swe w komorze...

Dziewczęta z miejsca podchwyciły, czując jak pieśń je jednoczy, zbliża tak, jak jeszcze niedawno zbliżało je dzieciństwo i szkoła:

A jak poszłam mąkę brać,
to zaczęły dudy grać.
Oj, wy, dudy moje, dudy,
młodam, puszczę się w prysiudy!...

Kyłyna śpiewała, spoglądając na dziewczęta, drżącym ze wzruszenia głosem. Czuła się tak, że miała ochotę wszystkie je wycałować.

Poszła w tan, w dłonie klaskała —
aż się mąka rozsypała...

Ledwie skończyły tę pieśń, gdy Julka zaczęła już nową: „Czemuś nie przyszedł, mój miły, kiedy gwiazdy nie świeciły?" I już w innym rytmie i innym nastroju śpiewały z przejęciem wraz z nią.

— Przyjmijcie mnie do chóru.

Zbliżał się do nich brat Julki, starszy od niej o rok czy dwa, tak samo jak ona jasny blondyn z niebieskimi oczami, który pracował w powiatowym magazynie.

— Chciałem się wyspać, ale czy to dacie? Co prawda śpiewacie pięknie. A z jakiej to okazji?

— Z nijakiej! — odparowała Marijka, która chyba coś czuła do niego, tylko że on, zdaje się, zupełnie tego nie dostrzegał. — Możesz sobie iść, tu same dziewczęta.

— Same dziewczęta, ale śpiewają o chłopcach...

— A tobie co do tego? O tobie nie śpiewamy.

— Odejdź, braciszku — poprosiła miękko Julka.

Kiedy się oddalił, Marijka przez dłuższy czas nie mogła się uspokoić, obawiała się też, żeby dziewczęta czegoś nie zauważyły. Kyłyna, wyręczając koleżankę, zaśpiewała:

Oj, miałam ja trzy pierścienie,
gdzieś się zapodziały.
Oj, miałam trzech narzeczonych —
czorty ich zabrały.
Pierwszy się ożenił,
drugi się utopił,
a trzeciego diabli wzięli,
gdy za dużo popił.

Nastia uśmiechała się serdecznie do Kyłyny, z tym uśmiechem wydała się Kyłynie jeszcze ładniejsza niż zwykle. Kyłyna zaś w oczach Nasti jakby odmłodniała od tego śpiewania.

Oj, miał ojciec córki trzy
i wszystkie los spotkał zły!...

— zaśpiewała Zinka pieśń, którą często słyszała od matki.

Długo nie milkły, jakby upiły się tymi pieśniami i tą radością śpiewania, i były takie szczęśliwe...

— Kyłyno!

W pierwszej chwili nie zorientowała się, skąd ją wołają. Wracała do domu, właśnie przechodziła koło rady gminnej. Obejrzała się do tyłu — nikogo, tylko w oddali jakiś chłopak pedałował pod górę na rowerze.

— Kyłyno!

Na progu urzędu rady gminnej stał przewodniczący, Wasyl Sułyma, wybrany na to stanowisko zaraz po powrocie z wojska. W Gwar-Cebuli jest wielu Sułymów, wszyscy są ze sobą spokrewnieni i podobni do siebie: krępi, barczyści, o krótkich szyjach i rudych włosach.

Wasyl Sułyma zachęcał teraz gestem Kyłynę, by

się zbliżyła. Przez chwilę wahała się, no, ale cóż, władza wzywa, więc trzeba podejść.

— Czego chcesz?

Był w czarnym garniturze, białej nylonowej koszuli i jaskrawym krawacie z węzłem wielkości pięści. Miał rozumną twarz i pewną siebie minę.

— Pójdziemy do mnie — i już się odwrócił, by wejść do biura.

— Nie pójdę. Mów tu...

Zawrócił, jego twarz nabrała surowości, w wąskich oczach był stalowy chłód.

— No cóż, można i tu — mówił do niej z góry, z wysokiego ganku. — Dlaczego nie zajdziesz do rady gminnej, nie zgłosisz nam?

— Co mam zgłosić?

— Jak to, rozwalili ci pół chałupy?

— Rozwalili — potwierdziła posłusznie Kyłyna. — I co tu zgłaszać, przecież wiesz.

— Wiem od ludzi. Ale musi być przecież jakiś porządek, nie?

— Racja, porządek musi być. Taki porządek, żeby nie rozwalali.

— Podobno mieszkasz bez jednej ściany?

— A mieszkam.

— A dlaczego jej nie postawisz?

— Czekam, aż mi postawią.

— Kto?

— Ten, kto ją rozwalił.

Sułyma zmrużył oczy, zacisnął mocno usta. Kpi z niego czy mówi serio?

— Oczywiście, że powinien postawić, skoro ją zwalił. Ale jakoś nikt się do tego nie spieszy, prawda? Można tak czekać całe życie.

— Można — odparła obojętnie Kyłyna.

— Wiesz, Kyłyno, chyba jednak nikt nie przyjdzie.

— Nie ma nieszczęścia. Chata już i tak bardzo sta-

ra, i nie warta zachodu. Niech się już sama rozsypie cała, a wtedy dobrzy ludzie pomogą.

Sułyma spoglądał podejrzliwie na Kyłynę, doszukując się w jej słowach jakiegoś utajonego sensu.

— No cóż, chata twoja... Podobno mieszkasz na widoku, nawet się nie zasłaniasz... I każdy, kto ma ochotę, może popatrzeć, co się w twojej chacie dzieje, co robisz?

— A co ja takiego robię? Nic złego u mnie się nie dzieje i niczego złego nie knuję.

— No tak, oczywiście, ale... przecież nie żyjesz w lesie. Tam można robić, co się komu podoba, bo to las, zwierzęta... A wśród ludzi trzeba po ludzku.

— A wy czego krzyczycie? — Kyłyna po raz pierwszy w życiu zwróciła się do przewodniczącego przez „wy", byli przecież prawie rówieśnikami i w tym samym czasie chodzili do tej samej szkoły.

— Ja krzyczę? — zdziwił się i spojrzenie jego stopniowo łagodniało. — A może naprawdę?... Nie gniewaj się, jeśli podniosłem głos. Chciałem tylko... Nie czekaj, aż przyjdą i postawią ci ścianę, ale może sama, co? Zwołaj ludzi, a my też ci pomożemy.

— Gdyby chata była jak chata, to warto byłoby się potrudzić. A tak to szkoda fatygi i mojej, i waszej. A poza tym trudno uwierzyć, że ten chuligan sam się nie zgłosi...

— Trzeba oczywiście wierzyć, że przyjdzie. A jeśli nie? I gdy zawali się do reszty, to w czym będziesz mieszkać?

— Jakoś już dam sobie radę — uśmiechnęła się bezbarwnie Kyłyna i opuściwszy głowę poszła swoją drogą.

Sułyma patrzył za nią i twarz jego coraz bardziej posępniała...

Obudziła się. Duży żółty księżyc patrzył na nią chłodnym bielmowatym okiem. Wisiał już nisko nad sadem i jego zmęczone, słabe promienie sypały się obojętnym popiołem. Kyłyna, czując w sobie mdłą pustkę, przez pewien czas wpatrywała się w księżyc, potem wstała w nadziei, że poczuje się lepiej. W sieni poruszył się Wilk, chyba poczuł, że ona nie śpi. Kyłyna, w długiej, białej koszuli, przeszła się po wilgotnej glinianej podłodze i wyszła na podwórze. Rdest był miękki i zimny. W kurniku kogut zagdakał przez sen, a potem zapiał krótko i trwożnie.

Kyłyna zerwała różę i przytuliła ją do policzka. Wilgotny zapach uderzył jej do głowy, obudził świadomość. Zadrżała — jakby błyskawica przeniknęła całe jej ciało, wbiła się ostro w mózg, oświetlając w niej wszystko do najdalszych i najtajniejszych zakamarków.

Spojrzała na uśpioną w dole wieś spowitą przyćmionym światłem księżyca. Gwar-Cebula spała tym głębokim, przedrannym snem, od którego mocniejszą może być już tylko śmierć. Hen w dali błyskało samotne okno — już ktoś się tam obudził i zapalił światło.

Wyszła w pole. Uderzyła ją w twarz świeża woń dojrzałego zboża i sennych bławatków. Wydawało jej się, że gdyby uważniej się wsłuchała, usłyszałaby, co śni się krzakowi piołunu lub kłosowi pszenicy.

Powiodła dłonią po nagich piersiach, poczuła zmysłowe łaskotanie. Zaśmiała się. Zalała ją całą nagła fala szczęścia. Było jej tak dobrze, że miała ochotę śpiewać.

Co się właściwie z nią dzieje?

Zgarnęła pieszczotliwie dłonią kłosy pszenicy, jakby na pożegnanie, przeskoczyła przez krzak piołunu i zakurzoną drogę i wróciła na swoje podwórze. Nie miała jednak ochoty iść do chaty. Jakby ją tu ktoś trzymał. Może księżyc swymi niewidzialnymi złotymi rę-

kami? Wyciągnął je do całej ziemi, wyciągnął i do niej, Kyłyny.

Gdy kładła się do łóżka, nieśmiało i lękliwie powiodła ręką po brzuchu, jakby chciała poczuć i złowić tajemne. I zdawało się jej, że czuje, a może istotnie czuła, nie uśmiechała się już jednak, napięta jak struna. I to, co uchwyciła dotykiem dłoni, co ledwie-ledwie poczuła, próbowała przełożyć na ludzką mowę, na zrozumiałe jej słowa. I stało się jej dobrze, i zarazem trwożnie, i poczuła nieznany lęk.

Księżyc zaszedł nad ranem. Zasnęła z gorzko zatroskanym uśmiechem na ustach.

Stepan Pasiuha wracał z okręgu przez siedzibę powiatu. Mijając jednopiętrowy hotel dzienny zobaczył automat z wodą sodową i zatrzymał się, bo dawno już zaschło mu w gardle. Namacał w kieszeni trzykopiejkową monetę i wrzucił do otworu. Do szklanki z sykiem i szumem trysnęła gazowana woda.

W tym momencie podszedł Tadej Batiuta, stary znajomy Stepana.

— Fizkult-ura! — zawołał.

— Ura! — Pasiuha odpowiedział mrugnięciem gwar-cebulskiemu kierowcy.

Pogadali o tym i owym, gdzie który jedzie, wspomnieli, jak to bywa, wspólnych znajomych. I mieli się już rozstać, gdy nagle Stepana uderzyła myśl: przecież on jest z Gwar-Cebuli!

— Słuchaj — spytał — co się tam u was wydarzyło? Ktoś mi mówił, że czyjś samochód czy traktor... — świadomie skłamał o tym traktorze, patrząc na kolegę jasnymi oczami. — Facet był zalany i rozwalił jakąś chatę... Podobno są ofiary... To prawda?

Batiuta słuchał z zainteresowaniem, co tam ludzie

mówią o ich wsi, musiał jednak z żalem wyznać, że nic takiego u nich nie było.

— Nie było? — spytał ze zdziwieniem Pasiuha. — Czyżby ludzie wyssali to z palca?

— To było zupełnie inaczej.

— A jak? — po ciele kierowcy przebiegły mrówki. — Były ofiary?

— Jakie tam ofiary... Jest u nas pewna dziewczyna. Dziewczyna nie dziewczyna, kto ją tam zresztą wie. Mieszka na końcu wsi, no i ktoś w nocy wjechał na jej chatę. E, jaka tam chata... Bardzo stara, ledwie stoi. Powinno się ją już dawno rozebrać, ale kto to zrobi, dziewczyna jest sama, brak męskich rąk. No więc najechał ktoś na tę chatynę, zwalił jedną ścianę...

— No, no, i co dalej? — niecierpliwił się Pasiuha. — Był ktoś wtedy wewnątrz? Co się z nimi stało?

— Co z nią? Ano obudziła się rano, patrzy, niby leży w chacie, a niby na dworze, bo nie ma ściany... No i dotąd tak mieszka, bez ściany.

— Dowiedzieli się, kto najechał?

— A jak się dowiedzieć? Najechał i uciekł, nikt go nie widział.

— T-taak... — Pasiuha postukał w zamyśleniu szklanką o metalową ściankę automatu.

— A tak, tak. Co to on, głupi, żeby samemu się zgłosić i przyznać? Teraz takich frajerów nie ma.

— Taak... Teraz takich nie ma. I chyba nigdy nie było. A co to za dziewczyna? Warto do niej uderzyć?

— Kiedy tylko masz ochotę.

— Naprawdę?

— No chyba. Dziewczyna sama, ucieszy się. A śmieszna, mówię ci. Inna dawno by już postawiła ścianę, a ta mieszka jak na dworze, chociaż niby w chałupie.

— A dlaczego?

— Czeka, aż przyjdzie ten wariat i przyzna się —

Batiuta zaśmiał się tak serdecznie, że w kącikach oczu pojawiły się łzy.

— Czeka? — Pasiuha ciągle się dziwił. — A na co czeka?

— Mało to na świecie stukniętych? Każdy ma jakiegoś fioła.

— Więc powiadasz, że skończyło się szczęśliwie? A słyszałem, że... Ale czego to ludzie nie plotą...

Poweselał. I żeby Batiuta nie powziął jakichś podejrzeń, powiedział:

— Na świecie pełno jest złych ludzi, ale i pełno dobrych.

— Po to właśnie są źli, żeby dobrzy sami sobie i innym wydawali się dobrymi — zakończył sentencjonalnie Batiuta.

— Jak tu się do pani wchodzi?

Antonina Petrowna stała przy bocznej ścianie i przymrużonymi oczami zaglądała do chaty. Była w granatowym kostiumie, który wkładała tylko na powiatowe konferencje i na wielkie święta. Jej urodziwa kiedyś twarz jeszcze bardziej pożółkła i schudła, jakby w ostatnim czasie do wszystkich jej chorób doszły jeszcze nowe, znacznie gorsze. Jasne włosy były gładko zaczesane, odsłaniając wypukłe czoło.

— Proszę wchodzić tak jak wszyscy — odpowiedziała Kyłyna po pewnym wahaniu, z trudem otwierając jakby zlepione usta.

Antonina Petrowna pozostała na dworze — do sieni nie podeszła, a nie mogła się zdecydować, by przejść przez zwaloną, pogruchotaną ścianę.

— A nie wyszłaby pani na dwór?

Kyłyna udała, że nie słyszy. Paliła w piecu, żeby ugotować coś dla kur i dla psa. Antonina Petrowna jeszcze chwilę postała i po pewnym wahaniu podeszła

jednak do wejściowych drzwi. W sieni na jej powitanie podniósł się z ziemi Wilk, spojrzał na nią życzliwie i pomachał przyjaźnie ogonem. Nauczycielka wyciągnęła rękę, by pogłaskać psa, w ostatnim momencie zlękła się jednak i cofnęła dłoń.

— Dzień dobry — rzekła na powitanie, przestępując próg.

— Witam panią — odpowiedziała Kyłyna, nie patrząc na gościa.

Antonina Petrowna z zakłopotaniem stała przez chwilę u progu, potem wolno podeszła do stołu i usiadła na krześle. Zwalona ściana odkrywała przed nią zalaną słońcem Gwar-Cebulę. Jak tu ładnie, jak lekko na sercu, wolna przestrzeń i piękno wlewają się tu w sposób naturalny i żyje się tu nie obok nich, lecz w organicznej spójni ze światem i jego urodą.

Do izby wleciała jaskółka, pofrunęła na piec, stamtąd do kąta nad łóżkiem i zaczęła w popłochu bić skrzydełkami, jakby w potrzasku.

— O, jaskółka... — nauczycielka powiedziała to tak, jakby bardzo ją ucieszyło nieoczekiwane pojawienie się ptaka.

Kyłyna odeszła od pieca i, ciągle jeszcze nie patrząc jej w oczy, powiedziała:

— Robią teraz gniazda w chacie, a że pora godów, to się tłuką.

— Jaskółka to na radość — wyrwało się nauczycielce i już tego pożałowała.

— Może i na radość — odparła Kyłyna w nagłym przypływie złości.

Jaskółka polatała pod sufitem i zaćwierkawszy wyfrunęła na świat. Towarzyszyło jej długie, smutne spojrzenie nauczycielki.

Zapadło ciężkie milczenie. W miarę jego przedłużania się rosła w Kyłynie jakaś mściwa uciecha.

— No więc przyszłam do pani...

Ale Kyłyna dalej milczała, nie mając ochoty jej pomóc.

— Pewnie się pani domyśla, że nie dobro przywiodło mnie tu — nauczycielka szukała nieposłusznych słów.

— A co, może zło? — Kyłyna spojrzała na nią spode łba, odczuwając jakąś dziwną pewność siebie.

— Może i nie zło — Antonina Petrowna z ulgą przyjęła włączenie się Kyłyny do rozmowy. — Już sama zresztą nie wiem, co dobro, a co zło. Proszę wybaczyć, może między kobietami nie wypada o tym mówić, ale jak trzeba, to trzeba, nie ucieknie się przed tym.

Kyłyna dobrze wiedziała, co nauczycielkę tu sprowadziło, ale właśnie świadomość tego dodawała jej pewności.

— Czy panią ktoś wysłał? — spytała.

— Wysłał? Nie, nikt mnie nie wysyłał, przyszłam sama.

— Po co?

— No... — nauczycielka zacięła się.

— Czy pani ktoś coś naopowiadał? Pewnie mąż?

— Z Arsenem Hnatowiczem też rozmawiałam — ciągle szukała łagodnych słów. — Rozmawialiśmy o wszystkim. On zawinił wobec mnie i prosił o przebaczenie. No, ale to jeszcze pół biedy... Widzi pani, Kyłyno, różni ludzie w naszej wsi mówili mi też o tym, poprzez aluzje oczywiście. Ale czyż ja nie rozumiem? Pojęłam wszystkie te aluzje.

— A czego pani chce ode mnie? — spojrzała po raz pierwszy wprost na nauczycielkę.

— Ja?... — linia brwi wyrażała zakłopotanie i zmieszanie. — Widzi pani, znam życie i wiem, że wszystko może się zdarzyć. Pani nie ma pojęcia o życiu rodzinnym, o panujących w rodzinie stosunkach. Słowem, to nigdy nie jest sielanka. Nie obejdzie się bez tego, by mąż nie zainteresował się inną kobietą... Można to

oczywiście zapomnieć, chociaż trudno przebaczyć. Ale z czasem wszystko się przebacza. Bo rodzina to jest rodzina.

— Czy ja coś chcę od pani męża?

— Wcale pani nie winię — Antonina Petrowna już nieco ochłonęła. — Znam dobrze jego charakter, więc nie mogę pani obciążać winą. Chociaż wydaje mi się, że i pani powinna była wszystko przemyśleć i rozważyć.

— No więc dobrze — powiedziała Kyłyna stanowczo. — Nie spojrzę już nawet więcej na niego. Słyszy pani? Stał mi się wstrętny, wstrętny z powodu pani... że musiała pani przyjść do mnie z tą całą gadaniną — poczuła w tej chwili żal do nauczycielki.

— Ja też niekiedy nie mogę na niego patrzyć, tak mi obmierznie. A po chwili skłonna już jestem wszystko mu wybaczyć, zapomnieć... Sama nie umiem tego wytłumaczyć, ale któż zna siebie, swoje serce? Nie zna się ani swego, ani obcego.

Kyłynę najbardziej przytłaczało to, że Antonina Petrowna rozmawiała z nią tak spokojnie. Gdyby się z nią kłóciła, groziła jej, wpadała w furię, Kyłynie byłoby chyba lżej. Wtedy i ona nagadałaby tyle, że w siedmiu workach by się nie zmieściło. A tak... A w tej sytuacji współczuła teraz tej kobiecie. Bo, prawdę mówiąc, z jakiej racji ona ma to wszystko znosić?

Wilk odchylił łapą drzwi i wszedł do izby. Spojrzał najpierw na swoją panią stojącą przy piecu, potem na nauczycielkę.

— O, Wilk... — i nagły spazm zdławił jej gardło, a na twarzy zjawił się bolesny grymas.

Kyłyna podeszła do niej zaniepokojona.

— Wilk... — dławiły ją łzy, więc z trudem je przełknęła. — Przypomniałam sobie, jak bawiłyśmy

się razem na weselu... Aż trudno uwierzyć, że coś takiego może się zdarzyć... Trudno uwierzyć.

— Marsz z izby! — Kyłyna tupnęła nogą na psa.

Wilk odwrócił się i wrócił do sieni, drzwi zamknęły się za nim z lekkim skrzypieniem.

Antonina Petrowna wstała, jakby zamierzała już iść, lecz po chwili usiadła z powrotem. Patrzyła na wieś, która zieleniła się przed nią jak żywy obraz w wielkiej ramie zwalonej ściany.

— Wiem — zaczęła znów mówić — że wszelkie rady nie mają sensu, każdy ma swój rozum i postępuje zgodnie z nim. Ale chcę pani powiedzieć, Kyłyno... Proszę się nie gniewać i posłuchać mnie. Jest pani jeszcze młoda, nie ma pani żadnego doświadczenia, z czasem wszystko przyjdzie, i doświadczenie, i starość... Nie powinna pani marnować życia w tej Gwar-Cebuli.

— W Gwar-Cebuli? — powtórzyła Kyłyna, nie rozumiejąc jeszcze, do czego nauczycielka zmierza.

— Właśnie. Chłopców tu mało, bo wszyscy wyjeżdżają, więc dziewczętom trudno znaleźć sobie partnerów. Ale przecież świata nie tylko tyle, co w oknie. Chłopcy wyjeżdżają stąd, więc pani też mogłaby wyjechać za nimi, gdzieś do fabryki czy na jakąś przodującą budowę. Dziewczęta tak teraz robią, nie czekają z założonymi rękami, bo to już nie te czasy, co kiedyś: „siedź w kącie — znajdą cię".

— A dlaczego mam wyjeżdżać z Gwar-Cebuli? Czy mi tu źle?

— Tak, ale...

— Dobrze mi tu i tu moja ziemia rodzinna. Więc gdzie mam szukać jeszcze lepszej? Jeśli komu gdzie dobrze, to nie będzie uciekał od dobra.

Antonina Petrowna opuściła jakby z poczuciem winy głowę i wlepiła wzrok w podłogę.

— Tylko że nie wszystko jeszcze pani powiedzia-

łam — mówiła przyciszonym głosem, jakby sama obawiała się tego, co za chwilę powie. — A muszę powiedzieć, bo bez tego...

— Co takiego? — Kyłyna znów unikała wzroku nauczycielki.

— Widzi pani, Arsen Hnatowicz niczego przede mną nie zataił — powiedziała z naciskiem. — Przyznał się do wszystkiego. Wiem też, że jeździliście w nocy do lasu, i wiem, o czym tam rozmawialiście. Pani początkowo postąpiła rozsądnie, obiecując mu zrobić to, co trzeba. Ale potem pani się rozmyśliła... To dobry człowiek, ma miękki charakter, łatwo się wzrusza, nie śmie nalegać i nie śmie czegoś od pani wymagać.

Mówiła głosem łagodnym i cichym i Kyłyna, czując jak lodowacieje jej wnętrze, słuchała jednak tego głosu jak zaczarowana.

— Widzi pani, Kyłyno, to wszystko jest bardziej skomplikowane, niż się pani wydaje. Matką dzieci Arsena mogę być tylko ja, jego żona.

— Po co pani przyszła? — spytała Kyłyna zduszonym szeptem.

— I on jako uczciwy człowiek — ciągnęła nauczycielka, jakby słuchała tylko siebie — ma prawo mieć dzieci tylko ze mną i z nikim więcej.

Antonina Petrowna z napięciem wpatrywała się w Kyłynę, bo coś ją zaniepokoiło w wyrazie jej twarzy.

— To znaczy, że jeśli nie pójdę do lekarza, to on będzie dla pani człowiekiem nieuczciwym, a jak ja pójdę, to już będzie uczciwy dla pani i dla wszystkich, tak?

— Nie jestem skłonna do takich uproszczeń, jakie mi pani zarzuca — odparła cicho nauczycielka. — Ale przecież pani sama dobrze rozumie... nie może nie rozumieć... że żyjemy w społeczeństwie, nie jesteśmy sami... obowiązują pewne normy... I jeśli pani chce, jeśli sprawi to pani satysfakcję, to uklęknę przed pa-

nią i będę prosić na kolanach, by pani poszła jednak do lekarza... Jest pani młoda, znajdzie pani jeszcze swoje szczęście. Co panią trzyma w Gwar-Cebuli? Przecież można wyjechać.

Kyłyna czuła, że oczy jej przesłania mgła.

— Jeśli sprawi mi to satysfakcję? — wyszeptała. — Uklęknie pani przede mną? Będzie pani prosić?

— I poproszę — powiedziała twardo nauczycielka.

— I to pani mi to mówi? — stała przed nią wysoka, wyprostowana, gniewna, z pobladłą twarzą.

Antonina Petrowna bezszelestnie wstała z krzesła.

— Tak — powiedziała nadal spokojnym głosem.

— Przecież pani... przecież pani jest... — Kyłyna nie znalazła potrzebnego słowa.

Nauczycielka zmarszczyła wysokie czoło.

— Tak postępują wszystkie i nie robią z tego dramatu.

— Pani... pani!...

Nauczycielka uśmiechnęła się wyrozumiale.

— No dobrze — powiedziała Kyłyna twardym, zdecydowanym głosem. — Niech już tak... niech...

Nauczycielka usiłowała wyczytać z twarzy Kyłyny, co postanowiła.

— Proszę już iść! Nie mogę patrzeć na panią!

— Idę już, idę... Musi mnie pani zrozumieć. Pani też na moim miejscu... Cóż zrobić, takie jest życie.

— Niech pani już idzie i nie znęca się nade mną! — krzyknęła Kyłyna.

Nauczycielka mogłaby wyjść przez powaloną ścianę, nie odważyła się jednak. Otworzyła drzwi do sieni, przeszła ostrożnie obok Wilka, który słabo warknął na nią i wychodząc wtuliła głowę w ramiona, jakby chciała się schować przed ludzkim wzrokiem.

Następnego dnia Marijka Pownycia namówiła Kyłynę, by poszła z nią na tańce. Początkowo Kyłyna broniła się: i tańczyć, powiada, nie umie, i nikt tam na nią nie czeka, i nie ma też w co odpowiednio się ubrać. Więc Marijka skoczyła do domu i przyniosła jej kilka swoich bluzeczek i sweterków do wyboru. Kyłyna przymierzyła jedną, drugą, a w trzeciej postała nawet dłużej przed lustrem, stwierdzając ze zdziwieniem i niedowierzaniem, że jest jej w niej do twarzy.

— No więc idziemy — zdecydowała Marijka. — Jak tu nie pójść w takiej bluzeczce!

— Ale i pantofli nie mam odpowiednich do tańca.

— Wpadniemy do mnie, to wybierzesz sobie, jakie chcesz.

Kyłyna włożyła jednak swoje wyjściowe pantofle, zupełnie zresztą ładne.

Parkiet urządzono na wycementowanym placyku koło fabrycznego klubu, ogrodzonym nie wiadomo po co stalowymi rurami, chociaż każdy mógł swobodnie wejść.

Już zapadł zmierzch, rozjaśniony nieco słabym światłem kilku latarni. W klubie grał adapter, a tu, na placu, grzmiał głośnik. Nie była to muzyka, lecz warkot i ryk. I w takt tego łoskotu młodzież stłoczona na małej przestrzeni, z głowami pochylonymi ku sobie kiwała się z namaszczeniem na wszystkie strony.

Kiedy Kyłyna znalazła się koło klubu, od razu jakoś posmutniała i już zaczęła żałować, że dała się Marijce namówić. Bo gdyby przychodziła tutaj przedtem, gdyby czekał tu ktoś na nią, byłoby to zrozumiałe, a tak to komu ona jest potrzebna? Tańczą młodziutkie dziewczęta ze swoimi chłopcami, tłoczą się przyjezdni studenci, którzy wiedzą, po co przyszli. A ona?

— Ty jak tam sobie chcesz, ale ja nie mam tu nic do roboty.

Marijka chwyciła ją mocno za łokieć.

— A myślisz, że ja mam? I myślisz, że często tu przychodzę? Wcale nie przychodzę. Ale w ten sposób można przesiedzieć w domu całe życie.

— No, no, nie udawaj niewiniątka.

— Nie wierzysz? — Marijka patrzyła na nią szczerze. — Tych, którzy bywali u mnie w domu, poznałam u siebie w sklepie. A wiesz, jak? Ktoś czegoś szuka, na półkach nie widać, no to prosi, że może będzie w najbliższym czasie, więc żeby dla niego jakoś skombinować... No i zaczyna tokować, przymilać się, prawić komplementy. Wiem, po co to mówią, dobrze wiem, a jednak przyjemnie tego słuchać. Też jestem dziewczyną.

— Nie doceniasz siebie, Marijko. Nie jesteś jeszcze starą panną, żeby tak mówić. A ubierasz się tak, że wielu miastowym nawet się nie śniło.

Stały pod czarną topolą koło stawu i patrzyły z daleka na tańczących.

— Już sama nie wiem, jak jest naprawdę. No bo powiedz sama, czy jest sprawiedliwość na świecie? — jej ruchliwa twarzyczka zasępiła się. — Masz klucz od bufetu?

— A po co ci?

— Chodźmy coś wypić, to może nam się humory poprawią.

Dlaczego by nie pójść, kiedy bufet w pobliżu. W ciemności, nie zapalając światła, napiły się portwajnu. Po ciele rozlało się przyjemne ciepło, poczuły się raźniej, lżej. I ta muzyka, która docierała z klubu aż tutaj, była im teraz bliższa, bo dźwięczała nie tylko dla tańczących, ale jakby i dla nich, pijących wino w ciemnym bufecie.

— W sklepie nie jest jednak źle — mówiła z ożyw-

wieniem Marijka. — Zawsze kogoś zobaczysz, zapoznasz się z kimś. To nie to, co na farmie, koło krów. A jak tam sprawują się nasze dziewczęta?

— Niczego sobie. Dojarki teraz dobrze zarabiają, nie tak jak dawniej. Ja nie wyciągnę tyle w swoim bufecie.

— Wiadomo, że nie wyciągniesz. Gdybyś nie dolewała i nie doważała, to o lepszym miejscu trudno marzyć. Ale wiem, żeś ty nie taka, Kyłyno.

— A czyż to trzeba mi więcej, niż potrzebuję?

— Ale za dobrze to w tym bufecie nie masz. Same chłopy, pewnie ciągle czepiają się ciebie?

— A gdzieś ty widziała pijaka, żeby się nie czepiał?

— I często musisz się im opędzać?

— Moja rozmowa z nimi krótka: jak się przyczepi, to za kark i za drzwi.

— I to wszystko? — spytała Marijka z rozczarowaniem.

— A co byś jeszcze chciała?

— U mnie w sklepie lżej, bo mam klientów trzeźwych. No a poza tym co ty masz z tego bufetu? Nic. Wino można dostać wszędzie, wódkę też. A w sklepie zawsze trafi się coś atrakcyjnego, co trudno dostać, no więc jak nie dla siebie, to dla krewnych, potrafią się wywdzięczyć... Oczywiście nie za darmo biorę ze sklepu, za pieniądze, ale chociaż nie kradnę, to uczciwa też nie jestem.

— Nie rozumiem.

— Tak, tak.

Znów wypiły. Zrobiło im się jeszcze cieplej i weselej, poczuły dla siebie przypływ jakiejś rodzinnej wręcz serdeczności.

— Wiesz — mówiła Marijka — mieszkam w tej Gwar-Cebuli, codziennie staję za ladą. I niekiedy wydaje mi się, że to moje życie jakieś nieprawdziwe, jakaś jego nędzna kopia, jakbym miała to prawdziwe

życie dopiero przed sobą, jakbym miała je dopiero przeżyć. I możesz mi wierzyć albo nie, Kyłyno, ale są takie dni, że miałabym ochotę lecieć gdzieś w świat, żeby go szukać, tego swojego innego życia, bo wtedy wydaje mi się, że jeśli będę dalej żyć tutaj, stawać codziennie za ladą, to niczego nie wystoję, nic dla siebie nie znajdę i wszystko przeminie jak sen. I w takich chwilach darłabym odzież na sobie, zamknęłabym oczy i biegła w świat.

— Szalona!

— Jestem niekiedy szalona — Marijka objęła Kyłynę i przytuliła się do niej. — A o Zince już wiesz? — spytała.

— O Zince?

— Tak... Chyba wnet pójdziemy do niej na chrzciny.

— Tak szybko? Przecież dopiero niedawno było wesele.

— Nie wiesz, jak teraz jest? Najpierw dziecko, a potem urząd stanu cywilnego.

— Coś takiego! — Kyłyna nie mogła poradzić sobie ze swoim zdziwieniem.

Ktoś z zewnątrz postukał w okno i jakaś twarz przylepiła się do szyby.

— Nie odzywaj się — szepnęła Kyłyna. — Patrzcie, kiedy to się przyplątał.

— Otwórzcie! — zawołał ktoś za oknem. — Widzę was, nie chowajcie się.

Ale one siedziały cicho. Mężczyzna raz jeszcze zapukał w szybę i klnąc odszedł. One też po chwili wyszły z bufetu. Marijce było teraz bardzo wesoło, śmiała się, mówiła bardzo głośno.

— No, teraz można już pójść tańczyć.

— Ja nie pójdę — powiedziała stanowczo Kyłyna.

— A ja czuję się tak, jakbym się zdrowo zabawiła. Tylko ty jesteś jakaś smutna. Co ci jest, Kyłyno?

— Nic, zdaje ci się.

Koło klubu Marijka próbowała namówić ją do tańca, ale Kyłyna się uparła.

— Dziękuję za sweter — zdjęła z siebie i oddała Marijce.

Była już daleko na grobli, gdy ktoś ją dogonił. Odwraca się: Marijka.

— Czego za mną gonisz?

— Nie poszłam na tańce. Miałam iść z tym swetrem, który zdjęłaś?

Nauczyciel Tkałycz mieszkał koło szkoły, a do Pystyny Majorczuk chodził po mleko. Przychodził wieczorem, gdy krowa była już wydojona i skończyły się jego zajęcia w szkole. Kyłyna widywała go bardzo rzadko, bo od rana do wieczora siedziała w bufecie i wracała do domu późno. Może jedynie w poniedziałek, kiedy miała wolny dzień i była w domu.

Tym razem Tkałycz z bańką w ręku zjawił się na drodze od pola wcześniej niż zwykle, sąsiadka chyba nie wydoiła jeszcze krowy. Był w jasnym letnim garniturze, w krawacie, jasne włosy lśniły w słońcu jak u dziecka. Spojrzał uważnie na chatę Kyłyny i ujrzawszy ją z jakimś szyciem na kolanach, pozdrowił powolnym skinieniem głowy i poszedł dalej, znikając za krzakami bzu.

Pojawienie się nauczyciela skierowało myśli Kyłyny na jego osobę. Pomyślała, że jest zbyt łagodny, miękki, wrażliwy, nie spotykała dotąd takich mężczyzn, dlatego też Tkałycz wywoływał w niej zdziwienie graniczące z fascynacją, ale jednocześnie dezaprobatę z powodu swej delikatności i ostrożności.

Nauczyciel był przystojny, ale jego uroda nie oddziaływała na Kyłynę, może dlatego, że daleki był od niej myślami, i życie jego było odległe, nie znane, a więc jakby nieprawdziwe.

Uniosła wzrok znad szycia i własnym oczom nie wierzyła: nauczyciel wchodził na jej podwórze. Znów przyglądał się jej uważnie, z powagą i widać było, że jest zdenerwowany, bo policzki miał zarumienione, a jego mięsiste usta drżały. Kyłyna patrzyła na niego w milczeniu czekając, co powie.

Tkałycz podszedł całkiem blisko, stanął, postawił u nóg bańkę na mleko i coś tam bąknął, z czego Kyłyna zrozumiała, że bańka jest pusta.

— Nie wydoili jeszcze krowy i trzeba będzie trochę poczekać — tłumaczył się.

— Jeszcze wcześnie, bydło jeszcze nie wróciło z pola. Nie wiedział pan?

— Ja ten... właśnie... — jąkał się Tkałycz, szukając brakujących słów. — Ale to nic, nie spieszę się, poczekam.

— No tak, trzeba będzie poczekać.

Ale dlaczego wstąpił właśnie do niej? Mógł przecież zaczekać u Pystyny Majorczuk.

Nauczyciel szybkim spojrzeniem zlustrował chatę i spuścił oczy, jakby nagle przestraszył się czegoś, jakby speszyła go zwalona ściana i panujący wokół rozgardiasz.

— A dlaczego pan pije mleko? — spytała Kyłyna, żeby pomóc nieśmiałemu nauczycielowi w nawiązaniu rozmowy.

— A co mam pić? — rzucił się z ulgą na to pytanie.

— Inni piją wino, wódkę...

— A czy ci inni bardziej się pani podobają? Im więcej piją, tym bardziej się podobają?

— Wcale mi się nie podobają — igła w jej ręku wraz z białą nitką wykonywały w powietrzu swój szybki, lśniący taniec. — Tylko tak już jest w Gwar-Cebuli. Nie zna pan tutejszych zwyczajów?

— Znam. Rzeczywiście piją u was dużo.

— Bo łatwo dostać. U nas są tacy, co bez wypicia czują się jak bez rąk.

— Przyzwyczaiłem się do mleka, nie umiem obejść się bez niego. W naszej rodzinie, Kyłyno... Ołeksijiwno — Kyłyna ze zdziwieniem uniosła brwi, zaskoczona tym oficjalnym tytułem — panował zawsze kult mleka. Mieliśmy trzy krowy, najpierw Lisicę, potem Kasandrę i Mazochę, i traktowaliśmy je tak jak pełnoprawnych członków rodziny. Uwierzy pani?

— Dlaczego nie, wierzę. Przylgnęliście sercem do Mazochy czy Lisicy... Żywe garnie się do żywego, jakżeby inaczej.

Nauczyciel zaczął opowiadać o Mazosze. Była to duża, tłusta krowa, dająca dwa wiadra mleka dziennie. Kiedy miała cielę, to nie było w ich wsi na Chmielnicczyźnie człowieka, który by nie chciał kupić tego cielęcia.

Słońce siadało już na horyzoncie, bardzo go przybliżając; zdawało się, że teraz można łatwo do niego dojść. Nauczyciel denerwował się coraz bardziej. Ile razy spojrzał na Kyłynę, od razu odwracał wzrok, jakby w obawie, że może w nim odczytać coś tajemnego. Kyłyna milczała, nie podtrzymując rozmowy, milczał też nauczyciel, zakłopotany i zmieszany.

Od podwórza Pystyny doleciało ryczenie, widocznie krowa wróciła już z pastwiska. Rozległ się też donośny głos sąsiadki.

— A więc chciałem właśnie powiedzieć pani, Kyłyno Ołeksijiwno — nauczyciel wreszcie zdobył się na odwagę, ale i tym razem zabrakło mu słów. Podniósł z ziemi pustą bańkę, zdjął pokrywkę i zajrzał do środka, jakby tam szukał odwagi i słów.

Kyłynę ogarnęła ciekawość, dlaczego on tak się męczy, bo nie przyszedł przecież bez powodu.

— Pani sąsiadka, Pystyna Makariwna, mówiła mi... I od innych ludzi też słyszałem... Nie, nie, nie zajmu-

ję się plotkami, to przyszło jakoś samo — gryzł wargi, z trudem wyrzucając z siebie słowa. — Chciałem powiedzieć, że znam pani sytuację... Tuhaj przestał już być moim przyjacielem, jego postępowanie boleśnie mnie zraniło.

Kyłyna wstała ze stołka, trzymając w jednej ręce szycie, a w drugiej igłę, zaskoczona i zmieszana. Pod jej spojrzeniem nauczyciel speszył się jeszcze bardziej.

— Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pani dotknąć, zamierzałem tylko porozmawiać z panią, porozumieć się. Pystyna Makariwna powiedziała mi...

— Co panu powiedziała?

— No... że pani... O pani dobrych uczuciach, o szlachetności... Nie, nie, proszę mi wierzyć, mówiła o pani tylko dobrze.

— Kto ją o to prosił?

— Tak jakoś wyszło... Proszę się na nią nie złościć. I nie gniewać na mnie.

— O Boże! — Kyłyna westchnęła, czując jak całe jej ciało drętwieje. Nauczycielowi było chyba ciężej niż jej. Mówił jednak dalej z trudem dobywając słów, bo nie mógł dłużej milczeć.

— Pani, Kyłyno Ołeksijiwno, jest prawdziwym człowiekiem, ma pani oczywiście pełne prawo do osobistego szczęścia i nikomu nie wolno do niczego pani zmuszać, wymagać czegoś wbrew pani woli. W zupełności podzielam pani poglądy i przyszedłem właśnie powiedzieć, że... Że gdyby pani chciała... Tylko proszę właściwie zrozumieć moje intencje... Gdyby zgodziła się pani, żeby dziecko miało ojca, to ja...

— Ojca?... Pan?... — oczy jej się zaokrągliły.

— Żeby dziecko miało ojca, to mógłbym... wziąć z panią ślub — wyrzucił wreszcie z siebie to najważniejsze i poczuł ogromną ulgę. — Wszystko byłoby tak, jak u ludzi... Nie, nie! — zamachał rękami, przeczytawszy w jej oczach gniew i cierpienie. — Nie

chciałem pani dotknąć, proszę mi wierzyć. To nie jest z mojej strony żadne poświęcenie ani przymus; to odpowiada moim przekonaniom, moim zasadom moralnym. Pani, Kyłyno Ołeksijiwno, jest kobietą szlachetną, ma pani szlachetne serce i ja pragnę pani dobra, chcę pani pomóc jak człowiek człowiekowi. Proszę tylko rozważyć moją propozycję spokojnie, przemyśleć ją, nie spieszyć się z odpowiedzią, posłuchać, co pani rozum dyktuje. Może się pani nie podobam, więc proszę wybaczyć... ja przecież... no, jakoś by się ułożyło... Bo ja do pani jak przyjaciel...

W miarę jak go słuchała, mijało odrętwienie, gniew i złość. Powrócił spokój i równowaga. Nawet się uśmiechnęła. Nauczyciel wyrzuciwszy z siebie to wszystko, z czym tu przyszedł, umilkł.

— Proszę już iść.

Brwi nauczyciela uniosły się ze zdziwieniem.

— Mówię, żeby pan już poszedł, Pystyna wydoiła już krowę.

— Więc pani...

— Dziękuję panu — Kyłyna skłoniła głowę. — Dziękuję, że pan przyszedł i powiedział dobre słowo.

— Słowo? Nie słowo, tylko...

— Tylko nie trzeba... mnie żałować i współczuć mi. Jestem zdrowa i silna, a to najważniejsze. A swoje szczęście znajdę...

— Proszę darować, jeśli panią obraziłem...

— Nie, nie obraził mnie pan. I jeszcze raz dziękuję, że pan przyszedł. Jednak... przecież pan powinien zrozumieć, czy pan naprawdę nie rozumie?

— Rozumiem, oczywiście — pokiwał pospiesznie głową.

— To dobrze... A teraz niech już pan idzie, Walentynie Dmytrowiczu. I proszę się nie niepokoić: nie powiem nikomu, z czym pan do mnie przychodził.

Nauczyciel znów skinął głową, jakby godząc się na to, że ona nikomu nic nie powie.

— Przepraszam jeszcze raz... — i ruszył do furtki, ale jakoś bokiem, nie spuszczając oczu z Kyłyny.

— Proszę nie brać sobie tego tak do serca — zawołała za nim, czując się jakby winną wobec niego.

Okazało się, że cała ta historia nie może obejść się bez Pystyny Majorczuk, która wkrótce ponownie się zjawiła.

„Ta znowu ze swoimi radami" — pomyślała Kyłyna, czując, jak powraca uciskający ją ciężar.

Sąsiadka patrzyła na Kyłynę tak, jakby ona była jej coś winna i nie chciała zwrócić długu.

— Wiesz, nauczyciel bierze u mnie mleko. Jakoś zgadało się o tobie, no to powiedziałam mu wszystko, co wiem, nic nie zataiłam. Żebyś widziała, jak on to przeżywał! Przecież on... On za tobą jak za rodzoną matką! Ech, Kyłyno, takiego człowieka przepędzić! On ma nie serce, ale złoto.

— Nie potrzebuję... cudzego złota — odpowiedziała Kyłyna miękko, siląc się na spokój.

— A czego, u licha, potrzebujesz? Nie chcesz myśleć o sobie, to pomyślałabyś chociaż o dziecku — szturchnęła ją palcem w brzuch.

— O jakim dziecku mówicie? Kto wam powiedział, że będzie dziecko?

Oczy sąsiadki zaokrągliły się i zastygły.

— Powinnaś dziękować Bogu, żeś się tego doczekała — z wyrzutem pokiwała głową. — Gdybyś wiedziała, jak bardzo chciałam mieć dziecko. Chociaż jedno! Nie było mi jednak sądzone, Pan Bóg się nie zmiłował. No i tak całe życie przeżyłam bez rodu i płodu. Mąż nawet zaczął mnie bić, a potem dał spokój i gdzieś przepadł. A ty... Ja bym na twoim miejscu... Nie rozumiesz, jakie szczęście cię spotkało!... Pożałujesz kiedyś, ale będzie już za późno.

— Pożyję tyle co wy, to i wasz rozum będę miała.

— Oj, czy będziesz miała... Skąd go weźmiesz, jak nie masz go teraz? Taki czas nastał, że nie dziewczęta są teraz, a morderczynie, a tyś taka sama.

— Słuchajcie no, sąsiadko! — krzyknęła Kyłyna, czując dławienie w gardle. — A czy wy wiecie, o co tu chodzi? Czy wiecie coś naprawdę o mnie? Czy o kimkolwiek innym? Wiecie, co się dzieje w moim sercu? Jakie są moje myśli? A wydajecie sądy!...

— A co ty, córeczko, myślisz naprawdę? Nie tak, jak chcesz zrobić? To dlaczego zadajesz sobie gwałt i zmuszasz się do fałszu? Złamiesz sobie życie i będziesz już do końca chodzić z garbem.

— A jak złamię życie komuś i ktoś potem będzie chodzić z garbem? No co? To w porządku?

— Bywaj zdrowa, Kyłyno — burknęła Pystyna i poszła.

W ciepły, łagodny oddech pola wwiercał się warkot kombajnu — zaczęły się już żniwa. Kyłyna przesunęła ręką po policzku, poczuła na końcu palca chłodną, drżącą łzę.

Stepan Pasiuha zjechał na pobocze, wyłączył silnik. W oczy uderzył go jasny błękit dnia. Po zżętej już pszenicy bielało w dali świeże ściernisko, a na pierwszym planie w potokach ostrego słońca omdlewała zielona Gwar-Cebula. Przymrużył oczy i rozglądał się dokoła, wciąż nie mogąc się nadziwić, że wieś ma tak dziwaczną nazwę.

Zamknął drzwiczki kabiny i skręcił w lewo w polną drogę zarośniętą wyblakłym piołunem, który pozostawiał na spodniach kurz. W jego postaci była determinacja i stanowczość. Zacisnął usta i rozglądał się uważnie, spodziewając się kogoś spotkać, ale nie było nikogo.

Tak, teraz droga zakręca, a oto i ten pagórek, a na pagórku bez z opuszczonymi, więdnącymi liśćmi. Właśnie tu wyskoczył mu pod koła samochodu pies, a w tym miejscu on, Stiepan, na pół senny i zdrożony, skręcił w prawo, wjechał w bez, a potem...

Doszedł do wrót i zatrzymał się. Chata niziutka, pod strzechą, pochylona ze starości, zamiast spojrzeć na niego ciemnymi oknami, odsłoniła mu swe wnętrze. Przed chatą leżała ściana, już zdeptana i zapaskudzona przez kury. Na ziemi leżały też dwa małe okienka z wybitymi szybami. Serce zabiło mu gwałtowniej, chyba po raz pierwszy odczuł ciężar swojej winy. Pomyślał, że powinien był już dawno tu przyjść.

Otworzył furtkę i wszedł na podwórze. Gdzie może być gospodyni? Wewnątrz jej nie ma. Do podłogi przylepiło się białe piórko i lekko drżało. W ogrodzie kwitnie bladoróżowo mak, na łodygach zieleniejąniedojrzałe makówki. Koło kurnika przytuliły się do siebie kwitnącymi główkami z cichym uśmiechem dwa cienkie, młodziutkie słoneczniki.

Postał, popatrzył... Nie ma. Chwycił za klamkę. Drzwi od sieni nie zdążyły się jeszcze otworzyć, gdy przez szczelinę wysunął się wielki łeb psa, który przecisnął się już przez szczelinę i Stepan nie zdążył już domknąć drzwi, odstąpił tylko dwa kroki od progu. Wilk stał przed nim gotów w każdej chwili skoczyć na niego i wczepić się w jego ciało. Ledwie Stepan uniósł nogę, by cofnąć się jeszcze krok, gdy pies wyszczerzył zęby i tak warknął, że kierowca zdrętwiał z przerażenia. Powoli, żeby nie rozdrażnić psa, zaczął opuszczać nogę. Od razu rozpoznał w nim tego, którego omal nie przejechał i który potem gonił go.

Wilk stał bez ruchu na szeroko rozstawionych łapach, na grzbiecie tu i ówdzie zjeżyła mu się szara sierść. Nieruchome oczy nalały się krwią.

Pasiuha próbował przestawić nogę, ale znowu za-

marł w bezruchu, gdy dostrzegł groźny ruch czujnie nastawionych uszu psa. Nad Wilkiem przeleciała pszczoła, potem zaczęła krążyć wokół głowy Pasiuhy, który śledził ją w napięciu; i nagle dolna jego warga zadrżała z bólu i bezsilnego gniewu. Pszczoła jeszcze przez chwilę brzęczała mu nad uchem, po czym odleciała.

„Żeby ktoś nadszedł, może by coś poradził, bo nie można tak stać całą wieczność." Ale przed nim było tylko puste podwórze ze zwaloną ścianą, nieco dalej zaś spacerowało kilka kur tak obojętnie, jakby tu nic się nie działo. Za wrotami bieliło się ściernisko. Od czasu do czasu dolatywał do jego uszu szum samochodów, wjeżdżających do Gwar-Cebuli i wyjeżdżających ze wsi.

— Ojej!

Za furtką stała Pystyna Majorczuk, zdziwiona i przestraszona. Pasiuha zaczął jej dawać rękami jakieś znaki. Pystyna weszła na podwórze.

— Chyba cię nie pokąsał, co?

Pasiuha miał ochotę zakląć, ale się powstrzymał, bał się reakcji psa, więc tylko zaczął znowu ostrożnie wykonywać rękami nieśmiałe ruchy, oznaczające wzywanie pomocy.

— To Wilk, on jest wściekły. Niedawno został pokąsany, jest pogryziony.

— Co takiego?!

Pasiuha z przerażeniem wpił się w oczy psa, ale ich wyraz nie zmienił się. To go nieco uspokoiło i wycharczał, czując, że ma w ustach zamiast języka kawałek gotowanego mięsa:

— Róbcie coś! — i zamarł.

— Co? — Pystyna nie zrozumiała, o co mu chodzi.

Pasiuha znów odważył się poruszyć zdrętwiałymi ustami.

— Proszę jak najmniej mówić, bo to psa denerwu-

je — a kiedy nic złego się nie stało, dodał: — Proszę poszukać jego właścicielki, bo inaczej koniec ze mną.

— No pewnie. Jak przestoisz tak całe życie, to koniec z tobą. A Wilk to pies rozumny, żołnierze go jej podarowali, bo u nich mało nie zdechł, a tu, patrz, jak odżył. Póki gospodyni nie wróci, to nie ma mowy, żeby ciebie puścił. A po co polazłeś do chaty, jak nie ma nikogo? Słuchaj, a może chciałeś coś ukraść?

Co Pasiuha mógł na to odpowiedzieć?

— Proszę już iść! — rzucił błagalnie, przeklinając w duchu gadatliwą, flegmatyczną babę. — Niech tu zaraz przyjdzie gospodyni!

— A gdzie mam jej szukać? Chyba w bufecie... Ale to daleko, zanim dojdę...

— Niech... ktoś... skoczy...

Pystyna szybko wyszła. Za furtką odwróciła się, pokiwała współczująco głową i znikła za krzakami bzu.

Stepan i Wilk stali nadal bez ruchu naprzeciw siebie. Pasiuha wrzał z gniewu i złości, a strach mieszał mu zmysły. W jakiś czas po odejściu Pystyny do furtki zaczęli podchodzić jacyś ludzie. Widać wszystkim po drodze opowiadała, co się tu dzieje. Najpierw podbiegła grupka chłopców. Na twarzach ich malował się strach i ciekawość, ostrzegali się wzajemnie, by nie podchodzić za blisko, gotowi w każdej chwili dać drapaka. Po nich zjawiła się Zinka Dejneha. Była już w ciąży, pod kwiaciastą sukienką sterczał duży brzuch. Zbrzydła, na twarzy wystąpiły plamy. Stanęła przy furtce obok chłopców z takim samym wyrazem na twarzy jak oni — napiętej uwagi i bolesnego współczucia.

Pystyna minęła już chyba sklep przemysłowy, bo zjawiła się Marijka Pownycia, a wraz z nią przyszło jeszcze kilku mężczyzn, przypuszczalnie klientów ze sklepu.

Stali z chmurną ciekawością, wkrótce jednak posy-

pały się żarty. Był też wśród przybyłych gwar-cebulski garbus, znany ze złośliwości, który kpił ze wszystkiego i ze wszystkich. Przez dłuższy czas patrzył spode łba, po czym jego cienkie wargi zaczęły krzywić się w uśmieszku.

— Tak będzie z każdym, kto chodzi do Kyłyny i nie chce się z nią ożenić.

Wywołało to nie tyle śmiech, co pewną wesołość.

— A ty stój grzecznie — drwił dalej garbus, zwracając się do Pasiuhy — bo możesz przestraszyć na śmierć biednego pieska.

W tym momencie przed furtką zatrzymał się samochód ciężarowy. Z kabiny wysiadła szybko Kyłyna, a spod plandeki wysypali się mężczyźni, którzy byli akurat w bufecie, kiedy zjawiła się tam Pystyna. Wraz z nimi przyjechał Tadej Batiuta, który też chciał zobaczyć, co się tu stało.

Kyłyna wbiegła na podwórze chyba jeszcze bardziej przestraszona od Pasiuhy. Spojrzała na mężczyznę, którego pilnował groźnie Wilk: widziała go po raz pierwszy, ale przez to wcale nie było jej lżej.

— Rany boskie!

Pasiuha zorientował się, że to gospodyni.

— Proszę go tylko nie przestraszyć — zwrócił się do niej błagalnym tonem. — Z nim trzeba grzecznie, delikatnie...

— Marsz stąd! — krzyknęła na psa.

Wilk nawet nie drgnął, jakby to odnosiło się nie do niego.

— Co ja ci powiedziałam! — zawołała niemal z płaczem.

— Kijem go, Kyłyno, kijem! — podjudzał garbus. — A ty przemawiasz do niego jak do dziecka.

— Kijem nie trzeba — prosił Pasiuha.

— Dołoż moja, dolo — lamentowała Kyłyna.

Weszła do sieni i wróciła ze sznurkiem, którym

obwiązała psu szyję, pociągnęła za sznurek, i dopiero wówczas Wilk się poruszył, z trudem jednak zaciągnęła go do sieni. Gdy zamknęła za psem drzwi, naskoczyła na przerażonego Pasiuhę.

— Po co pan tu wchodził, co?!

Pasiuha opuścił głowę i stawiając szeroko nogi ruszył do furtki, gdzie zetknął się z Pystyną.

— No jak, jakoś się wydostałeś? — spytała.

Pasiuha przeszedł obok niej, jakby w ogóle nie poznał kobiety, która pierwsza pobiegła wezwać ludzi na pomoc, i poszedł dalej nie oglądając się.

— Coś takiego! — zawołała Pystyna.

Ludzie nie rozchodzili się.

— No, Kyłyno — kpił garbus — jeśli każdy kawaler spotyka się tu z takim przyjęciem, to kto do ciebie będzie chciał chodzić?

Kyłyna chciała odpowiedzieć, że nikogo nie potrzebuje, a przede wszystkim on, garbaty, nie jest jej potrzebny, ale ludzie zareagowali śmiechem i jej nie pozostało nic innego, jak też się roześmiać.

— Kto to był? — spytała Zinka, wycierając łzy ze śmiechu.

— Bo ja wiem? — Kyłyna wzruszyła ramionami. — Pierwszy raz go widzę.

— Gadaj zdrowa, myślisz, że zaraz ci uwierzymy — znów włączył się garbus, co też przyjęto śmiechem, ale słabszym, bo ludzie już się zmęczyli.

— A wy zamiast suszyć zęby, lepiej byście dziewczynie chałupę doprowadzili do porządku! — zawołała Pystyna, wskazując na zwaloną ścianę. — Patrzcie, ilu was się tu zebrało. I po co? Wpadł człowiek w tarapaty, to zaraz trzeba się z niego śmiać? Gapią się i gapią, żeby was!... Chata się wali, też się gapią, też im wesoło, do śmiechu!...

Wszystkie twarze poprzygasały.

— Jak tu pomóc? — spytał posępnie garbus.

— A rękami! — poradziła Pystyna. — Wzięlibyście i postawili ścianę. Nie ma wprawdzie gliny, ale stoi pusty samochód, no to ją szybko przywiezie.

— Może jutro tutaj się zbierzemy? — spytał niepewnie garbus.

— Jutro nikt nie przyjdzie — wtrąciła się Zinka. — Jutro przecież niedziela.

— Racja — przytaknął garbus. — Trzeba pomóc! — zawołał, zwracając się do mężczyzn. — Do wieczora, i po wszystkim!

— Nie trzeba, jakoś i tak przeżyję — słabo oponowała Kyłyna.

Ale to już do ludzi nie dotarło. Garbus poszedł do szopy, coś tam przewracał, czymś stukał i po chwili wyszedł zgięty dźwigając na ramieniu jakąś belkę.

— Przyda się — powiedział, na jego twarzy nie było już tym razem złośliwego uśmiechu.

Kierowca, z którym przyjechała Kyłyna, podszedł do niej.

— Słuchaj, nie masz gliny, co? To nic, zaraz przywieziemy. No, kto się chce przejechać? — zwrócił się do chłopców. — Jazda po szpądle, a potem na samochód!

Wkrótce ciężarówka odjechała.

Tadej Batiuta był zupełnie zbity z tropu. Najchętniej by stąd odszedł, ale wszyscy się gapią, a Pystyna nie spuszcza z niego oka. No więc zabrał się do rozbiórki zwalonej ściany, w czym inni zaczęli mu pomagać.

— Czy widział kto coś takiego u gospodarzy? U prawdziwych gospodarzy to nie do pomyślenia — gderał Batiuta. — Już dawno trzeba było doprowadzić to do porządku... Przydadzą się te deseczki, przydadzą... A gdzie ona znajdzie lepszą futrynę niż ta?

Zinka coś tam zbierała na polnej drodze, ciągle się pochylając, po czym wysypała przed Kyłyną kupę końskiego nawozu.

— Gdzie ty masz rozum? — zawołała Kyłyna z wyrzutem. — Masz teraz tylko tego pilnować — wskazała na jej wzdęty brzuch — i nie nadwerężać się dla głupstw.

— Nic mu się nie stanie, a bez nawozu gliny nie zamiesisz — odparła Zinka i znowu poszła na polną drogę.

A co wymyśliła Pystyna? Przyniosła nową ramę okienną, i to z wstawionymi już szybami.

— To dla ciebie, Kyłyno, zamiast starej okiennicy i powybijanych szyb.

— Kiedy u mnie były mniejsze.

— No to co? Były mniejsze, a teraz będą większe. Przez większe zobaczysz więcej świata.

— Dziękuję.

— Wstrzymaj się z dziękowaniem, okno jeszcze w moich rękach, a nie w twojej chacie.

Kyłyna patrząc, jak ludzie krzątają się wokół jej domu, nie wiedziała zupełnie, co ma robić.

— A może coś im przygotować do zjedzenia? — spytała sąsiadki. — No bo jakże tak, żeby nie ugościć?

— Pewnie, że przygotuj. Do wieczora zakończą. Jak będzie czegoś brakowało, to przyniosą z domu albo spod ziemi wytrzasną.

— Kiedy u mnie nic akurat nie ma...

— Nie ma u ciebie, ale jest u mnie, powinno chyba wystarczyć.

Mężczyźni już ustawiali i przypasowywali belki.

— No to jak, zaprosisz na wesele? — żartował garbus.

— Grzech byłby nie zaprosić — uśmiechnął się Batiuta, który pomagał garbusowi.

Pośród tej całej krzątaniny i gadaniny zupełnie zapomniano o Wilku, który początkowo siedział cicho w sieni, a gdy ludzie tam weszli, schował się za beczkę.

Kyłyna nie była jeszcze dotąd w powiatowym szpitalu, nie wiedziała więc, w jaki korytarz należy wejść i w której kolejce zająć miejsce. Postała chwilę przy okienku rejestracyjnym, przysłuchując się, kto z czym przychodzi do lekarza. Potem pomyślała, że najlepiej zwrócić się do salowej, która kręciła się w pobliżu z mokrą ścierką, burcząc coś pod nosem. Miała dobroduszną i łagodną twarz, twarz wiejskiej kobiety, na której wypisane są wszystkie radości, kłopoty i zmartwienia.

— Kogo szukasz? — spytała salowa czy też może sprzątaczka.

— Widzi pani, chciałabym...

Starsza kobieta patrzyła na nią podejrzliwie.

— A może coś po kobiecej linii?

— Yhm — Kyłyna skinęła głową.

— To tam — wskazała ręką — pokój numer dwadzieścia.

— Mężczyzna czy kobieta?

— Czy ci nie wszystko jedno? Tak samo się patrzą, to samo mówią.

Tak, to chyba tu, siedzą same kobiety. A ta młodziutka dziewczyna, nie więcej niż siedemnaście lat, też tutaj? Chyba tak, po co by siedziała wśród tych kobiet?

— Kto ostatni? — spytała i przygryzła język, bo wszystkie odwróciły do niej głowy i przyglądały się jej z ciekawością, a młoda dziewczyna lustrowała ją ze szczególną uwagą.

Nikt jej nie odpowiedział, więc usiadła, a kobiety powróciły do rozmowy, przerwanej pojawieniem się nowej pacjentki.

Mówiła chuda jak szczapa kobieta z sęczkiem zadartego nosa.

— Mieszkamy obok siebie, to przede mną nic się nie ukryje, a i dzieciaki bawią się razem. Różnie teraz

bywa, ale takiej spryciary i kłamczucha tom dotąd nie spotkała. A przecież jeszcze młoda. Dlaczego teraz młodzi tacy bez serca, bez sumienia? Ona żeby tylko się bawić i urwać z życia jak najwięcej, a jak rwie, to już nie myśli o niczym i na nic nie zważa.

Słowa te siekły Kyłynę, jakby były skierowane do niej.

— Albo to z niej matka? Ma dwie dziewczynki i czy nie wyrosną na takie jak ona? Wyrosną, wyrosną, jeśli mają taką matkę i jeśli w swoim życiu nic dobrego nie widziały i nie zobaczą.

— No a mąż co na to? — spytała któraś z kolejki.

— Mąż? Nie lepszy od niej, taki sam. Tylko patrzy, jak by się tu gdzie urwać z domu i zrobić skok w bok... Oboje jednacy, to czego można się po nich spodziewać? Źle jest i tyle.

Urwała, bo właśnie nadeszła jej kolej, więc szybko znikła za drzwiami, ale jeszcze szybciej wybiegła z gabinetu, skąd ją chyba przepędzili.

— Jeszcze dobiję się prawdy! — krzyknęła, po czym pognała gdzieś korytarzem.

Kyłyna na wiele się napatrzyła i wiele nasłuchała, zanim weszła do gabinetu. Siedziała tam wysoka, barczysta lekarka w białym fartuchu. Bujne, rude włosy były wysoko upięte, o stolik opierały się duże, twarde piersi, które drgały przy każdym ruchu lekarki. Obojętnie spytała Kyłynę o personalia.

— No, co tam u ciebie?

Nie spojrzała ani razu na Kyłynę, patrząc na leżące czasopismo, w okno, na podłogę. Ten nastrój znużenia i obojętności udzielił się wnet Kyłynie, która przestała się denerwować, nie na tyle jednak, by od razu odpowiedzieć na zadane jej pytanie.

— No, co ci jest? — lekarka wreszcie spojrzała uważnie na pacjentkę. — Chyba się mnie nie wstydzisz, co?

— Nie, nie wstydzę się.

— A więc?... Przyszłaś prosić o pozwolenie na przerwanie ciąży?

Kyłyna potwierdzająco skinęła głową.

— Męża masz?

— Nie.

— Która to skrobanka?

— Proszę?...

— Pytam, która skrobanka: pierwsza, druga czy może trzecia?

— Pierwsza — Kyłyna spojrzała tęsknie w okno, za którym w słonecznej spiekocie żółkły już liście niskich klonów.

— Więc powiadasz, że pierwszy raz? — w pytaniu lekarki było jakby zdziwienie. — Dlaczego chcesz przerwać ciążę? Czyś się zastanowiła?...

— Zastanowiłam się...

— I wszystko rozważyłaś? Jak kobieta dojrzała, a nie na łapu-capu jak smarkula?

— Rozważyłam. Tak trzeba... Proszą mnie o to...

— Kto prosi?

— No... — i zamilkła.

Lekarka zaczęła jej mówić o szkodliwych skutkach pierwszej skrobanki, Kyłyna słuchała jej z opuszczoną głową. Ciężko jej było tego słuchać, ale cóż robić?

— Tylko przyznaj mi się szczerze: chciałabyś urodzić dziecko? Ale mów prawdę.

— Chciałabym.

— Rozumiem...

Lekarka umilkła, rozglądając się wokół, tylko Kyłynę omijała wzrokiem. Jej wielkie, pulchne piersi leżały na stole i oddychały jakby same, niezależnie od całego ciała.

Kyłyna przestępowała z nogi na nogę. Ktoś zajrzał do gabinetu.

— No więc tak. Teraz nie będę ciebie badać. Potem

cię obejrzę. Przyjdź w następny piątek, przyjmuję od dwunastej do piętnastej. Tylko dobrze wszystko przemyśl.

— Już przemyślałam.

— Przemyśl jeszcze raz — powiedziała ostro ruda lekarka. — Dokąd się spieszysz? Nie ma dokąd... A może ktoś ciebie ponagla?

— Nie ponagla, ale... Może będzie ciężko...

— A czy ty wiesz, co to takiego ciężko? Obawiam się, że nie wiesz, a mówisz... Ja mam pięcioro, a czy mówię, że mi ciężko?

— Jak można porównywać? — Kyłyna nie miała ochoty sprzeczać się z lekarką, była nawet zadowolona, że ta jej odradza.

— A dlaczego nie porównywać? — lekarka obrzuciła Kyłynę ciężkim spojrzeniem. — No, idź już. Porozmawiamy innym razem.

Kyłyna ostrożnie odwróciła się i równie ostrożnie podeszła do drzwi. Czuła, jakby jakiś ciężar opadał jej z ramion, jak gdyby w tym przeraźliwie białym i czystym pokoju zostawiła jakieś swoje zmartwienie, nękające i żałosne...

Chociaż miała przy sobie zaledwie kilka rubli, zaczęła chodzić po sklepach. W domu towarowym oglądała zimowe palta, nawet przymierzyła jedno, niebieskie z białym sztucznym futrem — w lustrze wydała się sobie ładniejsza i młodsza.

W dziale dziecięcym był tłok, więc również przystanęła i zaczęła oglądać plastykowe i gumowe zabawki i lalki o zastygłych na zawsze wesołych lub poważnych twarzach. Jakaś młoda kobieta ze wsi oglądała uważnie podwójny wózek dziecięcy, więc ona też obejrzała go ze wszystkich stron, nawet wypróbo-

wała, jak jeździ: lekko i bezgłośnie, jakby wiatr go popychał.

W sadzie przy drodze dzieci rwały wiśnie. Na gałęzi siedział chłopczyk i zrzucał owoce do wiadra, które podstawiała mu w dole dziewczynka, przypuszczalnie jego siostra. Jedna wiśnia wpadała do wiadra, druga obok, co wywoływało śmiech dziewczynki. Śmiała się też, kiedy chłopczyk z zabawnym grymasem wrzucał sobie wiśnię do ust. Kyłyna przystanęła i przez chwilę obserwowała ich z uśmiechem.

Na przycichłe, zmęczone spiekotą miasteczko słońce lało potoki białego, gorącego światła. Przebiegło kilku małych chłopców w samych tylko spodenkach, prawdopodobnie pomknęli do stawu kąpać się. Kyłyna śledziła ich z jakąś zachłanną ciekawością.

Nagle zahamowała przy niej wysoka ciężarówka z przyczepą. Z kabiny wysunął się jakiś czarny łeb.

— Do Gwar-Cebuli? Wsiadaj, podrzucę!

Podeszła posłusznie do kabiny, nie spojrzawszy nawet na kierowcę, widocznie jakiś znajomy z bufetu. Spostrzegła go dopiero, gdy usiadła w szoferce — i aż się cofnęła: za kierownicą siedział ten sam mężczyzna, którego niedawno Wilk zatrzymał na jej podwórzu.

— Co, nie spodziewałaś się? — zaśmiał się.

Ten śmiech ją uspokoił.

— Rzeczywiście nie spodziewałam się... — uśmiechnęła się nieśmiało.

— Różne rzeczy się zdarzają.

Ruszyli.

— Dlaczego nie pytasz, jak wtedy znalazłem się na twoim podwórzu?

Kyłyna w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

— No więc ci powiem... Nigdy byś nie uwierzyła. A może uwierzysz, dlaczego miałabyś nie uwierzyć. Przyszedłem wtedy nieprzypadkowo, lecz właśnie do ciebie. Nie mogłem już dłużej nosić w sobie tego, więc

przyszedłem powiedzieć ci całą prawdę, przyznać się do wszystkiego.

— Jaką prawdę?

— Otóż to... — Pasiuha patrzył gdzieś na drogę, zawahał się przez chwilę i wreszcie wypalił: — To ja wpadłem na twoje podwórze i to ja... swoją ciężarówką zwaliłem ci ścianę.

Był przekonany, że ona zacznie krzyczeć, że każe zatrzymać samochód, żeby nie jechać obok niego. Ale Kyłyna tylko się uśmiechnęła.

— Ty?

— Tak, ja. Nie wierzysz? Potem to mnie ciągle uwierało, myślałem o tym przez cały czas, bez przerwy o tym myślałem.

— A jak to się stało? — spytała Kyłyna spokojnie, nie odczuwając ani żalu do kierowcy, ani zdziwienia.

— Ano tak. Chciałem skrócić drogę i pojechać na przełaj. Koło twojej chałupy omal nie najechałem na psa, więc skręciłem w prawo. Skręciłem w prawo, a tu jakaś chata... Obleciał mnie strach i zacząłem wiać. Zatrzymałem się dopiero za wsią. Patrzę, a za mną biegnie ten pies, ledwie od niego uciekłem.

— Wilk — powiedziała Kyłyna.

— No właśnie, prawdziwy wilk. Skąd go masz?

— Żołnierze mi go podarowali.

— Co za straszne psisko! Będę go pamiętał do końca życia. Jadę sobie samochodem, jadę, zapominam o całym świecie, i nagle zdaje mi się, że mi się rzuci do gardła.

— No i nie rzucił się? — spytała wyglądając przez okno.

— Jakoś się nie rzucił... Ale i teraz jeszcze strach mnie oblatuje, gdy o tym pomyślę, dalibóg... Nigdy jeszcze nie byłem w takich tarapatach. A co, myślę sobie, jak rzuci się do gardła? I taka to sprawa. A ty wtedy bardzo się przestraszyłaś?

— Było, przeszło — rzekła Kyłyna, nie czując ni gniewu, ni złości, a jedynie ciekawość.

— Nie chciałem, sama rozumiesz — tłumaczył się kierowca i widać było, że mu ciężko i że sprawa ta ciągle go nurtuje.

— Tak też myślałam. I miałam jednak nadzieję... że przyjdzie ktoś i się przyzna. Bo przecież nie mógł nikt umyślnie...

— Właśnie wtedy przyszedłem, żeby... no i ten pies mnie dopadł. Stoję na pół żywy i myślę: dobrze mi tak, tak mnie pokarało... Taak, ten pies jest straszny!

— To dobry pies.

— Dla ciebie oczywiście dobry, ale dla mnie... Ale widać, że mądry — powiedział Pasiuha z zachwytem.

Przez pewien czas jechali w milczeniu.

— Postawię ci tę ścianę, naprawię szkodę.

— Już postawili. W tym dniu, kiedy byłeś. Przyszło sporo ludzi i jak się zabrali, to do wieczora skończyli.

— To dobrze. A może mógłbym ci w czymś pomóc.

— Dziękuję. Dziękuję za to, że się przyznałeś.

— Ty mnie jeszcze dziękujesz?

— A co? To przecież nieumyślnie, ale przez Wilka.

— Taaak — Pasiuha był wyraźnie zaskoczony. — A pies twój straszny. Ale i mądry. Prawdziwy wilk.

— Tak go właśnie nazywam.

Podjeżdżali już do Gwar-Cebuli. Z góry odkrywała się przed nimi wielka podolska wieś w ciężkiej, bujnej zieleni sadów.

— Wysiadasz? — spytał Stepan, kiedy wjechali już do wsi.

— Podrzuć mnie do fabrycznej stołówki, muszę zajrzeć do bufetu, robota czeka.

— No, życzę ci szczęścia! — zawołał, gdy wysiadła.

— Dziękuję! — krzyknęła wesoło Kyłyna. — A wpadnij kiedyś do mnie! Drogę teraz już znasz!

— No i jestem dobrym znajomym twego Wilka — odparł ze śmiechem.

— Bardzo dobrym — uśmiechnęła się.

— Wpadnę na pewno — obiecał szczerze, bo przecież grzechem byłoby nie przyjąć takiego zaproszenia. Patrzył za nią, jak idzie wśród wysokich topoli. Było w jej postaci coś takiego, co mu się podobało, pociągało go, przykuwało jego wzrok. I jadąc już pomyślał: jednak trzeba będzie do niej wpaść, dlaczego nie odwiedzić jej, kiedy go zaprosiła, no i nieczęsto przecież zdarzają się takie spotkania i takie znajomości.

Znajomości... A czyż nie? Mogliby się przecież rozejść jako wrogowie, a rozstali się jak przyjaciele. A więc ta dziewczyna ma jednak dobre serce. Bo przecież to nie wróg, który przypadkowo, niechcący... Może to najlepszy przyjaciel, trzeba tylko zrozumieć, przemyśleć...

I Pasiuha poczuł się człowiekiem mądrym, wielkodusznym, rozumnym. A wszystko dzięki niej, Kyłynie.

Po południu bufet zaczął się szybko zapełniać. Tłumnie przyszli robotnicy z drugiej zmiany. Wpadł też Tadej Batiuta, przyciskając do piersi młodziutką kawkę ze złamanym skrzydełkiem, połyskującą czarnym opierzeniem.

— Dwa kufle piwa. Dla mnie i dla kawki.

Ulokował się na parapecie, wypił jeden kufel, a z drugiego usiłował napoić kawkę wtykając jej dziób do piwa. Szybko główka ptaka pokryła się pianą.

— Co ty wyprawiasz, sadysto?! — krzyknęła na niego Kyłyna.

— Chcemy dziś pohulać — wybełkotał podpity już Batiuta.

Kyłyna wyrwała mu kawkę i zamachnęła się na niego.

— No-no... — zareagował niegroźnie.

Wpuściła kawkę pod ladę; ptak tłukł się przez chwilę między skrzyniami, a potem ucichł. Niech tam posiedzi, później zaniesie ją do parku i wypuści. Widocznie wypadła z gniazda, w parku pełno gniazd. Ale dlaczego zwisa jej skrzydełko. Kto je złamał?

Do bufetu weszła Nastia ze swoim studentem, w lekkiej sukience z dużym dekoltem. Student był w jasnym garniturze, jakby nie było dziś upału i kurzu. Podeszli do kontuaru. Nastia uśmiechnęła się przyjaźnie, student był powściągliwie uprzejmy.

— Przyszliśmy do ciebie wypić szampana. Ugościsz?

— Kiedy nie mam szampana — odparła zmieszana Kyłyna. — A co to, jakaś specjalna okazja? Nic nie wiedziałam... Może wódki albo koniaku?

Nastia spojrzała pytająco na studenta.

— Dziękujemy — rzekł grzecznie — ale mieliśmy ochotę na szampana.

— Zajdźcie do sklepu spożywczego — poradziła Kyłyna, zadowolona, że przyszli do niej.

— Byliśmy już tam — Nastia bezradnie rozłożyła ręce i spojrzała na studenta.

— Trzeba chyba będzie pojechać do miasta.

— Tam na pewno dostaniecie — uśmiechnęła się Kyłyna.

Student ledwo skinął głową i odwrócił się, Nastia ruszyła za nim. Kyłyna zauważyła, jak łuszczy się jej spalona słońcem skóra. Odprowadziła ich spojrzeniem do drzwi i pomyślała: „Chyba Nastia się zakochała,

chodzi za nim jak cień... Zabawna, a chciała mi go odstąpić. Nie na próżno przyjechał za nią aż tutaj, dopiął jednak swego... Ale ona zabawna!"

Batiuta, pogadawszy z kumplami o piłce nożnej, chciał znów przepłukać gardło. Kupił u Kyłyny flaszkę portwajnu, żeby wypić za dawne sukcesy kijowskiego „Dynamo" i za Wasyla Turianczyka, którego cenił wysoko za „stuprocentowe podania". Wziął flaszkę, ale zamiast dobrać się do niej, przyczepił się do Kyłyny.

— Oddaj kawkę, to moja!

— Twoje to, co we flaszce!

— Gdzieś ją podziała? Przyznaj się. Czy chcesz, żeby inne kawki zadziobały mnie za nią?

— Ale się przyczepił — zaśmiała się Kyłyna. — Powinieneś być babą, a nie chłopem.

— I będę, jak zechcę — wybełkotał Batiuta.

Kyłyna znalazła pod ladą kawkę, schowała ją za połę białego fartucha, przycisnęła łokciem do ciała i czmychnęła przez magazyn na dwór. Pójdzie do parku i wypuści ją na wolność, tam gdzie są gniazda kawek. Złoty łagodny przedwieczór szedł wraz z nią. Za sztachetami płonęły różnobarwnym płomieniem wysokie róże. Niebo było ciche, niebieskie, świeże, dziecięco łagodne. Nawet najlżejszego podmuchu, ani jeden listek nie drgnie na drzewach.

Szła w pogodnym nastroju, w zgodzie z sobą, przyciskając łokciem kawkę, by nie wypadła, gdy nagle z bocznej ulicy wyszedł Arsen. Spotkali się twarzą w twarz. On też nie spodziewał się tego spotkania, twarz miał jednak spokojną, tylko w czarnych oczach zadrgały iskierki radości.

— Idę ją wypuścić — powiedziała Kyłyna, wyjmując spod fartucha kawkę ze złamanym skrzydłem.

Tuhaj spojrzał zdziwionym wzrokiem na ptaka, po czym sięgnął ręką do kieszeni po papierosy, nie znalazł

jednak zapałek, więc przekładał z zakłopotaniem papierosa z ręki do ręki.

— Bardzo cię przepraszam... Tak jakoś wyszło... Nie myślałem, że ona pójdzie do ciebie...

— O kim mówisz?

— O swojej żonie. Poszła bez mego pozwolenia, bez mojej wiedzy... Nie chciałem...

— Zdarza się — Kyłyna czuła spokój i pewność siebie, sama była tym zaskoczona.

— Tak, zdarza się... Było mi bardzo przykro. Strasznie zawiniłem wobec ciebie, czuję się absolutnym winowajcą. Ale... nie wszystko zależy ode mnie. Nie jestem sam — mówił cichym głosem i własne jego słowa wydały mu się puste, pozbawione treści, a inne, te najważniejsze, gdzieś przepadły.

Miała teraz dla niego tylko litość i współczucie.

— Daj spokój, Arsenie.

— Nie, nie, muszę ci powiedzieć wszystko. Wiele przemyślałem i doszedłem do wniosku, że chyba... chyba masz prawo... postąpić zgodnie z własną wolą. Byłem okrutny, a moja żona, Antonina Petrowna... rozumiesz chyba... Więc chcę ci teraz powiedzieć, żebyś postąpiła tak, jak sama chcesz... A może już ją posłuchałaś?

Kyłyna przytuliła kawkę do policzka. Ptak zaczął dziobać ją w czoło. Roześmiała się.

— Czemu się śmiejesz?

— Tak sobie. Kawka mnie dziobnęła i to mnie rozśmieszyło.

— Ostatnio często wzywali mnie do zjednoczenia — rzekł po dłuższym milczeniu. — Wiele razy jeździłem. Przedtem nie chciałem ci o tym mówić, ale teraz powiem... Proponowali mi stanowisko dyrektora sowchozu w obwodzie kijowskim, ale odmówiłem. Przywykłem do Gwar-Cebuli... Ale wczoraj znowu byli

u mnie... i zgodziłem się, bo i Antonina Petrowna nie chce tu zostać... Trzeba będzie stąd się wynieść.

— Życzę ci szczęścia, Arsenie — powiedziała szczerze.

— Nie chciałem i teraz też nie chcę — z trudem wydobywał słowa — ale cóż robić, takie jest życie.

— Życzę ci szczęścia — powtórzyła.

Spojrzał na nią podejrzliwie, trudno mu było uwierzyć w jej szczerość.

— No to już pójdę — odszedł z opuszczoną głową.

W starym parku w zacienionych miejscach młoda trawa była szczególnie bujna. Kyłyna przeszła wśród dębów i lip i zatrzymała się przy czarnych topolach, gdzie rozlegało się kawcze krakanie i opadały suche gałązki. Zastanawiała się, gdzie by tu umieścić małą kaleką kawkę tak, żeby była bezpieczna. Nie może pozostawić jej na widocznym miejscu. Zaniosła ją w krzaki olszyny i położyła pod pochyloną gałązką...

tłumaczył Stanisław Edward Bury

SPIS TREŚCI

PRZECZUCIE RADOŚCI tłum. Zofia Głowiakowa . . 5

DZIEWCZĘTA NA WYDANIU tłum. Stanisław Edward Bury 161

„Czytelnik", Warszawa 1977. Wydanie I.
Nakład 20 290. Ark. wyd. 12,8; ark. druk. 17,25.
Papier druk. m/gł. 82×104, kl. IV, 65 g. Oddano
do składania 18 I 1977 r. Podpisano do druku
5 VII 1977 r. Druk ukończono w sierpniu 1977 r.
Łódzkie Zakłady Graficzne, Zakład nr 1,
Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45
Zam. wyd. 121; druk. 213/11/77. F-5 Cena zł 25.—
Printed in Poland

Leonid Andrejew
ŚMIERĆ GULLIWERA

Dmitrij Cholendro
OCZEKIWANIE

Fazil Iskander
SANDRO Z CZEGEMU

Łazar Karelin
TRZĘSIENIE ZIEMI

100-00

CENA ZŁ 25,-

